11500

III

Bibl. Jag.

Bibl. Jag.

" QUOD LIBET "

„Ecce infantia mea olim mortua est
et ego vivo.."

św. Augustyn.

Notatka o chrzcinach moich, zapisana przez Ojca w kalendarzu z r.1873.

„6 b.m. w palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki. Około 1-szej godziny z południa przyjechałem z ks. kanonikiem Skibińskim od Ś-tej Magdaleny i zastałem już bardzo wiele z zaproszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonii. Jako chrzestne rodzice byli w pierwszej parze Henryk Rodakowski i panna Leonia Blühdorn (Rodakowskiego pasierbica, a moja uczennica), w drugiej parze stanął Kornel Ujejski i Leonia Sawczyńska. Dziecina dostała imiona: Marya i Wanda. - Jako chrzyżmo dostała od chrzestnej matki, panny Blühdorn na pamiątkę srebrny serwis do herbaty t.j. czajnik, dzbanuszek i cukierniczkę a wszystko na takiejże tacy, na której już były wyryte jej litery w monogramie i dzień i rok chrzcin. Od drugiej chrzestnej matki dostała srebrną łyżeczkę, także z literami. Około 2-gie, po skończonej ceremonii chrzcin i wywodu matki, przeszli wszyscy goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania. Z gości, oprócz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców, były następujące osoby: małżeństwa PP. Sawczyńscy, Tatomirowie, Pawłowacy, potem PP Mieczysław Darowski,* żołnierz z 31 r. Józef Waśkiewicz, stary żołnierz, kap(itan) 4-go pułku, sławnego w 1831 r. Wł. Zawadzki, literat, F.H. Richter, księgarz i wyd. „Strzechy", Jan Amborski, literat, Dr. Ad. Czyżewicz, Józef Ekielski i Bolesław Skolimowski. Usposobienie gości było bardzo ożywione, Wnoszono rozmaite toasty. K. Ujejski z przemową dla nowonarodzonej, Darowski dla rodziców chrzestnych, Rodakowski dla rodziców nowoochrzczonej, dalej szły inne toasty, nareszcie z piękną przemową Zygmunt Sawczyński wniósł toast na cześć Poezyi i Sztuki i jej tu reprezentantów K. Ujejskiego i H. Rodakowskiego. Około 4-tej skończyła się ta uroczystość i goście zaczęli się rozchodzić. A odbyło się wszystko tak pięknie i iż z największem zadowoleniem i przyjemnością będziemy zawsze ten dzień w naszym domu, dotąd pewnie najświetniejszy i najweselszy, przypominać."

*) Mieczysław Darowski, opiekun młodych lat mego ojca, jedna z najszlachetniejszych, przyjacielskich postaci z domem naszym związanych, jeden z

najlepszych i najmilszych ludzi,którzy wywierali wpływ na moje dzieciństwo i młodość,człowiek którego całe życie było wierną służbą ojczyźnie,ofiarną miłością bliźniego,wysokim wzorem dla drugich.Cały ogromny majątek poświęcił sprawie narodowej,z ostatków dzielił się jeszcze z biedniejszymi,umarł ubogi w Krakowie r.1889.—

Maryla Wolska

Pamiętam w domu jedno miejsce na ścianie, na które w zimie padała zwykle czerwona plama zachodzącego słońca.

Nad moją wąską, białą szafką z dziecinnemi książkami, na popielaty deseń ściany w mroczne popołudnie, gdy szyby zaczynały marznąć a w pokoju robiło się coraz chłodniej..

Cedzić się musiał ten ostatni promień przez jakieś dalekie drzewa bo drgało w nim coś niby splątany rysunek gałęzi i cienie ptaków, gromadzących się już wcześnie na sen.

I zawsze, patrząc na tę od lat znajomą, świecącą plamę, czułam jedno--(nie wiadomo dlaczego właśnie to?,,) że tak dobrze w domu i bezpiecznie i że takie jest jeszcze mnóstwo, niesłychane mnóstwo czasu na wszystko..

I myślałam o tem, mróz bierze i że gdzieś, nad wielkiemi drzewami krążą pewno gromany zamarzniętych wron i kawek a niebo za niemi staje się coraz czerwieńsze i złocistsze.

Nie przyśniło mi się, że te wielkie drzewa rosną w ogrodzie, który, kiedyś, nazwę sama--Zaświeciem..

A wśród stygnącej szarzyzny kątów, pąsowa plama blasku drgała i mieniła się jakiemś odległem, nieswojem życiem..

Trwało to zawsze tylko krótką chwilę.

Promień słońca obsuwał się ze ściany na dużą mapę Europy nad starą kanapą i gasł--na Islandyi.

Wtedy w mrocznym pokoju robiło się odrazu bardzo chłodno i późno.

.....

A dziś, po latach, o wczesnym zachodzie zimowego dnia, chciałabym módz przywrzeć dojrzałemi ustami do owej ściany i pocałować--zaniby zgasło na Islandji--tanto dawne, kochane, domowe słońce..

Urodziłam się 13-go marca 1873 r. we Lwowie, w słoneczne południe, w domu na którego miejscu stanął później gmach Kasyna Narodowego. Okna parterowego mieszkania patrzyły w Ogród Jezuicki a ulica nosiła już wówczas nazwę ulicy Mickiewicza.

Pierwsze kwiatki w życiu, pierwsze śnieżyczki, położyła mi na powiciu Matka Dora, pani Skólimowska z Dynisk. Następnego roku w jesieni już nie żyła, ale jej dobrotliwe ręce zdążyły jeszcze obdarzyć mnie mnogością ślicznych strojków, ja zaś, zdążyłam nauczyć się jej imienia i wołać na nią „matka Dola." Haftowała i szyła dla mnie pelerynki, katanki, kapturki. Jeden z misternych bucików jej roboty, amarantowy z czarnem, sukienny, wisi w Quodlibecie Cicci Tereni.

Dzięki stosowi starych kalendarzy, w których rodzice przez długi szereg lat zapisywali ważniejsze wydarzenia, mogłam i ja, wertując je, już samotna na Zaświeciu, przyjrzeć się zbliska początkom własnym, przekonać się, jak nic jeszcze sama o sobie nie wiedząc, widna już byłam w domu, ważna i kochana od pierwszej chwili, aż do tej żałosnej ostatniej, gdym po latach, z dawnego zespołu, została na świecie sama. Nowy Rok w tych kalendarzach zaczynał zwykle Tatko słowami: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego--Amen..

(Pod datą 6. Kwietnia r. 1873 pierwsza dłuższa o mnie relacja: „W Palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki.) Około pierwszej godziny w południe przyjechałem z ks. kanonikiem Skibińskim od św. Magdaleny i zastałem już bardzo wiele z proszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonji. (Jako chrzestni

rodzice byli w pierwszej parze Henryk Kodakowski i panna Leonia Plühdorn (Kodakowskiego pasierbica a moja uczennica) w drugiej parze stanęli Kornel Jeński i Leonia Kawczyńska. Dziecina dostała iniemal karjery. Tanda. W drugiej, po skończonej ceremonii chrzcin i wyjściu matki, przesunęli się goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania. Z gości, oprócz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców, byli następujące osoby: P.P. Kawczyńscy, Katowicowie, malarscy, poeta Kniecznski Marcinski, Józef Kiekiewicz stary żołnierz, kapitan 4-go pułku ułanów w 1831, ś.p. Zawadzki literat, W.H. Richter ksiądz i wujaszek Wstrzeszka, Jan Kmicic literat, Dr. Jan Czyżewicz, Józef Skielski i Kolesko Skolimowski.

Uspokoiło się bardzo dużo. Wzniesiono rozmaite toasty. Jeński z prawicą do Kodakowskiej, Marcuski dla rodziców chrzestnych, Kodakowski dla rodziców nowochrzczonej. Dalej szły inne toasty, wreszcie z pełną przemową Kawczyński wzniósł toast na cześć rodziny i jej tu reprezentantów. Około 4-tej skończyła się ta uroczystość i goście się zaczęli rozchodzić. A odbyło się wszystko tak pięknie i z największem zadowoleniem i przyjemnością będziemy zachowywać ten dzień w naszym domu, do tego pierwszego najdroższej i najweselszej wspomnienie."

Wracam i ja do tego dnia, pełną wdzięczną i niewolniczą cześć oddając jego urodzie. Wielki poeta polski i wielki malarz, przeczuli ni kult piękna ostatecznego, dwaj historycy i dwaj weterani, na których piersiach błyszczały ciężkie odznaki na wstędze czarnochabrowej sztandarowej, takowe krzyże Virtuti Militari, byli przyjaciółmi tej godziny, na którą oni z wiarą czekali i na którą cała moja wiara patrzyła po latach..

Pierwszy raz wyjechałam z domu na świat, w św. Feliks, 18 maja, strojna niesłychanie w pistacjową konfekcję na kapocie i jak to mama zapisała w kalendarzu--pierwszem na co się natknął mój wzrok na ulicy, było jakieś wesele..

W grudniu 1874, gdym już miała bez mała 21 miesięcy znowu notatka Ojcowa:

„Nasza kochana Marylka dobrze się chowa, zdrowa, bardzo pięknie się rozwija, szczególnie zadziwia dokładną wymową, xxx wielką pamięcią i szczególniejszym pociągiem do rysowania. Główek tak dobrze trzyma w palcach, jakgdyby już dawno z tem oswojona. Rysuje nawet figurki, które istotnie mają podobieństwo do ludzkich, domki i.t.p. Umie nazwać dokładnie wszystkich malarzy, których obrazy w naszym pokoju sypialnym wiszą, jako to Murillo, Correggio, Holbein, Palma, i Grottger.

Raz po raz jawi się w kalendarzu jakiś zapisek związany bądź z moją malenką osobą, bądź z towarzyską kroniką domu.

Pierwsze nabożeństwo w życiu na jakie byłam wzięta to ruska msza święta w dymiskiej cerkiewce. Jest też notatka o wizycie rodziców w pracowni Rodakowskiego, gdzie widniały na sztalugach właśnie ukończone portrety podkomorzyka brata jego Maksa i pani Zofji z Dobrów Juliuszowej Wiedeńskiej. Jest zapisek o bytności Matejki i obiedzie danym dla niego przez PP: Rodakowskich na Tetherówce pod Lwowem, na którym byli i moi rodzice, o wieczorze, który spędził u nas Daniel Penther, malarz, kolega Tatka z monachijskich czasów, rzadko jawiący się z Wiednia w rodzinnym Lwowie.. Potem śmierć Moszczyńskiego. Pierwszy umarły jakiego widziałam i moje pytanie „Czy ten dziadzio to święty?"

Z dwu par chrzestnych rodziców, główną rolę grał w mem dzieciństwie Henryk Rodakowski. Dziś dopiero widzę, jak chyba cenił moich xxxxxxxx własnych, skoro miał dla ich dziecka tyle dobroci, tyle drobiazgowej pamięci, skoro przez lata całe nie opuścił żadnej gwiazdki, żadnych urodzin czy imienin, aby malutkiej, a potem większej, nie sprawić jakiejś wybrednej, radosnej niespodzianki. Najpiękniejsze lalki, najkunsztowniejsze pajace, meble lalczyne zwierzątka, jak żywe, miałam od niego. Zawsze albo przybywał z temi darami sam, albo gdy bawił za granicą, towarzyszył posyłce zabawek

czuły bilet z serdecznościami. Dla Lili chochlika moja lalka karolcia, karykatka, przysłała z całą biurą [illegible] na którąś imieniny, była także jedną z darów modnikowskiego. Lubiłam go i była na niego rozgniewana. Jeszcze, że jest wielkim, polskim malarzem i że został od Francuzów złoty medal. Zazdrościłam się, że go nie nosi i bardzo żałowałam tego medalu wielkiego. Lubiłam słyszeć jego [illegible] bardzo niski, szczególnie dźwięczny głos, nietylko dlatego, że często towarzyszyła mu nowa radość, czekolada i pudry i szelestające papiery, ale dla jakiejś solenności, która mnie przejmowała jego pobycie. Nie bałam się tego [illegible] ale [illegible] dziwiłam się poetycznym strzępom dowcipnej rozmów o nim, czułam rozwijające się [illegible], dalej i świat z którego przybywał. Zaciekawiała mnie, jak wszystko dla Artysty niezrozumiałe, jeszcze niż [illegible] obcą francuskę panią, która chętnie przeplatała rozmowę, pociągała z gracją strojną, [illegible], smakowała jakby cząsteczkę, która w latach później poświęciła [illegible].

Nie potrzebny był do tego wszystkiego artystów, którzy u nas bywali. Jeden inny był n.p. [illegible], z jego zniętą fizjognomią chorego psa, z ciężkim [illegible] i ciężkim [illegible], dobywanym zawsze z kieszeni, gdy ich nas przechodził na dłużej. Kładł je na [illegible] siwą po trochu na dywanie i mnie nie chciało się [illegible]. A gdy zresztą nóż, najczęściej kuchenny nie rozcinał się [illegible] do drugiego pokoju. Zapamiętałam go jednak [illegible] i lubiłam mi je wszystko... Był inny był [illegible] i [illegible], mówiący cicho i łagodnie, którego chciałoś pocałować po stukocie drewnianej żuli[illegible] utrzeć i [illegible]. --i który robił studjum z [illegible] [illegible] [illegible] do obrazu jakiś świętej... [illegible] pan [illegible], [illegible] [illegible], swojski, zawsze jakby trochę niedźwiedź na [illegible] -- to byli [illegible], [illegible] inni ludzie. Zdało się, że modelowali [illegible] [illegible]. Był [illegible], wytworny, bogaty [illegible], że -poza całą sztuką artysty i pięknością [illegible], jest [illegible] a [illegible] [illegible] jego ruchu było to, że był niezmiernie w

życia szczęśliwy...e potrafi być ona tak różnie usposobiona,to zjawisko jeszcze mnie nie zetknęło.

Drugi mój ojciec chrzestny wcale się na zmianę nie zapowiada.Niedaleko istnieje,jak się mówi,bliski jest,ale bywa u nas rzadko.Przyjaciel chrzestny zbyt pochłaniający jego czas, żeby myślał o czymś innym prócz o tej,która kochał i której nigdy nie zapomni.Przyjeżdża on się widzieć dopiero wtedy,gdy przyjedzie się pożegnać z rodzicami,wyjeżdżając na stałe za granicę.Było to po śmierci mamy Waldowej.I dużo o niej mówił,ale szczerze to i mnie jego niedobrze,ani tam czegoś,czuł się,i tyle podniósł na ręce na odchodnem.Wówczas mnie i Wiktorowi było wesoło,ja zaś,nie oszczędzając w tej wesołości,zachłannie się i wtedy na serdeczność rzuciłam. Niezgrabnie to wszystko się mówi o wzniośliwej przeszłości.Stanęły one w czasie poety nie z myślą za mnie,ale na swoją cześć.Zostały mi wyciągnięte jednak te wskrzeszone,kryjące się kosze i mnie pojęte pewne racje.)

Dopiero po wielu latach w r. 1897,gdy normalne życiowe przyjęło mnie w swoje ramiona,wyzwoliwszy z tych chrzestnych objęć sobie wrogich,dojrzałam.

Wśród tych chrzestnych matek,panna Leonia Blöhdorn,późniejsza wicehrabina de Romanet,wydawała się mnie pojęciem całkiem nierealnem.Wychowana w gminie zanim zdążyła się odtrzaskać,wsiąkła w szarzyznę,nim zaczęła rozumieć.Ale panienka o mnie mówiła tkliwie,jak wielki malarz,jej ojczym. Do dziś zachowuję kilka jednych drobiazgów,jakimi obdarzała mnie

---

w liście mojej mamy do swojej siostry z d. 12/XII 1884 r.analizującym wartość tej jej przyjaciółki,czytamy,że to ona przy ślubie po śmierci mamy Waldowej,była w Rydze panną młodą, a zatem i r. 1879.Co do mnie,nie wspomina o mojej obecności wtedy jest o tyle prosto,że szczęśliwa dla siebie,o mnie to by była mniejsza.Usiłuję się nawet sobie przypomnieć i zdaje mi się,że ja wtedy jeszcze nie istniałam,ale wiem,że mi mówiono później o tym,ten ślub pożyczył

corocznie, ani zjazdu rozumiem ją dopiero w r. 1864, gdy ...
...stawy kościuszkowskiej w Londynie, czarnowłosą, o ciekawie zarysowanych brwiach i ...
...ch, z prześlicznymi rękami, odzianą w czarną ...
...ę, z koronki i futra ...
...ch, nie ...
...chin portrecie Kościuszkowskiego.

Ostatnia ...ga ...ł ...ę, ...ch rozbiorów, jedenastoletnia ...córeczka Leonia Zamojska, ...ść owieczki Leonia ...asza kochana, jedyna jedyna żyje ...ystkowała we Lwowie. ...zamyka ...ch niej również wiele ...ru, wiele ...ości, wiernej przyjaźni i ...wania. ...o niej snują się przez całe moje życie, ...ane mnóstwem nie zatartych śladów. Zrazu ...ie rękami ...ętali strachami, ...chodzeniami ...od jej ...ia ...ych rąk, ...ej uczyła mnie ...ania się ...atką, ...ą ...ą ...ą wiele razy, ...ch ...ich ...ch ...ami ...głowie ...oko i ...ojem ...isko ...ść.. Jedna z ...ch istot, ...ego ...iej ...ę, ...ch ...ich ...ni ...ni dla siebie i ...ich, ...ni ...ie i ...ni ...ni. ...ko ...ni ...ty, ...ę do ...ki, ...ę, ...ni ...ę. ...ale ...ę ...ę. ...ę ...ę ...ch ...ni ...ie i ...ie ...ch ...ch, ...ch ...ch ...ę ...ch.

...ny profilek Leonii ...ej ...ej ...ej

Najwcześniejszym mojem własnem wspomnieniem, są krople rosy, błyszczące jak paciorki na hamaku pajęczyny, przyczepionym do ciemnej zieleni czegoś, o czem dopiero znacznie później dowiedziałam się, że ma na imię--sawina. Cudując się a nie całkiem jeszcze myśląc, czułam do niczego innego niepodobny smak zachwytu.

Działo się to w ogrodzie „dziadzia" Prajera, jak nazywałam uprzejmego staruszka w którego domu--przy ul. Kazimierzowskiej l.37-- odnajmowali rodzice mieszkanie i przy którem to mieszkaniu był ogród z ową sawiną i pajęczyną. Mogłam mieć rok drugi albo trzeci najwyżej. Pamiętam dobrze wysokopienne, ciemnoczerwone róże, koło których spotykało się zwykle staruszka-gospodarza, odzianego w białe, letnie ubranie i słomkowy kapelusz z kresami. Róże niedosięgnione dla mojego nosa, wąchane jednak nieraz dzięki właśnie „dziddziowi" który je ścinał błyskając wysokonadenną krzywym nożykiem. Spadały wtedy w trawę i nie wolno było ich tykać bo kłuły.

Twarzy rodziców z tego okresu nie pamiętam zupełnie. Byli zbyt codzienni i rozumiejący się sami przez się. Róże i krople na pajęczynie to było coś nowego, czego nie widywałam codzień. Przypominam sobie natomiast dwa nasze pieski. Charcik nazywał się Smyk a mała pinczerka Sucha. Z tą suchą i pajacem od chrzestnego Ojca Rodakowskiego, namalował mnie Tatko na olejnym, owalnym portrecie, który wszakże nie miał być ukazany. Smyk zaś umieszczony został na olejnym również widoczku dzwonkowego ogrodu, razem ze mną malutką i Mamą. Obrazek ten darowany Zeli, jest w Łedyce.

Sucha miała być nadzwyczaj mądra, ale zadzierzysta

i zginęła okropną śmiercią rozdarta przez dzikie psy sąsiadów, a
dalej i zaczęcie. Jak przez sen pamiętam tę katastrofę. Wujek, jak
to mieli z tradycji, był o tyle sąsiedzki o ile łagodni i lekkomyślny
Ze względu na cieniste posiadanie psa (nie) xxx (go) było bić, więc gdy coś
zbroił, oprócz na krótko długie perory, które pies musiał wysłu-
chiwać pokornie, wijąc się z nudów i uciekania. Oraz te, xxxxxx
wyłączane wyjątkowo na otwarte drzwi, bowiem widać psie cumie-
nie, bo pamiętam chłopi, jak wydłużę nerwowe chrapki, cofnął się co-
raz bliżej ściany i wreszcie utykał długi nos w zasuwy za kana-
pą. Pochodził on z Dynisk i wyciągał z tej góry gościńca chmur,
które w tych strzelistości jak jemioły pani Łódzińskiej i
piękny, pomarańczowy przez wrotty zwierzęcia.

Urodziłem się, dziecko, w Łodzi z rodzicami w Dyniskach.
Pierwszy raz w r. 1874, gdy ojca jeszcze matka Cora, kochana, mocno
rzyńska organistówka i ochra wróżka wnętrznej młodości. Jej synek
nie było wprawdzie w domu, gdyż chorą, bo ich w szczawnicy, ale był
w Dyniskach pod dulfin, jej mąż, siostra pani Feliksa z Łopotow-
skich 1-o voto radcy sądu Łódzińskiego II, a voto Maurycowa Pre-
zonga, a córkami z pierwszego związku Anielcią i Kronią i synkiem
Tadkiem. Tadzio wyrostek, strzelał do mnie wróbelki na niszczyste
a raz obił mi we wspomnianego orła. Matka narysowała go ołówkiem
na fasji z tyłu stołu. Mama Dorotka później tę ry-
sunek jego dnie. Bawili przez lato stary pan Karłowski, nauczy-
ciel polskich, pan Breyer i, panna Łódzińska, brat jej
cioteczny xxxxxxxx (stąs) niemiecki, panna Żina Drobczyńska. Ja to
oczywiście weroniem a lat na pewnych, gdyż trzeba podczas
trzeciej wizyty dynisich w r. 1878--o dwa lata po śmierci pa-
ni Izabeli--nos nóż sięgał z trudem brzegu stołu w jadalni.

Pamiętam chmurę, wychodzącą na tarek chrzestny winem, zawsze
to było chłodno i ciemno. Jadłem przepyszny melon, zawsze sy-
czał szampan, podczas gdy za uchem ciemnie, stojący koło drzwi, na mar-

murowym wykładzinę kilka stolików. Jeden nich wisiał wyblakły portret jenerała saskiego, dowódcy konnicy koronnej, chrzestnego, który po ostatecznej rozprawie wyniósł, awansował się na zwycięzcę.

Pan Juljan, rozgrzany kartoflisko wpin pan" ile, że bardzo mocno w domu panował, znajdował się już od czasu w pozie dyscyplinie zupełnie obcej, mniej groźnej niż ją przekazała tradycja.

Po stronie tej był to pan! Oby władzi ki, bogata i przeświadczona panna Izydora Kłodnicka, chowana sierotą u babki, po krótkim okresie narzeczeństwa, szczęśliwego i oczekiwanego ćwczesną etykietą o tyle właśnie, aby się dotyczący wcale znać nie mogli--przyjechała z wsi do ślubie do wyniosłego, zamożnego Juljana, że jej nie kochał i nie będzie xxxxx kochać nigdy, że się z nią ożenił na złość kochance, która go nie chciała, odtrąciła i za innego wyszła. Przez kamienice nie mówili i razem stanęli jasno.

Dwór był duży, pusty, w jednej strzałce mieściły się pokoje młodych państwa, przeciwległym, przeznaczonym urzędnikom, niższej pokojówce, salonowi, jadalnią i pokoiku -gabinecie, koło niejszej, środkowej części, słabo. Pan Juljan często i długo przebywał za domem, w polu, kobietą, przejmującym go strasznym tęsknotą, później z dziećmi trzeci przez sumienność i ciszę, wymyślił sobie wieczorami wyjście przechadzkę po dziedzińcu, przez puste pokoje, wyjść kolei na chwilę do ogrodu i z powrotem znowu się pod . I potem znów wtedy powrót przez ciemne, ciche przestrzenie, pod ciemne, bałkonowe sufity, szerokie, cudnej wiśni do przez dziedziniec, jak przez własny rozprzestrzeń.

Wszyscy--wyjątkowo--zgodnie się na przybyłą. Ona i ten się z czasem dwa synów władysław i Józef, najbardziej, ostatnim wiecznym był Józio. Pan Juljan tymczasem, czysto świetny porucznik wojsk polskich z 1831 r. kawaler Krzyża Virtuti Militari, xxxxx nazwisko uksatrzony i wstręg--do części--polaru, zarodek polityki nałóg kawiarnia i --o ile nie zabił w stanie trzeźwym otoczenia--stracił się na całe życie, tak, naturą, który jedynie lekki

zauszni ze [illegible]. Pani Dora natchniost,a różowej świętej,oddała się dzieciom,ogrodnictwu i pogłębianiu swego bardzo niezupełnego wykształcenia. Potrafiła z czasem,nie własnej i jakże przemijalnej,fizycznej klęski,uczynić zaletę dla korzeni dom,przybytkiem błogim dla innych,których kochała,pielęgnowała,tuliła--i jej to zawdzięczają chyba oni i Grottger,najlepsze tajemnice życia. Nazwisko jej pierwsze zawisze z wzruszeniem wspominanej Marcelii jawi się w jego listach do niej,nazwisko,którego po latach dwunastu było wołające epitafium i nekrologiem wydania tej korespondencji.

Pani Skóllikowska mawiała o tym wyjątkowo,że dotyka świadomości o odziedziczonym przez starszego syna ojcowskim nałogu i o nieuleczalnej chorobie płuc jedynej,ukochanej córki--o tym dość rozumie,że nie zorientowała się nigdy o zagrożeniu Dynisk,wówczas nią wyłącznie pracą ratowanych latami,ani o tym,że wskutek niepraktycznej gospodarki sędziwych rodziców sam nieistniejące cudne drzewo z parku na opał--aż w końcu główny wierzyciel,Sydd,Weiss,sprowadził się --jako właściciel -do dworu.

Mama kochała matkę Dory może bardziej nawet niż własne matki jak nazywała babcię i siostrę jej,ciocię Zofię.Zdziwiona jej cała(była całe życie i do końca wspominała jej rozum przenikliwy i sposób,jej nieporównaną wytrwałość i hart. Pamiątki po tej jedynej,ukochanej przyjaciółce,nie opuszczały mamy do ostatka.Matka Dora wysłała przywiozła z dyniskiej oranżerji mirt dla mamy ślubnego wianka,włosy jej,wraz z włosami Grottgera,wkładałam,wedle zalecenia,do matczynej trumny.

Takie tedy były dzieje pani matki Dory i Dynisk.Ale wtedy,malutka,nie czułam żadnej grozy.Owszem,lubiłam tego skłonnego,starszego pana,którego wielkie chustki do nosa pachniały zawsze czymś wyśmienitym i który nieraz brał mnie ze sobą na przechadzkę po pokojach,w których apartamentach nie miałam racji bytu i które dlatego właśnie bardzo mnie zaciekawiły. Stały tam piękne ciemne meble o połyskujących jak szkło,cudnych,takich na nosach

domowych sprzętach nie było,wisiały piękne obrazy,wszędzie roc[illegible]
świeżych kwiatów i choinek książek. Uroczyście zachowywano nie
hafty[illegible] ścianki w drewnianej ramie+ze+ram+stojącej przed piecem
na której jakaś cierpliwa,rodzinna niebosz[illegible]ka wyhaftowała bukiet
niebywałych kwiatów,najczęściej róż,wielkości mojej**xxxxxx** własnej
twarzy. Jedną z nich [illegible]elhiftu i kochałam najbardziej.. Była żółta
i miała ogromne płatki.Obok niej wisiał błękitny z kwiatami po-
koju o zarzuconym pilotnie wysiu.

Głównie dywan wtedy czasami..Na [illegible]oty w pamięci **xxxxx**
zatrzymanie jakby kolorowych plam z tego czasu,ostrych i nie
[illegible]ących z latami.Centralnie po pokoju zerwane o koło oranżerii **xxx**
przez zimę,gdzieś,koło zielone talerze i kubki,wzory które brze-
gami,a na dnie kwiatka pełne jakby światła,które się może wy-
lać w naszych [illegible]rach... czarny sitko na nalewanie,z rurką okrągłą
ciemnością szczeliny, z której [illegible]ko,[illegible]ało, czerniał [illegible]dę do po-
lewania gruzek,o [illegible]ach i pierwszej zapałczanej na [illegible]ko-
wach,bitej porcji [illegible]esień na [illegible]rinatowej ścianie, bibinę,która była
nisnią
[illegible]ach...

[illegible]r. 1870,przed wyjazdem [illegible]ę na te trzecie dymi-
skie [illegible]acje,ktoś [illegible]e [illegible]cie moja [illegible]kolna siostrzeńska [illegible]ndzia,
[illegible]ała [illegible] [illegible]rocząt o [illegible]ernie [illegible]ocznej. Nie **zaraj** cieszyłam się nią
[illegible]ale [illegible]dy [illegible]ła..Raz,pamiętam [illegible]ochie [illegible]ą siedziała na fotelika
mojej lalki,zarzekał [illegible] jej [illegible]o i [illegible]ie [illegible]ibrała [illegible] [illegible]n.Bodaj[illegible]ego
[illegible]rzyby).. Była [illegible] **bardzo** chora,[illegible]o [illegible]ierpiała [illegible]orączkę i było ko
ło niej jakieś [illegible]niepokojące i niezręczne.Zastanowiło mnie wtedy s
silne kolory na [illegible]ej [illegible]ai i [illegible]ronności błyszczących,nieznanych
[illegible]eskich [illegible]rzeczy.Interesowało mnie,że [illegible]ul się [illegible]iesił w ten fotelik
i jest on taki [illegible]ładny.Twarzą srostrzeżoną przestraszenie rozśmiesz.
Często patrzyła w lustro podchodząc się [illegible]chie,ale [illegible]zapamiętałam to nara-
rawdę bez niczego podchodzenia do próżności.Uprzestrzeń jak się widzi
że coś jest [illegible]ier [illegible]ej [illegible]o niebieskie. Jedni są [illegible]ałki,drudzy nie.
[illegible]niej jeśli są [illegible]ami.

Ochrasa i wymizerowana patrzyła na mię Joasia cały dzień, milczała..nic,ale to koniecznie nic nie znaczyło,że tę śmierć matki pominęła. Szukałam spostrzegawczo inny wygląd domu i znanych dopiero z jakiś czasu przedmiotów, nie było poprzedniego zacisznego pokoju w którym się paliło wysoko postawione świece..

Podniesiona przez mamę schodzi na matkę,niebieską ubrany dzieciątko.Była zawsze bladą na buzi,czasu jej były zaklęte,rączki o zaplecionych palczykach białe, tłuste,cała była zasypana gołębimi jasnymi. Dziecko to miała być naszą wielką radością. Zdało mi się czemś złym, kogoś zgubić bezpowrotnie oczekiwanego. Żal ten zniszczony jej milczeniem ale nie a nie smutkiem. Przy tłustej, czarnej niedzielnej już zresztą kogoś kto mam i Zbigniewa śniadaniu trwanie. Był to obrazek. Żywo mnie też czyjeś przypomnienie po latach, że Joasia jest teraz mniejsza,co mi się zdało bardzo dla niej korzystnem z uszczypnem dla nas. Zbyło mamin płacz portret mnie i Zbigniewa. Zdała mi się takie jakby mniej znajoma, a chciałam wyrazem twarzy którego mi nie znalazłam. Jakże nierównocześnie wysuwa się szuflady całego biurka pojęć! Stworzenie,które umiało już wyjaśnić obrazy, zauć urody natury, i ludzkich twarzy,było zupełnie tego nie tylko na śmierć ale na szczęście najbliższych. Gorzej..bo gdym następnie w lipcowych zobaczyła nad łóżkiem mamy przywiezioną ze Lwowa fotografię Joasi w trumience,ozdobną w modny wówczas i cenioną kremową prasą kwiatami--uczułam szkaradne ściśnięcie serca o to,że widoczanie nie ja tylko nam do mamy przyszła, nawet tej fotografji mogłam ze sobą na lato nie zabrała..Doskonale pamiętam uczuć i niesmak zgrozy.Było to tem gorsze,że rys na widoku przedstawiający kolcin,mojego starszego brata o rok mniejszego, takiś w trumience ułożonego w lwowskiej sypialni rodziców,wcale mi nie dolegał.

W kalendarzu z r. 1872 pod datą 2/7 zapisał matko:

"Zdaje się,że o 6-tej wieczór,ubrał się pogrzeb naszego

Aniołka. Chociaż deszcz padał, zgromadzili się dość licznie nasi najlepsi przyjaciele. Ludnik wyglądała dziecina, złożona jakby śpiąco, ustrojona w błękitnej sukienczce, którą właśnie na tydzień przed śmiercią chrzestne matki, panny Skólimowskie na imieniny jej zrobiły. Stół na którym leżała obstawiony wszystkiemi kwiatami matki i wszystko to matka sama ułożyła. Trumienka była z białej blachy, srebrna. Wieko przyłożyłem sam i z Henrykiem Rodakowskim wynieśliśmy trumienkę do powozu. Powieźli ją na kolanach: Panny Skólimowskie, Józef Kuliński i Stefan Grzywiński. Pochowana obok prababki swojej w babki Bandzi. Przy tej sposobności doznaliśmy wiele dowodów przyjaźni. Kuryla przy tym całym wypadku zachowywała się dość dziecinnie i tylko skutek matki robił na niej wielkie wrażenie..."

A poniżej, pod datą 10 lipca krótki zapisek:

„Wyjechaliśmy do Wyniska na usilne zaproszenie pana Juljana Skólimowskiego.".

Bywała w Wyniskach często muzyka. Grywał--o ile nadjechał--pan Władysław, starszy syn domu (uczeń onegdaj Liszta) którego przypominają mi zawsze wizerunki Jana Kazimierza, --grał Staś Niewiadomski, panna Zofia i Mama śpiewały.

Głos Mamy dogadzał mi jak najpiękniejszy zapach, jak jakaś najśliczniejsza rzecz widziana. Sam dźwięk urzekał mnie, jak gwizdanie urzeka jaszczurkę, bo ani słowa ani kompozycja nie były jeszcze dla mnie zrozumiałe. Umiałem siedzieć cicho i nie ruszać się gdy były przerwy, czekać na jeszcze. Akompanjował zwykle Staś. Miał wtedy może lat szesnaście, może trochę więcej.. Nosił długie włosy, były jasne i wkładały się pięknie.. Obrony chodził ów czeską letnią modą prawie zawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmująco piękny, podobny do różnych głównych twarzy na obrazach i to podobieństwo kłopotało mnie w jego obecności w sposób przyjemnego przykry. Lubiłem kiedy grał, przypatrywać się jego pod

niesionej żorie, k ćrej rysy ni pokoiły mie i pociągały mi nie-
mu--uniętin, narad ń ćwć ćtckrćtek, s ć głosni, bez cychćń,
po łai cimnata i nasłuchują tę scćhnię a kiniese ćbj ć ćsadić
ie dołśli ćie jećnej cućji i bez ceremonji strzaskać wszyst-
kie pod ćortćiny!

Wujciłence kołć tyniek.niesakł i gospćarował,jest
ese wćcsne nie dcnaty,kładsą ej ..kćlinowych,jćsć.ronie-
nąć hcili w tyniskch prawćie re.. i lub sali bardec lisej
a wsapscy cgrcni pppppp

godzą swoich sprzeciwiających się ich rozwiązłym. Stawiała siebie przed Bogiem i ludźmi spowiedzią całkowitą, a od której oczekiwała, że przyniesie potrzebne rozgrzeszenie za to, że była bardzo rodzinna i fakt sam jej życia, siedzącą przed nimi, przejściowy swój rumieniec dla tatkowych pleców i najwyraźniej przed Bogiem chrząknięcie jakieś zaaprobowanie. Rozpoczęła się coś we mnie, że tatko tak umie, ale ja jeszcze swego rodzaju nie znam, choć z tym, że mam trochę. Przy tym to jest jednak wiek bardzo wiersze..

Zachwycam wyrzucającymi się z ogrodu Brajera, którego ogród i [illegible] z nazwą bez ładu pod [illegible] wiejskiej-- i [illegible] rzeźbiarstwie jej przy [illegible]. Szczególnie to [illegible] i okna wszystkich pokojów wychodzące na jakieś ciasne oficyny, ponad którymi widać było czyjeś firanki w czerwone kratki. Zależało, [illegible] firanki, czy nie i nie było.. [illegible] bielone te okna. I ciągle [illegible] wyglądały [illegible] podłogi, lub ściany [illegible] i [illegible] nie przypadły [illegible] latających [illegible] i [illegible], był moim codziennym, ciągłym teatrem. [illegible] Pani Helena Brzezicka, siostra [illegible], a potem [illegible] i [illegible], [illegible] [illegible] w oknie. [illegible] [illegible] [illegible]

krzesło było na tle całej ściany na wschodzie ono górowało
i zaczęło mi się wydawać..Później tak Tygrysie jak lwi wzór
mogł być, a co najdziwniejsze, zmienił się xxxxx kolejność woli, jakby
coś wydało mu się, że jednak ja coś wymyśliłem. Stałem jakby xxxx
nad jakąś otchłanią. Nie wiedziałem co zrobić się. Ka-
zano się to, jak coś o dwóch wielkich oczach grożą przybliżam.
Ścisnąłem mocno w prawej ręce ołówek, oczy otwarte do-
kładnie jak były, nikogo nie widzę a pomimo i równocześnie wydali
zmaterializują się wszędzie w ludzkości seen, zarysy ciemnych xxxx
xxxxx jak chmurki, potem spojonych konsekwentnie w długie cno-
widzi. I pomyślałem tylko tak realizować jak jest, coś
mi było wiadomości, że ścisnąłem, trzeba z góry, wtedy się
się przy tym w jego zakrzywionej konice, wspaniałym cohir różnoś-
ci, o którym mi się przed momentem nie śniło. Ze był tylko było
jeszcze mocno xxxxxxxxxxxx ścisnąłem ołówkiem, ruch w powietrzu,
rzu, jakby się to wirowało i to w tym kierunku, jak kluc-
z dziennym w tym. O swobodzie i obfitości a jaby ci się wyma-
łą i chwil spokoju w takich trzech, które nie mogą dać pojęcia

Zrozumiałem się, że widzę to potrafi i wcale się
z moi chrzcinach się kryć..Natomiast cichcem jednak na chwilę
i z kuszącym w oczach, opowiadam prościutko niestworzone historie. Mo-
ja przyjaciółka to niewiele, tylko bo się z trochę, zmęczyła się
śmiertelnie i jakby się wydziwiła z oczu jako zaczarowana rze-
czywistość. Nie było w tym żadnego przymusu pospo-
lity brutalny wzrok rodziców na zbóść. Ja rosła, w nas opo-
rządzeni i nie ma ich tamtego roku.

W jesieni 1977 wzięli mnie w ciężkie ramiona po raz
ze znakowe..Wziął pięć rub, mówiąc prawdę już wielu królów
rolowych, z obrazu jeden królewski jeździł, który zostawił xx
Willelmu..Nie wiem, że to on leży na obrazie, rozpiętą z jej
stóp, mimo mnie to co mówię się co mi chciał Janusz, zostawił

łam książkę o panu Twardowskim w której był śliczny obrazek na którym czarodziej jedzie karetą po krakowskim rynku i tłucze żoninę garnki--słowem, zupełnie dość aby stworzenie tak rozbudzone i egzaltowane wprawić w szał radości, gdym do Krakowa dojeżdżała. Naturalnie, że i na Kopiec Kościuszki byłam przygotowana! Gdy mi Mama pokazała krzemionki, wiedziałam już że się tam Twardowski z djabłem zmawiał, nie miałam też wątpliwości, kto był dziś największym, polskim malarzem--znałam jego fotografję, na której napisał własnoręcznie: „Karolowi Młodnickiemu, przyjacielowi od serca--Jan Matejko. Tego Matejkę, żywego, miałam takim zobaczyć.

Wujostwa Korczyńskich nie znałam jeszcze, ale wiedziałam od Mamy jacy są kochani i jaka ciocia piękna. Istotnie ciocia była wspaniała, jednak dla moich krótkowzrocznych oczu jej biała, poważna twarz była o wiele za wysoko. Mama miała wzrost bardzo okazały, ale była niższa od cioci Zdziowej. Wuj zato, znakomity lekarz i profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu od razu przypadł mi do serca. Brał mnie na ręce, nosił i miałam też przed sobą jego śmiejące oczy zielonkawe w ciemnej oprawie jak oczy Wiodzi, mówił głosem który się musiało lubieć i czułam, że się mną naprawdę cieszy. Bardzo, bardzo pokochałam z czasem moich wujostwa. Narazie byłam jak półprzytomna, podniecona nowością wszystkiego, co--(Brzmieć to musi komuś nieprawdopodobnie a jednak jest prawdą uczciwą--) przepełniało już wtedy odrobinę mego serca w sposób dziwnie gwałtowny. Polscy królowie Zisła, Twardowski, i Matejko którego miałam zobaczyć! Był we mnie zawsze głód piękności, wzniosłości, głód zachwytu, ekscytowany pewno i otoczeniem dorosłych, entuzjastów i dziwacznym nałogiem, który przyspieszał rozwój moich pojęć w sposób anormalny.

Gdym się znalazła z rodzicami w pracowni Matejki, całą ścianę naprzeciw wejścia zapełniało olbrzymie płótno Grun-

waldu. Przed niem stało coś jak przeźroczysta xxxbxxxx ambona z galeryjką i schodkami. Matejko witał się z rodzicami, potem wziął mnie na ręce i ucałował.

„No cóż tam widzisz? zagadnął obracając ku obrazowi.

„Nic nie widzę, tylko same kolory..

„A ludzi nie widzisz? dziwił się.

„Nie, nie widzę..

„Jak to może być.. Musisz zobaczyć! i wyniósł mnie po schodkach na ambonę, czyli podjum, na którem stojąc malował wyższe partje obrazu.

„Cóż, lepiej widzisz?

Zobaczyłam teraz za dużo. Ogromne, wytrzeszczone oczyma, brodate twarze, zawieruchę ludzi, koni, wszystko zabliskie zawielkie..

„Tak, teraz widzę.. przyznałam, ale musiał dostrzedz że mi nieswojo, bo mnie znowu zniósł napowrót po schodkach, prowadząc brzegiem wzdłuż obrazu.

„Popatrz --mówił-- wszyscy na górze to Polacy a ci na dole to Niemcy pobici! Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?"

„Ten biedny Niemiec," powiedziałam pokazując na Lichtensteina. Błękitno biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza, zachwyciła mnie.

„A bój-że się Boga, Niemiec!" zgorszył się Matejko a potem dodał żartem: „Otóż to, znowu gust niemiecki nie godzi się z polityką..!"

Całą tę rozmowę zanotowała Mam pokrótce w ówczesnym kalendarzu ale i mnie samej wrażenie i słowa, oprócz ostatniej refleksji o kobiecym guście, utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego z d.17/10 w r.1880, wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej, ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk „A bój-że się Boga, Niemiec!"

Wrócił mi on wspomnieniem po latach, na rozstajnej drodze życia, wobec dziwnie podobnej, zwichrzonej, złotej czupryny Niemczyka.. Mój Lichtenstein nazywał się inaczej, ale przegrał tak samo..

Pomszczona przez Mamę odchodząc, pocałowałam Matejkę w rękę. Znowu mnie podniósł i uściskał, a potem, stawiając na ziemi odgarnął mi grzywkę i musnął palcem po czole. Pierwszy to raz nakreślił mi krzyżyk, co czynił potem zawsze ilekroć później odwiedzałyśmy go z Mamą w pracowni, albo gościli u nas we Lwowie. Zawsze wracało mi w jego obecności poczucie, że to są właśnie te momenty dla których żyć warto, że po takim krzyżyku uświętym ręką Matejki na czole, człowiek sam jest jakby wyświęcony xxxxxx xxxxxxxx czy pasowany na lepszego, sam sobie odtąd więcej wart i winien. Ale wtedy byłam jeszcze za mała aby to tak wyrazić, czułam jednak wielkie podniecenie i najszczerzej myślę, żem poznała sławnego Matejkę.

Pobyt ów wszakże krakowski nie z samemi zaszczytami ale mnie się łączy. Niestety, nie piękne rzeczy wyznać mi trzeba. W Krakowie bawili wówczas tylko obaj Bujowie Edward i Adolf, oraz dziadziowie Korczyńscy. Ciocia z Edziem przebywali w Kobierzynie na letnisku. Byliśmy tam także aby ich zobaczyć. Edzio chodził jeszcze w sukience jak dziewczynka, był bladawy, bardzo ładny ale mało mówił i nie był wcale mną przejęty.

Raz, podczas naszego pobytu w Krakowie przyjechała ciocia z Edziem i byliśmy na obiedzie u dziadziów. Przyszłam do stołu w złym humorze i skwasiłam się jeszcze bardziej, widząc że Edzio dostał dziecinne, wygodne krzesełko, ja zaś siedzieć miałam na zwykłem, wypiętrzonem poduszkami i albumami. Buntując się i wierząc, bardzo trudno było na tem usiedzieć.

Mimo moich egzaltacji i estetycznych uniesień, bardzo byłam łakoma. Podano pieczeń. Zobaczyłam, że babcia położyła Edziowi na talerzu xxxxxxxxxxxxx kawałeczek nerki. Nasze wzięli in-

ni..I jego obojętność dla mnie i niewzgodne krzesło i jaunaz
rażdy z nerką-- i ton ja zawsze dostawałem polowę-- dopiekł
mi miarę tego rozdrażnienia. Postanowiłem,że póde i nie wrócę.
Obeszłem prze ogrody i ogrody a otem,idąc się prze ustawnie
z chłopcami,wszedłem z przeciwnej strony parcelki w bliskości brattków z liliowemi frontonami,obrócili bez trudu kłosa z trawami i wiązu,bo kapelusz,zleciał schodzi
k brzegu.

Za nim ulicami,pełna głuchej zgrozy i oburzenia za siebie.Był ciepły,letni dzień i nieszczęśliwy urzędnik zmarszczył gniewnie i ogromny ciężar,prosto nie jego nosa. Panienka--nerwowa,wrażliwa! --jak się wzruszała satysfakcją,jak doskonale wiedziała co będzie na poprzek gdy mój brak spostrzegą.. tuwim na ulicach przed skłopotani stanie świeciło,zastanawiałem się parcelką,i śnie mijali.. Nie wiem jak dłużo to trwało.. Zmęczeni latko,tu,nerwowa Zynk chcemy tutaj na tym obiedzie,wszyscy rozpierzchli się po licach ..Wreszcie gdzie stała przed gestwą i przeglądała się w pęknięciu brzozy nosiłem,a samowar,zrapał mnie kto. rol pachy i zerwał w powietrze .. do Zynk pocałowy,ten sam,który naciągał Wilhelma w stół Judyi--Porwał mnie pierwszy i bojąc się zdrady,porwał na ręce i nie puszczał. Zbiegłem jak furja,miałem ochotę wyć na całe oberwać,i zgeszeć na całe miasto--ale wtedy mię wstrzymało. W milczeniu otarłem się niżej rosy a chwilę zwróciłem się w bratni...

Likt nie chcie się o powodzie dziwnej ucieczki..Nie było zwyczaju dumania ni o słońcu. Tu i Tam myśleli inny,genialny sposób.Cóż zresztą z dość przykrych wypadków stoi,jest wpław zimny kompres na żołądek,camillia o ni że jestem bardzo chory i kładziono do łóżka. Wzięto dopiero nazajutrz wolno mi było wstać.Za dziadka świetnie.Obiad,przyjemna kontemplacja,jeden chory ja, wszystko to brzmiało nazwy mi nie i

miękłam na czas dłuższy..

Dziadziów korczyńskich wspominam jak niewyraźne, miłe sny. Babcia, siostra mojej rodzonej, oraz cioci Tereni i Celiny w Czerniowcach, zwana ciocią Lizią, bardzo mi pono sprzyjała a dziadzio łączy mi się z pierwszem pojęciem o skrzypcach. Grał pono pięknie i Mama bardzo go kochała.

Prócz nich mieszkał też w Krakowie drugi syn dziadziów, Adolf, adwokat. Odwiedziliśmy go. Był nieżonaty, miał duże mieszkanie z którego zapamiętałam czarne, rzeźbione meble obite błękitnym jedwabiem i szeroki szaf oszklonych z książkami. Na brzegu jednej z półek za szkłem, leżało kilka czerwonych kamieni. Powiedziała mi Mama, że xxxxxxx przywiezione są z Ziemi Świętej i bardzo możliwe, że któregoś z nich dotknęła stopa Pana Jezusa. Nie pamiętam aby kiedykolwiek później jakaś religijna czy historyczna relikwia, wywarła na mnie wrażenie xxx równie wstrząsające, jak tych kilka Kamyków--po owych naminych słowach. Wcześnie byłam obznajomiona z boskimi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam, że ani Pana Jezusa ani nikogo z nieba nie można zobaczyć. Połową duszy potrzebowałam zawsze rozumieć i wiedzieć, drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę..

Zobiliśmy wtedy z Mamą, ciocią i Cyntiem wiele okolicznych wycieczek, do Skałkanieńskich, mogiły Sandy, Kobzowa--mnie najżywiej utkwiło w pamięci jedno popołudnie w Krzeszowicach, xxx gdzieśmy zwiedzali park Potockich i gdzie mnie olśnił wodotrysk i rozmarzyły prawdziwe, pływające po stawie łabędzie. Zostało mi też stamtąd wspomnienie pajdy chleba z masłem i miodem, którą wysuwającą się z niezgrabnych rąk, przycisnęłam z całej siły do serca. Los zdarzył, że miałam wtedy na sobie ładną błękitną sukienkę, obszytą falbaneczkami ze strzępionego jedwabiu. Biedna Mama!

Ja [illegible], w mojej bujnej fantazji, podsuwały
mi i ja kości [illegible] i xxxx katedry. roby królewskie
to był dla mnie tylko cień a to były szczęścia. nikt nie
mógł zarzucić mi wiary, że szczęścia. Mam zwłaszcza mid
cudowną tolerancję dla potrzeb mej wyobraźni i jej wolność
zum fabulieren towarzyszą mi xxx na wszelkich odrzucających
wędrówkach po lasach i dziuplach, które zaludniały krasnoludki
koni i xxxxxx innej fauny dowcipi. Nie było to może magicz-
ne, ale niezapomniane. Nigdy wreszcie nie stosowałem
żadnej pomyłki w rozróżnianiu dwu światów.

Na podłodze, tuż przy łóżku, po mej
lewej stronie, jeszcze w starszej siostry, a mojej, chałupie
leżała biała, wełniana kapa.

Przyjemność ją mieć była dla mnie [illegible] i ogromna
nie tylko pewnej [illegible]. Kapiąca rozpakowywanie walizek.
Natomiast niezwykłe światło [illegible] moje oczy, [illegible]
[illegible] prześwitujące kolorowe szkiełka na kolorowych [illegible]
kach z tej samej zagranicznej różnej, innych, które w domu
ciotki Heleny przy [illegible] i tych jej [illegible], stanowiły [illegible]
rotex rumuńskie jedwabne chusteczki na głowę, kraciaste, błyszczące
„testowe" [illegible] i prześcieradła [illegible] z [illegible] kilimek, [illegible]
ninne ścięte ostre płócienki na nie [illegible] i modre. Alejnot
nie kilimki [illegible] po roli [illegible] na kanclerskiej kanterze
[illegible]..

Okropnie mi się [illegible] przyjemności tej [illegible]
figurki, [illegible], barwy jesiennej [illegible], i której [illegible] kwiat [illegible]
białej, a [illegible] [illegible] [illegible]

dzę stroniek włosó czarno-granatowych, się tyłem kolan i ryse- 27
które uszczu i cóżnie[illegible] ni się zbyt prosto na ramiona
wy[illegible] Kabotu wielkie i granatowe jak jeziora, ciemne, mi
ziste oczy, długich, dymiących powiekach..

[illegible] ilę, tego roku uczesił się zdaś.

A cóż by[illegible] a nie lubiła pani Bustachowa
jesienny [illegible] jej córki, [illegible] ...cała była, cała [illegible]
czarne oczy i chwy[illegible] wielkie zainteresowani [illegible] wrzeniu
ruki i [illegible] ja za wczoła, kiedy ni ni jeszcze nic śniło
o [illegible], tylko [illegible] pijutki i [illegible] [illegible] kuzik.
[illegible] in [illegible] ...czyła się robić [illegible], [illegible] [illegible]
kie [illegible] i [illegible] ...ju, [illegible] wchodziła, [illegible] jej podnie-
sione [illegible], robiło [illegible] półkrot, i jej [illegible], czarne, rozś
[illegible] oczy.. [illegible] się [illegible] [illegible] [illegible] [illegible],
[illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] [illegible],
[illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible],
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
ka i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible]..[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Scenes

A rodzina [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible]

jak śnieg, a z daleka... Ja obr sie tylorse niebiesko, pomarańczowe, ro dnie kolejne kolorowe gałęzie ścieżki. Kosząki porcelanowe, z pozłacanych złocenia rączkach, stoiłki z przeróżnego kryształu na ścianach rono ś. anielskie dispotnieje) emerald, ciężkie kwiaty z kości. Kwiaty całkowicie były po stronie ścieżki - 2d całkowicie ciężkie z srebrnych ocesjonii z rączką.

Ogromny zakład ujeostwa potrafiłby pomieścić jeszcze dziś. W półkach znamienite były z ojcine zajęcia kredowe z chrystami na rogach, kwiatki i fotele półkrągłe z jasnego drzewa, chłodne drzwi i białe pirogie różowe, tonące na chmurce z wierzchołkami, porozpięte i róż chrystofori wiszące, na jasnej ze skrzydeł, fioletowy, pełen pleksiglasu i bracelowych dliwek. Po tych o cudów przeciwpilula ciecie cukrem wpinki z ciast. Cała tina kilka rzeź, cały pokój w fiolety. Jiotka ho is nicie sentymentalne gusta i ciemna ifaiana j. lasząca na ...ych xxxxxxxxx sat ...ch.. ie przedstawiało ij to tkóre, ś ło starości nikt się lenił i świetnie..

W cesu ujeostwa był (d)ar półki na której stały wy- lafior- kwiatowni- a tkt ry i kolorowe papierów kościół i fort er.ki. Przede wszystko pamiętam o ni wejść do ręki te budynki. Kłaniano sostały przez ujeostwa, gdy po powstaniu Kłyo cześniejsze kiełki, ustępowali ciągi ii.dnosiłam się do nich podobnie jak do kolekcji ekki dózia Kólinowskiego. Zawsze się ś a w ołtarzu miesz.niu, ołek świer ocących kwiatków i mnóstwa zielonych kółin, znajdowały się i te prawdziwe, xxxxpxxx posępne i wrzosowate..

Ujeostwo nie lubili ini-ci, ale ich był często gwarny, bo najdziwniejsze tu z wsi drugie siostry ratha, siostry Ahiela, jej mąż i wiele innych ujeści i ich chłopcy.

Zaraz za nią jeżdżą się stryj Zdzisi Kolinicki z siernicami, ujeżdżarse, a rozwieśnie. Stryj, który chciał zało-

wiek, w którego [illegible] i [illegible]..
[illegible] i [illegible] [illegible], [illegible] o
którą i skłopotany [illegible] [illegible]. Z Ojcem [illegible] nigdy nie był nad-
to blisko, ale stosunki [illegible] [illegible] 4-go listopada i na [illegible]
św. Edmund [illegible] później, rozpoczęli [illegible] dość jednostronne listy
z Oksfordu i [illegible]. Nosili się [illegible] bardzo wkrótce [illegible]
a potem [illegible] ich [illegible] tylko wspomnienia rodzinnego domu. Ostry
Edmund [illegible] skoligaconego, stanął [illegible] i chciał rozejść się
z bratem, który po [illegible] [illegible] [illegible], wydobyli się
i [illegible], [illegible] [illegible] do [illegible]. [illegible] [illegible] i
gorąco nienawidzący [illegible] [illegible], [illegible] się przyjaźnić
nie i [illegible] [illegible], z osobą [illegible], [illegible] prostą, po której [illegible]
wszelki [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]

nkole..ajęc lat 20 ni. ziół siwego włosa i bujn. j.go blond
oczyma ciekl tin sw. reat oc na ol'iczn.ch portretach rot-
korn.ch s nieczajowatich cześć . Ni tw. lat prze śtierci pra
powinił obie jasiś piękn. rzech s ~~xxxxxxxxx~~ Jasnochrs i ny-
brał się jeszcze n. tą wojskową. rudi,tu s jkim zachu,ter
~~xxxx~~poruszał o niej i jak w było tercśnia,ż nie zostałyj
wspaniałym c s chodości stworzeniem po wojsku. wuri gdzie już
był zmęczon i schorowany jest w Cesarzu.

Znajomi,s którymi później dali rodzie bliższej,by-
ły rodzina pónstw zinspekcji.h.rni było słuszna,radnie nosili
krótkie włosy,gdy jej l.sie był niemiał już wiosenek/ale dużą
jarzębę i nosił włosy dł gie,o kwiatki.Kpiły sobie.długo-
letni,nad wyraz wilgbiciel ciszi ludzi,postu hydropata,vege-
terjanin,wyrzucał swoim gości,że w Cesarzu wolno wszystko,prze
rodziła i dziwka,rolin wolno istot s bajki,które zakochał i
się bóg. rodzinny tr spotkał się z wielką przykrością zbliżo-
zlekiem i ocenił i wyjechał do roku w lic do ulubionego
miejsca,które przy również się później stało za którym rui
gniskiem. ni.niejszej wieli tu realizy pocz.tkóżyła ~~xxxxx~~
kwitnął wrzosu lasu.z którzy ich bardzo się podobi wnajs-
tszego ,ńcia,nazwano po ojcu ten~~xx~~ty,bajkami,nic dziwnej róż
nicy wieku cór jego lisem. Młodsza wenia,obłonik naszego ~~xxx~~
serca blond ,przy ~~xx~~ojcie,wiolin b.,pos.ową,mroczest wy-
wodem zosia,b.łą fatalnym objawie i z.nigdym,że się nawet
i później nikc nadawało do roboty. wyjątku jak z Tyrolu,c jakie
ośm lat starsza ode mnie,odgrywałam scenę zabójstwa linę.Wlla-
dzia była ona,ubrojona w czerwoną nóż do rozcinania papierów,
malinowi jesień na stokowej łące i do dziś czuję moje serce
bijące pod fartuszkiem już wiązek w chwili gdy się na mnie
rzuciła.Widzę. była wrogość ~~xx~~ jak nie niby zachowuje roten
pod kilimkiem,wójcia i istoty byłej i stwie o'ok fikus a okna,

czyli wróżbiarzą wierzbą, która potem wszystko wyśpiewa. Zwracając się do śmierci kochały z Tyńcią, moją naprawdę najbliższą przyjaciółkę młodości. Ona była moją drużką, ona trzymała do chrztu Luka. Rodzicom jej zawdzięczam pierwsze poznanie Tatr w r 1890 w lipcu, gdyśmy tam obie z Zaną po uroczystościach pogrzebu Mickiewicza, podążyły z Krakowa..

Dom Kaszkowskich nie mogę nazwać znajomym. Byli to przyjaciele rodziców, bliżsi niż niejedni krewni. Młodzież domowa, czyli Minia, Staś, Lolo i Anielka, wszyscy starsi byli znacznie odemnie, ale jakoś tak się to działo, że było mi między nimi w sam raz.. Zupełnie się tam czułam jak w domu i między ludźmi i między obrazami. Wisiany bowiem na ścianach szkice Grottgera, wizerunki koleżeńskie z czasów gdy Tatko w Monachjum kolegował ze Stryjem Mini, Stasia, Lola i Anielki, Marcelina, tym samym, którego portret grottgerowski, profilowy w konfederatce, wisiał wówczas u nas nad trymotką w salonie. Lolo i Aniela stanowili zawsze, latami, moje nieodłączne towarzystwo przy wszystkich świątecznych okazjach, którym dopełnieniem stałem bywali młodzi Piaseccy. Wiotczane moje rodzeństwo, Maryańscy, nie prędko bowiem przybyli z rodzicami do Lwowa i po latach dopiero, gdy Wuj inspektor skarbkowskich lasów, przeniósł do miasta swe urzędowanie, otwarły się dla mnie niezapomniane adresy, najpierw mieszkania ich przy ul. Zielonej w pobliżu Skarbkowskiego Teatru. Czasy te godne są osobnego eposu, na który nie mam czy mi tchu wystarczy..

Bardzo ważną osobą w mem dzieciństwie był dr. Stella-Sawicki, lekarz chorób dzieci, pamiętnikarz z czasów powstania, w którym brał udział znaczny, człowiek wielkiej zacności i dobroci, który bardzo blisko był z moim ojcem, a potem, gdy się rodzice pobrali, przyjaźnił się z naszym domem. Przepadałam za nim i nazywałam go Stella tak, jak się

mówi do kogoś "Kaziś"czy "Staś".

Wtedy już także kochany, najpoczciwszy pan Bełza obdarzając mnie począł najładniejszemi książkami, jakie wychodziły w Polsce dla dzieci. Jemu zawdzięczam nieporównaną z żadną inną książką "Złotą Różdżkę" z wierszami Wacława Szymanowskiego i obrazkami doskonałego, niewiadomego mi autora, które to poematy wstrząsające o "Kasi i jej kotach", o "Stasiu straszydle"- o "Grzegorzu i parasolu" i "Wiciu, który nie chciał jeść zupy', poczem "Pięć dni chorował i umarł na szósty"... umiałam jak pacierz.

Z wydawanego przez pana Bełzę "Towarzysza grzecznych dzieci" czerpałam znów moc pierwszych wolnych powiadomień o polskiej historyi i świecie... Zalosne strzępki roczników "Towarzysza" wpadły mi w ręce na wielkiem rozsypisku domowem, podczas przebudowy Zaświecia, wyczytane do szczętu przez drugą już generacyę, sponiewierane wprawdzie i ledwo żywe, ale pełne godności starego pedagoga, który spełnił uczciwie swój obowiązek.-

-x-

Bywało u nas wiele osób, niektórzy ze znajomych przychodzili częściej, naprzykład kolega tatka, malarz Franciszek Tepa. Przychodził zwykle wieczorem i zawsze zatrzymywali go rodzice na kolacyę. Od czasu do czasu przynosił mi pakiecik biszkoptow i z tej przyczyny - a także i innych - anektowałam go sobie na wyłączną własność, jak rówieśnika.

Mimo wieku było w nim istotnie coś dziecięcego. To zapewne zbliżało go do mnie a czyniło mniej ciekawym dla rodziców, choć go lubili bardzo. Dla mnie był w sam raz. Słodki ten, uderzająco piękny, delikatny człowiek dał mojemu dzieciństwu dużo radości i pokazał ścieżki do źródeł, z których zaczerpnęłam więcej niż mógł był kiedykolwiek przypuścić.

W r. 1853 zabrany był p. Franciszek przez rodzinę Potockich w podróż do Egiptu. Towarzyszył im jako nadworny malarz i tam też powstały jego najsłoneczniejsze akwarele, tam odnalazł swój "genre", szerszy, śmielszy; od

poprzednich miniatur, stamtąd przywiózł w oczach te kolorowe wspomnienia, których kształtu i blask[u] starczyło jeszcze i dla mnie - po latach. Opowiadał mi o Egipcie. Jakże dobrze i wdzięcznie pamiętam te wieczory, gdy za oknami wymarzłemi w lodowe kwiaty, dzwoniły wzdłuż ulicy Zimorowicza saneczki, a w pierwszym pokoju sycza[ł] żółty, pękaty samowar, ja zaś siedziałam obok pana Franciszka na zielonej sofie pod lustrem i słuchałam. Tatko rysował zwykle przy jasnej lampie, Mama haftowała krzyżykami - ja zaś kręciłam z Tepą w świecącym, miałkim piasku [z] kostki i byłam coraz bliżej wielkiego Sfinksa...

Dziwnie dobrze, [że] malarska opowiadał. Cieszyło go pewno także że go ktoś jeszcze, choć tak [rzy], słucha. Zaglądaliśmy razem w twarz obalonego posągu Ramzesa [II] jakiejś arabskiej wieszczynie, dławiło mnie gorąco ciasnego korytarza piramidy, czułam jedwabny powiew nietoperzych skrzydeł u powały, bolały mnie ramiona od chwytów Araba przewodnika, windującego nas na szczyt... Razem z Tepą siedziałam nakoniec w uchu Ramzesowego kolos[u] w Abu Simbel i dzwoniłam nogami nad piaszczystą zboczą, sypiącą się miałkiem złotem ku Nilowi. Ale przedewszystkiem, razem z panem Franciszkiem, współczującem sercem przyszłego zbieracza, przeżywałam pokusę ułamania pewnej wąskiej, omaotanej pasmami płótna, rączki dziewczęcej i zabrania jej ze sobą daleko na północ, na pamiątkę, na dowód że się nie śniło...

Kilka razy musiał mi Tepa opowiadać jak to było. Jakieś właśnie rozkopane podziemia, pokazywane za wielką [k]rotekcyą wielkiemu magnatowi i jego świcie, smukła mumia młodej księżniczki z którejś zamierzchłej dynastyi; cyfra porządkowa obojętną była i Tepie i mnie. Natomiast rączka zdobna zielonym pierścieniem, wązka, o długich paluszkach, drobna i niepokojąca, cienka w kostce, rozpowita już cokolwiek z pasemek - fascynowała nas oboje. - "Tylko nieco w tyle przyzostać, gdy wszyscy pojdą przodem ku wyjściu".. Myślę że dziśbym już tego nie odczuła, ale wtedy każdym

razem odtychałam z r zkoszną ulgą, gdy przychodził moment w opowieści, kiedy pod palcami malarza chrupnęło coś jak sucha gałąź. Potem jeszcze tylko chwila emocyi, gdy pasma lniane nie chciały puścić łupu i trzeba je było po ciemku szybko przeciąć scyzorykiem...

Pączka egipskiej księżniczki, znajoma mi dobrze z ubogiej pracowni - lodowni raczej! - pana Franciszka. /Wchodziło się tam wprost od bramy po paru schodkach, w drzwi lewe na parterze, przy ulicy Sykstuskiej/ leży teraz w gablocie zbiorów Wawelinem i każdy ją może oglądać, razem z zielonym pierścieniem i mumją kota obok.

Wieraz też powtarzać musiał pan Tepa swą niefortunną przygodę z hrabią i krokodylem. Kąpali się raz w Nilu z Potockim i ponieważ Arabowie napomykali że o tem miejscu, u skalistego wybrzeża Koreska, nietrudno o krokodyla, przyszedł malarzykowi niemądry koncept zabawienia się w tę przykrą reptylię. Nawiasem mówiąc miał Tepa prześliczne ręce o długich, twardych paznokciach, które nawet w starości i biedzie starannie utrzymywał,- zupełnie portretowe ręce! - temi tedy paznokciami obu rąk, dawszy poprzednio nurka, chwycił nagle pod wodą niby w szczęki jaszczura nogę Potockiego. Potocki - zupełnie słusznie - nietylko nogę wyrwał, ale z całej siły wierzgnął nią w kierunku napaści: Ugodził wszakże nie krokodyla w zęby, ale Tepę w pierś i to tak silnie, że biedak ciężko swą psotę odcierpiał.

Miałam ukochaną wielce, malutką wyżlicę kurlandzką, której było na imię Katula. Córkę Katuli, śliczną Nelkę, podarowałam pani Aszpergerowej. Gdy zaś z kolei Nelce wyparzyły się piękne psięta, pani Aszperger ofiarowała Tepie zachwycającą, biało-żółtą Kadurcię. To była ostatnia pociecha jego biednego, kawalerskiego żywota. Kadurcia "bywała" razem z nim w znajomych domach, brał ją ze sobą do kawiarni Schneidra i cała dzielnica znała pieska i jego pana /noszące o czarny kapelusz z krezami i podczas demisaisonu drapującego się w pled tabaczkowy z frendzlami/. Wschodnim pono obyczajem Tepa nie wołał nigdy swej Kadurci po imieniu, ale gdy się za in-

nemi pieskami, czy między dorożki zapędziła, krzyczał dziwnym gardłowym głosem: Tulu! Tulu! Tulu!.. Kochał tę psią odrobinę resztką czułości, ona zaś dzieliła się ze starym malarzem ciepłem swojego maleńkiego serduszka, grzejąc go dosłownie, gdy zastygał w nieopalanej pracowni. Gdy go wreszcie, dosyć przypóźno, zabrano do szpitala aby się zagrzał przed śmiercią, nie było sposobu rozłączyć psinę z malarzem, ani malarza z psiną. Dopiero gdy umarł, ustąpiła Kadurcio z piersi swego pana, na której leżała zwinięta w kłębuszek. Potem u zacnej pani Aszpetger, pieszczona i szanowana, dokonała kosmatego żywota, dużo pewno szczęśliwsza od biednego swojego pana.

Pogrzeb Tepy wypadł w zadymkę dyablą. Na wydmuchu, koło głównego szpitala, głowy urywało tym kilku wiernym, którzyśmy poszli za jego trumną. Tatko szedł z panią Aszpergerową, ja owinięta szalikami jak cebula, drepciłam u łokcia starego Henryka Skarbka, podówczas prezesa Koła lit. art., czy Tow. Sztuk P. -Myślę, że jeśli dusza egipskiej księżniczki miała jaką urazę do Tepy, to gdy w tym momencie, przeważywszy na szalkach ozyrysowej sprawiedliwości jego biedną, przemarzłą dolę, porównała ją ze swoją,- machnęła niechybnie jedyną rączką i odpuściła polskiemu malarzynie!

-x-

Kamienica przy ulicy Sykstuskiej, w której zamieszkaliśmy, należała do żydów Berowitzów. Z galeryi naszego drugiego piętra widziałam nieraz na ganku poniżej służącą gospodarzy, niesącą na srebrnej tacy śniadanie z kuchni, na której obok masła i pieczywa leżały stosy czosnku i cebulek z długiemi, zielonemi ogonami. Córka, czy wnuczka naszego gospodarza, którego sama jeszcze pamiętam w jedwabnym hałacie, wyszła później za adwokata a potem posła, Natana Loewensteina.

Służyła u nas wówczas Józia, ta która pozowała Chmielowskiemu do jakiejś świętej i sama widocznie wyjątkowo zaufania godna, bo wolno mi z nią było chodzić czasem, gdy ulicą "Majerowską", dziś "Trzeciego Maja", szła po mleko do "kowalki" Rudolfowej, lub do greislerei Joanny

~~wódlfowej, lub do greisérèi~~ ocenny. Schlarb,naprzeciw niskiej bramy i frontowej oficyny. Bo ld tej Joanny, przyjaznej służbki o blond warkoczach,utkwił mi na zawsze w pamięci,ponieważ na jej oprawach,biało na czarnem lakierowanych literach można się czytać. Na tej płaskiej powierzchni,dzięki,by sobie zmieścić cztery drobne cyfry na duże,nowe czterocentowe nie stki,które kiedyś nie miały i za które można było kupić w cukierni ciastko z marcepanem,piękniej jak złocone na zimno serwetki. Były te tekturki-drogie,w wąskie w czarne i złote słoje,kręcone łuski owsianego chleba,ciętóki.cukier lodowaty i brzeziowych ni zapałek i lodów, chrupiące rochaliki xxxxxxxx tabliczki,które się,niewiadomo dlaczego,kiedyś,kiedyś.. Ciągnęły ulicą Jagiellońską tory,z jednej strony,gdzie stały domy,z drugiej strony ciągnęły się stojące dworki z ogródkami od frontu.Na miejscu dzisiejszej Uniwersytetu nie było jeszcze nawet późniejszych zabudowań czerwonej cegły. Jedynie wjście ulicą dzisiejszego Mała ku Jagiellońskiej,zakłócało kilka wielkich kamienic. Z tej ulicy drewniaki niejednego ucznia z Józią na czele mknęło do Wawelki i ogródka który się ciągnął,przed cofniętym w głąb dworkiem,w którym przez pewien czas mieszkała pani Mela,pamiętam na końcu ogrodu,biały,drewniany posążek Amora.. Józia tłumaczyła mi,że to jest taki biały sierotka wygnany przez wszystkich i skazany.

Józia to,która mi też pośrednio pierwsze pojęcie o znikomości spraw ludzkich...

Był maj,w kuchni u Józi na oknie stał storzyka bez,w którym wysz kiedyś pięciolistne koniczki..Józia ,a nasza cała uczuciowość..Przyniosłem się niesz o ten bez i uprosiłem ab go sobie móc zabrać..Bez,w jakiejś niedzielne popołudnie, przyniesiono Józi wraz ze sobą do jej przyjaciółki,która niedaleko ogródka a tym bzem i córeczkę w moim wieku, zaczęsię. Po drodze opowiadała mi Józia że Antosia jest jedynaczką,prawie tak jak

ja,tylko jej rodzice są bojaźni.Że stoi zachrań Łazarz,bo mi
dósia wytłumaczyła,że boją się tego ludzie,którzy nie mają
nic wspólnego z Jezusem,tylko xxxxx z swoją dumą i tej ogro
mnej,której nikt chyba nie zdoła pokonać. Za tylko dlatego
tam idę,że mnie Jezus jest dość przyjaciółką. Opowiedziała mi,
że wszystko to widziała biegnąc przez forteczkę.

Czytali byśmy znalezione niemal kości losu tej dzie
wczynki.Jezus,do której ojciec,stojąc gdzieś w oddali, górni
e wstuszki,przywołuje,jak mówił wcześniej tam tedy,że este-
chetami oddalił,które z dalekiego ujrzał brzegu.

Niecnoś wielkość jej ostatniego.Była bliższa ode-
mnie,bliższa Jezusowi wówczas.Była jemu,niż przyjaciele,
faryzeusze i uczeni w piśmie.Jedna z ostatnich jakie
jeszcze miał przy sobie,siedząca na trawie
przy rybackich i rozmawiająca o życiu. Wszystko ma po-
wiedzieć,której ci dość nie dała,zasiadła rozmawiać na
pożegnalny i w drogę.

Wskazała mój ogromny ostatni ostatnie pożegnanie,
ona już sobie wszystko dobrze wyraźnie,gwoli tego bo-
gactwa. Myślała ze swoją wspaniałością,wiecie i bardzo in
teresuje ją ta jej opowieść,Pani ona,jak w chrześcijaństwie..
Jezus wyraźnie mnie był jakoś świadomością,że mogli i bę
dą przyjaciele i zdradzeni nigdy się z bitwy krwawej nosa nie pokażą
ka i satrapety i wszystko w schronach,gdzie kiedyś wrócą,
tu z tej,z tych ogromnych..obdartych,gdyż wiele ma,prze-
cież wspaniałe Ze wszystkim przyjście kiedyś tutaj i do nie.
Nie przyszli jeszcze..

Jakoś nigdy tak do końca,już był Józefa na drzewie
geście,wówczas Józefa rzekomo przyszedł.Opowiedział mi wszystko
i inne sio wszystko i tak oto nie wszystkie z Nim..Józefa
ze rozmowach Jezus wówczas,i mogli mi wówczas powie-
dzieć wszystko..Tu byłem! Jego to tutaj tak niedawno jeszcze

była i już jej nie będzie! Ilekroć, tylko mi się przypomni, że umrę i ja, a świat będzie jak gdyby nigdy nic, ogarnia mnie przerażenie, którego nie potrafię opisać.. I cóż się tam stanie z tą całą [illegible], która wszystko w sobie.. [illegible] ciemności, jak się z nią zabije..

Zwierzam się [illegible] na tym papierze. Jeszcze [illegible] gimnazjum i potrafiłam płakać nie bacząc, abym się jutro [illegible] pozbawiona dóbr. Tylko te badające pierwsze tak głębokie wstrząśnienie jakiejś [illegible] .. Minął już cały rok szkolny i bardzo mało mi pozostało [illegible] ..Przy mnie [illegible] byłam zniechęcona. Ostatnio [illegible] refleksję, że [illegible] ni warto przejmować się niczym, skoro [illegible] to tak..

Gdzie to wszystko [illegible] i ja nie będę, [illegible] otwarte oczy zgasną i będę jak [illegible] Chrapanie to będzie. Przy [illegible] zlękną się [illegible] i otoczą [illegible], [illegible] przy [illegible] ni. Może po śmierci [illegible] górnała nad innemi dziećmi, ten chóry że [illegible]. Ja [illegible] jak [illegible] zajęki tchu wojenne [illegible] [illegible]. Na widok wytęsknieści [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] brunetka, [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible]

istotnie,jako grupa „Laokona znana mi doskonale z wizerunku i odlewu głowy u Maszkowskich na szafie..A gdy wreszcie robiło mi się za twardo pośród sławnych kamieni,prosiłam o opowieść o ludziach.

Gdy rodzice szli gdzieś na wieczór,(co w owych zamierzchłych,gościnnych czasach zadarzało się dość często) do Żuliśkich Grzywińskich,czy Jancwskich a myśmy zostawali z Ciocią Terenia w domu,gdyśmy się nabawili do syta w ulubioną „apkekę" wszyscy troje, zabawę polegającą na zgromadzaniu wszystkich domowych słoików i flaszek,które różni potrzebujący przychodzili niby kupować,przy czem improwizowało się ccraz to nowe typy,z których kilka,jak lokaj pani hrabiny,głupkowaty stróż i zalotna pokojówka powtarzało się stale--gdy (już) Adaś poszedł spać,wołało się Józię,aby zdjęła z nad łóżka cioci „Quod libet".

Ów „Quod libet" była to jakby płytka szuflada,nieduża, wieszana na gwoździu jak obraz,pokryta szkłem,podobna do tych,w jakie się kładzie zbiory motyli..Dno jej wyścielone podwatowanym,białym atłasem,pełne było poprzyszpilanych drobiazgów,najprzeróżniejszych pamiątek,a za każdą z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień. Pomysł malujący wyraziście romantyczną epokę,w której powstał,zaczarowane,sentymentalne pudełko,dziś może śmieszne--za pomocą którego wszakże--niech sobie kto mówi co chce!--ludzie tamtych czasów umieli chwytać lepsze chwile życia za jedno piórco bodaj,pióro wyrwane w locie i przyszpilać je do białego atłasu tak mocno,że i ja, po tylu latach,mogłam niejednemu się napatrzeć,nie jednem nacieszyć,niczego prawie nie zapomnieć..Pamiątki to czasem nic innego tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie w którą upadł kamyk.. Póki drży owa najsłabsza,najdalsza,jeszcze się wie,że to ślad istnienia jakiejś rzeczy czy duszy,co znikła..

Quod libet cioci Tereni to był zbiór plastycznych ilustracji do opowiadań jej o pradziadkach,o hrabinie Moszyńskiej,o Kewerterach,malutkiej Mamie,powstaniu.. Pochylona nad zatrzęsieniem tych okruszyn,pogrążałam się ze szczętem w odległy świat młodości cioci

Tereni i Babci..

Były tam mebelki dla lalek,któremi bawiła się prababcia Wentzowa,naczynka szklane jak z serwisu krasnoludków,kawałek gromnicy którą trzymano w palcach umierającego pradziadka Leopolda,karnet cocci z pierwszego balu--ślicznie pono,choć sama niepiękna,tańczyła-- złocony,z bukiecikiem niezabudek,płowe włoski małej Adeli Keverterа,umarłej dzieckiem we Lwowie,róża wyjęta z włosów przez Jenny Lind--tej samej z bajek Andersena--i podana przez wielką śpiewaczkę uroczemu Teofilowi Keverterze,po jednym z tryumfalnych jej występów we Wiedniu..Niewdzięcznik dał ją zaraz ususzyć w panieński quod libecie.. Była kokarda tegoż Teofila,uszyta mu przez siostry , którą nosił podczas rewolucji w r. 1848 na barykadach Wiednia,był różanczyk z ziarnek perłopławu,pobłogosławiony ongiś przez Katarzynę Emmerich,obok ułakeh mozaiki z Pompei,pierwsza z grubego,zielonego kordonka robótka dziecinna Mamy,po której bez mała siedemdziesiąt lat nie spoczęły jej pracowite ręce,..Był widoczek zamku Keverterów w Tollecie,namalowany akwarelą przez hrabiankę Matyldę, najukochańszą uczennicę cioci i przyjaciółkę dozgonną jejdi naszą , połamany wachlarzyk z miniaturką,mogocący od pozłocistych pailletek po prababce Helenie..W jedwabnym woreczku piasek z Janikulu przywieziony z Rzymu przez hrabinę Moszyńską.. I z tych wszystkich okruchów układało się opowieść o czasach i ludziach,którą przypominam..

W r. 1776,gdy młody kapitan i komendant szwardonu,baron Karol Emeryk Wentz zu Niederlahnstein i jego żona,Helena,bar.Ehrenburg z domu,bawili z garnizonem w Zwichau,urodził im się,po śmierci dwu starszych dziewczynek pierwszy syn.Staroświeckim obyczajem, który miał jakoby dziecku przynosić pomyślność a zapewne i jako akt pokory starannie urodzonych rodziców, trzymał go do chrztu „pauper canis czyli dziadek kościelny.Po polsku,w przekładzie z łacińskiej metryki,brzmiałoby to „biedna sobaka ..Jeżeli dziady mojej młodości

były takie straszne,jakże dopiero okropnym musiał być ów chrzestny ojciec pradziadka! Mały otrzymał imiona Leopold Emeryk.Gdy dorósł 68
służył zawodowo w wojsku austryjackiem,jak ojciec.~~xxtxj~~ Zdarzyło się,że stacjonowany został ze swoim regimentem w Galicji.Tutaj,na jakichś manewrach,w domu Antoniny(z domu Werbny-Pawłowskiej,1-mo voto Jakóbowej hr.Komorowskiej (matki Gertrudy Szczęsnowej Potockiej i Korduli Teodorowej Potockiej) a II-o voto Józefowej Szeptyckiej,starościny stanisławowskiej,poznał prześliczną panienkę,polkę, Kordulę Korbachównę. Ojciec jej,Jan baron Korbach z niemieckiej rodziny spolszczonej zupełnie a pochodzącej z Koblencji nad Renem, jako pełnomocnik i konfident Szeptyckich przebywał w Galicji.Żona jego podolanka,Anna z Różyckich.W r.1788,w Nowemsiole,we dworze byłej kasztelanowej nowosielskiej,JMP.Antoniny,już podówczas Szeptyckiej,urodziła się Korbachom córeczka.Chrzestną matką jej była panna Kordula Komorowska,siostra nieszczęsnej „Marji" Malczewskiego,później Teodorowa Potocka,wojewodzina bełzka,po której ochrzczona w Kulikowie dziewczynka otrzymała imię. Po wczesnej śmierci matki, opiekę nad sierotą objęła pani Szeptycka i Potocka.Rozpieszczona, mało praktyczna,ale słodka,bardzo zdolna i piękna panna,oczarowała z miejsca młodego kapitana.Zakochał się do bezpamięci,ona nawzajem. Z rodziny kapitana żyły tylko jeszcze dwie siostry rodzone,próżne i obstarnie;Alojzya,stara panna,kanoniczka,dama gwiaździstego krzyża na Hradczynie,nazywana w rodzinie ~~xxxxx~~ Louisą i druga,Charlott radczyni Jordanowa.Damy te,licząc na to,że brat jednak utrzyma się na wysokości obowiązków i zrobi marjaż co się zowie,wpadły w szał! Niedość że bez posagu ale ~~xxxxxx~~ Polka! Tego było baronessom zawiele. Rozpętała się między Pragą a Lwowem złowroga korespondencja,nie mniej,końcowym efektem wszystkiego było skwitowanie z wojskowej karjery pradziadka i ślub z Polką,który się odbył w roku 1813 pod patronatem pani wojewodziny bełzkiej,Lamentu barones w Czechach nie było we Lwowie słychać.

Tymczasem kapitan został skromnym ~~xxxxxxxxx~~ urzędnikiem

i jak na złość radczyni i kanoniczce,zamiast syna,rodziły się same córki..Choć ciasno in było wielce,choć nadęte ciotki odzywały się czasem ~~xxxxxxx~~ z ugąganiem lub nieproszonem współczuciem,w domu Wentzów było jednak pogodnie i pradziadkowie czuli się bardzo szczęśliwi.Prababka odważnie dźwigała obowiązki do których jej nie włożono w młodości, pradziadek wesołym humorem pokrywał niechybną gorycz starego wiarusa Napoleona,córki uczyły się żarliwie i bardzo wcześnie. W najlepszym wówczas zakładzie naukowym dla dziewcząt,~~xxx~~ Szkole przy klasztorze Wszystkich świętych we Lwowie,kończyła pierwsze studja Ciocia Terenia.,co przyświadcza przełożona tego zakładu matka Józefa Kuhn,w r. 1827. Ciocia opowiadła mi,jak wracając raz,o ile paiętam w roku 1825 z egzaminu w klasztorze,przepasana błękitną wstęgą premiantki ze srebrnym medalem na szyi,i trąbą świadectwa w ręce,przechodziła Rynkiem. W tejże samej chwili zachwiała się wieża ~~stareg~~ starego ratusza i nim ciocia zdążyła krzyknąć,runęła w dół.Straszne to miało być widowisko ,spotęgowane grozą obawy o ludzi,którzy mogli poginąć.Tymczasem podobno nie zginął nikt,gdyż godzina była południowa i urzędnicy porozchodzili się do domów,tylko mała córeczka strażnika,którego obowiązkiem było,wypatrując ognia po dachach,dawac sygnał pożarowy i wygwizdywać donośnym ~~xxxxxxxx~~ gwizdkiem godziny (zegara widocznie nie było)--zastępując ojca,~~xxx~~ wybiegła na wieżę aby gwizdnąć pierwszą,ale już nie zdążyła,tylko z lawiną gruzów usunęła się w dół i osiadła jak w żlebie bez przytomności.Znaleziono ją zdrową,ale oniemiałą na czas dłuższy z przestrachu.. Nie wiem ile razy kazałam sobie tę chwilę opowiadać i - mijając nasz szkaradny,kochany,nowy ratusz,-zawsze podejrzliwie podnosiłam głowę,czy się wieża nie chwieje..

Prababka Wentzowa,której czarną sylwetkę razem z sylwetką pradziadka i miniaturą Korbachów darowałam Heli do Medyki, była długo bardzo piękna.Brunetka,o granatowych oczach,jak Babcia i olbrzymich włosach do śmierci,przy których jej drobna,misterna twarz wyglądała zawsze jeszcze drobniejsza.Osobliwszem nabożeństwem ota-

czała św. Antoniego w ktorego parafii xixxxxxxix pradziadkowie mieszkali i ktorego inię nosiła pani Komorowska, bardzo czule przez prababkę kochana. Oboje musieli być przedobrzy i przemili, gdyż żadna z córek do starości nie mówiła o nich obojętnie..

Ciotki Mamine bardzo nierównomiernie los upcsażył. Celina i Teresa xxxx były w równym stopniu brzydkie, jak Kordula(nazywano ją potem Kordelja) i Eliza piękne. Ale z rzadką losu galanterją nagrodzone to zostało brzydkim większemi bez porównania zdolnościami. Umysł cioci Tereni był jeszcze w później starosci zdumiewający pamięcią, bystrością sądu, potrzebą zdobywania wiedzy dla siebie, podawania własnej drugim.. W mniejszym stopniu, ale także bardzo zdolna i wykształcona była Celina, zamężna wcześnie a nieszczęśliwie za zamożnym ale nieznośnym Augusten Schally, na Bukowinie. Dwie piękne natomiast, Babcia i Eliza, może i dlatego, że wykształcenie ich nie było systematyczne, a otoczenie w którem po śmierci rodziców rość im wypadło traktowało je raczej jako motywy zdobnicze, niż zadania na serjo, pozostały całe życie na poziomie jakby naiwnego dzieciństwa, jedna słodka i cicha, druga, Eliza, nie xxxxxxxx umiejąca słuchać Hrabiny, ruchliwa jak wrzeciono, obie dalekie od umysłu niepórównanej cioci Tereni. Wszystkie cztery stały się najżarliwszemi patryjotkami polskiemi, naprzekór wszystkim przodkom i ciotkom..

Oprócz tych głównych biograficznych szczegółów mało co wiem niestety o obcjgu pradziadkach. Charakterystyczne, że poza te i głównemi datami zachowała tradycja ustna tylko jedno zajście z młodości pradziadka, gdy był młodym oficerem, stacjonowanym w Lincu.

Oto, po weselu ktoregoś z kolegow, jeszcze z bukietem przy mundurach, poszła wesoła xxxxxxx kompanja nad ranem do jakiejś knajpki.. Zapóźno bowiem i zawcześnie było do domu.. wtedy, pośród xxxxxxx najweselszej zabawy, pradziadek uświadomił sobie, że ma na kwaterze gościa, jakiegoś kuzyna, przybyłego do Linzu, który został sam i którego idąc na wesele, aby go nie budzić za powrotem, zamknął na klucz, który wziął ze sobą. Przypomniał sobie, że gość ma wcześnie ra-

no złożyć w banku jakieś pieniądze i nie będzie mógł wyjść przed jego powrotem. Wstał tedy i mimo zatrzymywań rozbawionej gromadki, pożegnał się i poszedł ku domowi. Była zima, śnieg obfity, za chmurnem niebem księżyc, więc prawie widno, pradziadek szedł środkiem ulicy, w rozpiętym na piersiach płaszczu, z pod którego wyzierał bukiet weselny. Nagle ujrzał parę kroków przed sobą--najwyraźniej samego siebie, w płaszczu rozpiętym na piersiach, z bukietem przy mundurze, wprost na siebie wpatrzonego samemu sobie w twarz, kroczącego [illegible] pustą, szarzejącą ulicą.. Ujrzał swego sobowtóra i tylko zdążył jeszcze zauważyć, że bukiet weselny miał ten sobowtór widocznie przypięty z przeciwnej strony niż on, bo gdy się zbliżył stanął nagle jak przed odbiciem w lustrze. Zmartwiał z przerażenie a potem bez namysłu zawrócił i pędem rzucił się z powrotem do znajomej knajpki, gdzie całą kompanję zastał jeszcze przy kuflach. Wygląd powracającego był przerażający i chwilę trwało nim zdołał opowiedzieć co zajście.. Rzecz prosta posypały się żarty na temat zaprószonej głowy weselnika, docinki od oficera, który zdołamił się ucieczką przed strachem, wreszcie, wszyscy, ilu ich było, postanowili tą samą drogą odprowadzić towarzysza do domu. Domek gdzie mieszkał stał prawie za miastem. Dzień już był jasny gdy i dochodzili pod adres zdoła już zastanowił pradziadka widok otwartych okiennic parterowego okna, które wychodząc wieczorem zostawił zamknięte. Widocznie kuzynek nie mogąc się wydostać z zamkniętego na klucz mieszkania, skorzystał z niskiego okna. Zdumienie ich wzmogło się jednak, gdy zastali drzwi kawalerskiego mieszkania otwarte, a klucz tkwiący w zamku od środka.. Dziadek sięgnął do kieszeni.. Klucza, który w nią włożył wychodząc, nie było! I dopiero wtedy przypomniał sobie, że kiedy wychodził pierwszy raz z knajpki coś brzęknęło na kamiennym jej progu.. Widocznie klucz! Straszny widok jaki uderzył wchodzących do sypialni, prześladował dziadka przez całe życie.. Obok kanapy na której posłał był gościcwi, leżał nieszczęsny kuzynek z rozrąbaną głową, kałuża krwi sięgała proga, na którym się wchodzący zatrzymali.. Dziadek wierzył mocno, że gdyby nie ów

ostrzegawczy sobowtór,który spowodował jego powrót do kolegów,byłby zamordowany przez rabusiów razem z tamtym..

Żadna z córek nie była jeszcze zamężna,gdy w r.1831 umarł pradziadek Leopold. Kada nie rada przygarnęła Babcię do swego domu hr. Fryderyka Fryderykowa Moszyńska,córka również Fryderyka,magnatka,dziwaczka od wczesnej młodości,wnuczka dworaka z sasko-augustowskich czasów,właścicielka niesłychanych obszarów w Galicji i na Podolu,nieżyjąca z mężem,bezdzietna i mimo bogactw i niezależności uczuciowo bezdomna.Przez Wojewodzinę Potocką znała romantyczną dolę Wentzów i po śmierci ojca,uważała za właściwe pomódz bodaj jednej z pięknych,utytułowanych dziewcząt.Wybrała najpiękniejszą Babcię.Czy miała szczęśliwą rękę, nie jestem pewna..W jej domu poznała się z czasem Babcia z moim dziadkiem, i choć wielce zen była nie rada,nie starczyło hrabinie dość energii aby do związku z nim nie dopuścić. Celinę i Elizę kształciła też swoim kosztem w jakichś „Stiftach .Niestety nic o tym bliższego z tego okresu nie wiem. Obie i Eliza i Celina bywały zapraszane na wakcaje do hrabiny,która zwykle w Kozowie spędzała.

Babcia rosła tedy w zbytku ogromnym.Hrabina zajmowała we Lwowie dom w którym się dziś mieści Hotel Europejski,zapełniając go cały swoim dworem,kuchnią,szatnią, stajniami,służbą złożoną wyłącznie z Kozaków w barwie,tylko do osobistej usługi nieznosiła mężczyzn,obsługiwana przez dziewczęta i to niebieskookie blondynki..Innych bała się.Była osobna panna do straży nad srebrem, inna czuwała nad porcelaną..Co jakiś czas zajeżdżali z dóbr odleglejszych oficjaliści z rapertami,co jakiś czas przywoził kozak stamtąd baryłki grzybów,zalanych masłem,pod któremi taiły się warstwy dukatów.. Taki fortel na ówczesnego,naiwnego jak jagnię,bandytę!. Czasem sama jeździła na inspekcję folwarków,przy czem jej zwykle Babcia,faworytka coraz większa,towarzyszyła. W Kozowie,jednym z majątków hrabiny,witał je zawsze w progu dworu zaufany urzędnik Knoff we fraczku i z różenkiem,w pluderkach i białych pończo-

czochach,z harcapem i peruką ułożoną nad uszami w trzy podłużne rulony w każdym zaś rulonie,gdyż to odbywało się latem,tkwił przewieczony,długi,ponsowy goździk,kwiatem przy obliczu,ogonem ku plecom..

Opowiadano też o nim,że raz,mając wyjechać naprzeciw hrabiny,gdy z powodu zbyt obcisłych,jedwabnych kiloletów kiulotów w żaden sposob nie mógł usiąść w karecie,pojechał leżąc wzdłuż na kolanach dwu siedzących w jej głębi hajduków,w pojeździe otwartym na przestrzał,któremu z jednych drzwiczek wystawała biała peruka,z drugich czarne o lśniącej klamrze i czerwonym obcasie trzewiki..

Podróże hrabiny po jej włościach odbywały się oczywiście trenem powozów i byrk z pościelą,serwisem,gotowalną i ołtarzykiem polowym,z kucharzem i kapelanem,doktorem i czasem jakimś artystą cudzoziemcem,gdyż hrabina wielbiła artystów i gdy się trafił dramatyczny,nieraz na popasie,w szczerem polu,kazała mu deklamować jaki czuły,lub bohaterski utwór..

Hrabina Moszyńska była jednym z tych rzadkich już dziś typów,w jakie czasy owe obfitowały.Bogata,samodzielna,niepogłębiona wykształceniem,głucha na całe gamy tonów z których harmonia życia życiowa dojrzałego człowieka się składa,bezdzietna,idąca wyłącznie za impulsem fantazji czy sentymentu,dobra dobrocią istot bezmyślnych niebliczalnych,dziwaczejąca z wiekiem coraz bardziej,nie mająca nikogo,ktoby jej zwrócił uwagę na to,że nie każdy dobry uczynek ma sens,że nie dość rzucić garść złota,aby się stało coś pięknego i rozumnego..W stosunku do mojej babci odegrała równocześnie rolę dobrodziejki i kogoś,kto życie sierocе raczej popsuł niż zabezpieczył

Kosła Babcia w niepedagogicznym zbytku,słodka i bierna, strojona i psuta,z nóżkami stale w atłasowych lub prunelowych płytkich ciżemkach,w sukienkach wyciętych zimą i latem,z krótkiemi rękawkami,czesana przez pannę służącą,znająca miasto wyłącznie z głębi powozu, (gdyż ani hrabina ani babcia nie chadzały piechotą..) lub loży owieczorn:j.Stałego teatru Lwów ówczesny nie miał,gościli

li tylko przygodni aktorzy wraz ze swym zespołem, opera, komedja, wszystko to "dojeżdżało tu tylko ze świata. Hrabina zas namiętnie kochała teatr i stale dopiero po „spektaklu siadało się u niej do obiadu. Prawie zawsze ktoś z zaproszonych przybyłych artystów siadał razem. Dla sławniejszych wydawała rauty i miała obyczaj obdarzać ich kosztownemi upominkami.

Odbył się u niej taki raut dla Fr. Liszta, którym cała elita Lwowa była zresztą oczarowana. Po koncercie „tout Leopol" zjawił się u pani Moszyńskiej. Po obiedzie Liszt grał, że zaś obecni byli hr. Kevertercwie, rodzina przyjaciół hrabiny, ukochanych przez nią słusznie i młoda hr. Antoniowa Kevertera z domu von Hartmann, śliczna i przecudnie muzykalna, śpiewała jak zupełna artystka, miał i Liszt niespodziankę, jakich rzadko doświadczał na arystokratycznych przyjęciach. Gdy wstał od instrumentu, podeszła do niego Babcia, w białej sukience, w białych trzewiczkach, z białą różą w czarnych, gładko na policzki przyczesanych włosach, cudna też ponc jak zjawienie i na dany przez hrabinę znak podała Lisztowi, na białej, atłasowej poduszce, pyszną szpilkę z ogromnym soliterem.

Wykształcenie Babci odbywało się całkiem bez programu. Hrabina wymagała umiejętnosci języków, dla głośnego czytania książek które nabywała cetnarami, więc miała babcia metrów francuskiego, włoskiego, angielskiego, ale nauka bez stałej konwersacji szła powoli i skutek był ten, że babcia tylko po niemiecku i po francusku mówiła doskonale, po polsku najsłabiej. Ćwiczeń na fortepianie hrabina nie znosiła, więc nie było mowy o nauce muzyki, dopiero wspólna nauka z młodzieżą hrabiny Anny Kevertera położyła jakiś fundament pod babcine wykształcenie. Nigdy jednak nie mogło się ono równać z tem, co zdobyła ciocia Terenia i Celina. Zadaniem Babci, jak zwykle takich istot służących obok papug i piesków za rozrywkę starym, zdziwaczałym oczom, był obowiązek ciągłej obecności, ładnego wyglądania, gładkiego ułożenia, płoszenia nudy, czającej się we wszystkich kątach. Hrabina sypiała do południa. Rćki spała, musiało być

w domu cicho,jak makiem siał..W południe piła śniadanie,około czwartej się kąpała,wlewając codziennie do wanny flaszkę wódki końskiej,potem ubrana jechała z Babcią na spacer,lub sama z wizytami..Około szóstej drugie śniadanie,potem teatr lub koncert i obiad około północy.

Mimo dziwactwa a może właśnie dla niego była hrabina lubiana przez swoich podwładnych.Nikt nie mógł przewidzieć co w danej chwili zrobi lub powie.Rzmyślnie nie wyrządziła nigdy nic złego nikomu. Wspominała Babcia różne nazwiska jej oficjalistów,uposażonych świetnie,traktowanych familjarnie,sadzanych do stołu obok siebie,zabieranych nieraz do loży. Rodzina Babeńczuków zwłaszcza,kresowej,honornej szlachty i żona jednego z pełnomocników w dobrach podolskich hrabiny,pani Rogoyska,zażywali specjalnych względów. Pani Rogoyska miała być uroczą popielato-złotą blondynką,którą mi Babcia opisywała w jubce z rubinowego adamaszku obszytej wokół sobolami.Kunsztownie haftowała angażowaną bielizna do białego haftu,gdy hrabina sprawiała sobie nowe tuziny bielizny, będącej największym,osobistym jej zbytkiem..W gorąco miała pani Moszyńska zwyczaj chodzić cały dzień po swoich apartamentach w długiem,batystowej koszuli,co przy wyłącznie niewieściej obsłudze w pokojach było raczej cudaczne niż gorszące. W pokoju,przy zapuszczonych do zachodu stor-ach,było ciemnawo i godzinami w tym pół-mroku musiała Babcia czytać głośno,podczas gdy hrabina rozcinała nowe tomy zagranicznych nowości,złożone w jej salonie,pod ścianą w wyskie stosy.

Mało ktoby się domyślił,że swatami Babci z moim dziadkiem była teatralna mania hrabiny.Było mianowicie tak:

Zbiegł z Francji w czasie rewolucji niejaki Jacques Monné de la Tour i oparł się na południowych Węgrzech,gdzie nabył jakieś winnice. Nie wiem o nim nic, mogę się tylko domyślać,że był człowiekiem soldnym,gdyż wieść o tem że mu syn Joseph Monné umknął z trupą wędrownych komedjantów prze-

płacić miał życiem. Umarł na apopleksję. Jak nazywała się matka Józefa nie wiem. Ów tymczasem bujał sobie z trupą teatralną po świecie, występował w komedjach, w operetkach, grał role komiczne i dramatyczne, malował sam kulisy, gadał wszystkiemi językami, grał na skrzypcach i fortepianie, głos miał pono bardzo piękny. Z latami ustatkował się o tyle, że stał się rodzajem inpresarja w lepszym stylu, trupa aktorów przez niego złożona miała doskonałą markę i w tym charakterze znalazł się Józef Monné we Lwowie. Szereg przedstawień przez niego urządzanych zainteresował hrabinę Moszyńską. Zaznajomiła się z dyrektorem zespołu i zaczęła go zapraszać. Dowcipny i obyty francuz przypadł jej do gustu niezmiernie, że zaś był już żonaty z Anną Rzepczanką, lwowianką, córką metra muzyki i miał syna bardzo zdolnego i urodziwego, zaczęła hrabina protegować tego syna, wreszcie kształcić własnym kosztem. Oczywiście nie mogło obejść się bez zapoznania się obojga pupilów hrabiny, Karola Monné i Babci. No i wynikną z tego marjaż nieszczęśliwy strasznie, zwłaszcza dla Babci, która całe życie nie podźwignęła się po klęsce zawodu na człowieku szalenie i do ostatka tchu ukochanym.

Babcia moja nie była z mężem rozwiedziona wcale, ale go opuściła własnowolnie, nie mogąc znieść poniewierki zaciężkiem i mieszkała najpierw sama z małą Mamą, następnie w domu cioci Tereni, później siostry Celiny, potem w domu moich rodziców lub na Storczce. Wreszcie u nas na Zaświeciu w r. 1901, życia dokończyła.

Kobieta która stała się powodem nieszczęścia Babci, była zrazu narzeczoną brata dziadka, kapitana Albina Monné i nazywała się Joanna Przybysławska. Dziadek wziął z nią ślub dopiero po śmierci Babci w r. 1901, w Przemyślu.

Józefa Monnego pamiętała Mama dobrze. Już jako staruszek malował bardzo zręcznie dekoracyjne panneaux na ściany i dobrotliwie do wnuczki się odnosił. Ojca natomiast bała się Mama jak widma. Bała się wszystkiego co z nim miało związek. W pokoju jego stała

wielka szafa z książkami,zasłonięta od środka szyb,czterema chińskiemi smokami,haftowanemi na zielonym jedwabiu.Były to stylizowane sepie ó ślepiach wytrzeszczonych,nastroszone jakby płomykami ostremi,pyszne w kolorze i starożytne.Pochodziły z Drezna z okresu gdy król August urządzał słynny chiński pawilon.Darowane zostały przez Aurorę Königsmark dziadkowi hrabiny Moszyńskiej,ta zaś darowała je Babci.Mama tak się bała tych wydymających się przy otwieraniu szafy,haftowanych straszydeł,że znieść nie mogąc ich widoku i jakby żywego oddechu, zakradał się raz z nożyczkami do pokoju, i tnąc pragowicie, od lewej strony dla uniknięcia sepji widoku strasznych,wytrzeszczonych oczu,pokrajała w kawałeczki trzy znienawidzone,drogocenne hafty. Czwarty ocalał i wisał w salonie na Zaświeciu.

Choć była malutka czuła krzywdę matki i ze wstrętu do ojca przeskakiwała zawsze,jak rów,kilimkowy chodnik w bawialni po którym się zwykł przechadzać.Byle nie tknąć podeszwą miejsca którego jego stópy dotykały!

Je ynym domem w którym Mama małą dziewczynką bywała z Ojcem był dom jego serdecznego przyjaciela Adama Zamoyskiego,patrycty ale dziwaka i człowieka wielce wolnomyślnego,którego wpływ mógł nawet znacznie a ujemnie zaważyć w biografji mego dziadka. Hr. Zamoyski miał dworek przy ul.Zielonej,w którym mieszkał ze swoją podówczas jeszcze gospodynią i córkami,które mu urodziła,ale familja jego nie grała głównej roli w tym domu.Było to jakby wielkie przytulisko wszelkiej biedy narodowej,rozbitków,emigrantów,stacja posiłkowa dla głodomorów i przejezdnych„działaczy" sprawy,którzy ciągnęli do p.Adama jak dym..

Stół wielki,jak rok długi nakryty zawsze,zastawiony jadłem i obsiadły „rodakami pan Adam--(uchowaj Boże,nie hrabia!)--pośród nich,perorował,agitował,uświadamiał,działał..Demokrata purpurowy,pożarty ze swoją sferą,prowokował jej opinję swojemi przekonania

niami,dziwacząc do tego stopnia,że gdy się obecny pałacyk Zamoyskic pod jego kierunkiem budował,córki musiały na równi z robotnikami dźwigać cebry z wapnem,podawać cegły,słowem pracować jak i oni,dla przykładu..

Pan Zamoyski był świadkiem ślubu dziadków w którego metryce (Testimonium copulationis) nazwisko jego figuruje.

Brat dziadka kapitan Ludwik Mońne wziął zdecydowanie stronę skrzywdzonej bratowej i małej Wandzi,dla której zwłaszcza stała się jego osoba źródłem wielkiej pociechy latami.. Miał to być człowiek brzydki,o twarzy pospolitej i niczem dostojnej głowy mego dziadka nie przypominał.Zacny i prawości kryształowej,szanowany przez przyjaciół i podwładnych umarł nieżonaty i nie stary.Wedle relacji Babci i Mamy zeszedł z nim do grobu wielki,niedoszły aktor.Monologi przez niego układane,odgrywane i jakby żyte,musiały być czemś w rodzaju późniejszych kreacji G. Riszera.Mówił kilkoma językami i monologi,które stosownie do przedstawianych typów odgrywał po polsku, po niemiecku,czy po francusku,miały być arycydziełami,jako treść i jako interpretacja.Układał je sam i dowolnie zmieniał w miarę nowych konceptów. Typ starego,wykwintnego metra tańca,Francuza, bursza przy oficerze austryjackim i szlachetki rezydenta,miały być czemś niepcrównanym.Nikt tych rzeczy nie ponotował i przepadły razem z życiem człowieka,po którym tylko tych kilka okruchów zbieram troskliwie na papier i chowam,razem z paru fotografjami i jedynym listem po niemiecku pisanym do Babci.Mimo swobodnej polszczyzny w słowie,robił w pisaniu błędy,których się żenował.Gdy Mama,po zapaleniu stawów dziecieckiem,leżeć musiała miesiącami,stryj Ludwik był jej główną radością,rozrywką i teatrem.Kochał ją bardzo i za swoją najmilszą publiszność uważał.

Raz odpłaciła mu się dość niefortunnym pomysłem! Oto narysowała mu,na plecach jego białego munduru,węglem czy ołówkiem, prawie naturalnej wielkości,krzyczące niemowlę w powijakach,o czem on nie wiedząc,poszedł beztrosko do kawiarni..Można sobie wyobra

zić co czuł,gdy mu wreszcie któryś z jego kolegów powiedział,dla-
czego wszyscy się za nim oglądają i śmieją..Dzieci miewają czasem
diabelskie pomysły!

W czasie tej choroby Mamy,znoszone bywały dla jej rozrywki
ze strychu stare kapelusze hrabiny Moszyńskiej,które jeszcze mali
Kevertercwie do amatorskich ,dziecinnych przedstwaień używali.Ser-
ce mi się ściska z żalu,że już do mnie cuda te nie doszły!Mama urzą
dzała w nich karetę dla swoich lalek i woziła je za wsążki po po-
dłodze.Jeden był różowy,morowy,podbity białym jedwabiem ze wstęga-
mi w biało-rożówe pasy z bukietem piór strusich na czubku,drugi cał
kiem biały,pokryty jedwabiem marszczonym w harpią,dużą łuskę,z pió-
rami rakowego kolcru.Takie wielkie„budy do wiązania pod brodą..

Po przebytem zapaleniu stawów,pojechała Babcia z Mamą do
kąpieli siarczanych w Szkle,dokąd także i ciocia Terenia im towarzy
szyła. Szkło wspominały wszystkie jako śliczną miejscowość,z boga-
temi źródłami,z sosnami na piasku i z przypadkowo dobranem,przy-
jemnem towarzystwem.

Była tam też przy dzieciach mieszkająca stara,owdowiała
księdzowa ruska,która sprzedawała przędzione przez siebie i tkane
lniane ręczniki.Wydarzyła się jej dziwna,przejmująca historja,Babci
przez nią samą opowiedziana.. Gdy jak świeżo zamężna przybyła
na plebanię, z wiosną ,plewiąc grządki,zgubiła ślubny pierś-
cionek.Mimo najgorliwszych,rozpaczliwych poszukiwań,nie znalazł się
więcej..Tymczasem mijało życie,dzieci rodziły się i marły,
rodziły się inne,na grządkach ziemia przewróconą została wiele i
wiele razy na nowo,wreszcie umarł „jegomość", księdzowa już stara
kobieta,została do jesieni na obejściu aby,przed ustąpieniem się
nowemu proboszczowi,jak zastrzega prawo,zebrać jeszcze ostatni raz
letnie plony.. Smutna,samotna,wybierała z grządki jarzyny,rozpamię-
tując życie nad tą ziemią spędzone,gdy wtedy,błysnęło coś pod jej
palcami, i oto zgubiony wowczas,w młodość,ślubny pierścionek zna-
lazł się napowrót w jej ręce..

Jednem z najciekawszych wspomnień Mamy z dzieciństwa jest jedno,do dziś tajemnicze,które właściwy jej,bardzo żywy i malarski sposob opowiadała mi kilkakrotnie.Oto raz,dość już późnym wieczorem,dała babci znać pani Syringowa,jej przyjaciółka,że odbywa się u niej właśnie zebranie,na które babcię wzywa niezwłocznie. Mama mogła mieć wtedy pięć czy sześć lat najwyżej,zatem około 1855-go roku.Jakaś była racja dla której i mała Mama została zabrana razem. Ponc nie było jej z kim zostavić chwilowo czy coś podobnego.Gdy weszły,znajome mieszkanie było już natłoczone takim ściskiem,że z trudnością posuwały się by dotrzec do państwa domu.Złe ówczesne oświetlenie utrudniało orjentację,zwłaszcza dla oczu dziecka o tyle niższego od innych.Było cicho jak w kościele,mówiono tylko szeptem.Jedni posuwali się w głąb pokojów,drudzy wychodzili. Coś w najdalszym kącie mieszkania znajdowało się takiego,co było oglądane z nabożeństwem.Pani Syryngowa objaśniła o tem czems Babcię o małą Mamę, mało kto dbał,radziła sobie w ściku sama.Po jakiejś chwili ,przepychając się pośrod powłoczystych spodnic i długich czamar,znalazła się w owym najgłębszym kącie i zobaczyła zielony parawan za którego skrzydłami paliły się świece. Widziała na tle zielonego przezrocza (cienie) poruszających się nizko głów,ruchy rąk..Coś się tam działo dziwnego,słychać było jakiś odgłos monotonny,jakby się ktoś modlił pół-szeptem..Czasem któraś z kobiet zapłakała.. Zresztą cisza i tylko pełen uszanowania szmer posuwistych kroków,ludzi nadchodzących i odchodzących..Wreszcie,jako że to dziecko mało miejsca zabiera,przegnictła się Mama za zielone skrzydło parawana i zobaczyła scenę,na całe życie najwyraźniej spamiętaną. Na klęczniku pani Syryngowej modliła się zakonnica,z głową w czarnem,sukiennem zawiciu,z obnażonemi po pas plecami.Kesztę opływał czarny habit. Do kolan klęczącej schylały się kobiety,przyklękały na jej widok mężczyźni,wyciągały się ręce z różańcami i szkaplerzami,któremi dotykano jej obnażonych pleców,podczas gdy ona modliła się półgłosem. Wszystkie spojrzenia pociągały te właśnie

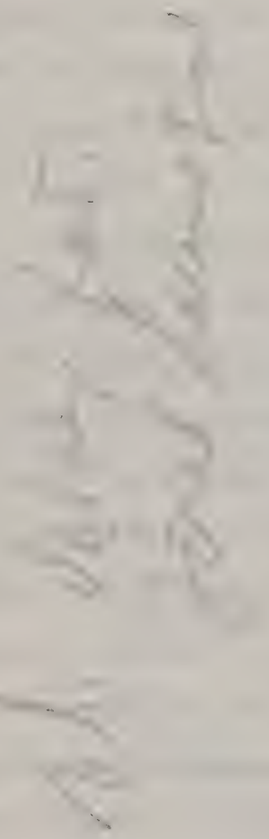

plecy,pokryte gęstemi,nieregularnemi brazdami,z ktorych niektóre były różowawe i głębsze..

„To jest święta męczennica,bili ją Moskale za Polskę i wiarę.. objaśniła dziecko jakaś stojąca najbliżej pani.Ale mama przerażona i wobec niespodzianego widoku nieskora do nabożeństwa nie zdobyła się na odwagę dotknięcia blizn obnażonych medalikiem podanym jej przez kogoś.

Odnalazłyszy się z babcią wyszły obie tak jak przyszły w milczeniu.Nazwiska tajemniczej zakonnicy nikt nigdy nie wymówił. Nie słyszałam go nigdy i babcia.Przejeżdżała skądeś dokądś przez Lwów,poprzedzona zapowiedzią poufną,jakaś taka matka Makryna Mieczysławska albo może i ona sama..

Nie żył już wówczas pan Józef Monné,dziadek mamy. Staruszka tego wspominała bardzo miło. Na młodem gospodarstwie jej rodziców,ojciec mego dziadka mieszkał razem.Nosił długie włosy,były srebrne zupełnie,niesforne cokolwiek i bardzo małą mamę inspirowały.Wolno jej było stawać na fotelu,za plecami dziadka,brać grzebień i rozczesywać je„ byle bez pomady!„,jak zastrzegał,gdyż mała mając trudności z ich ułożeniem,miała zwyczaj pluć na grzebień.. Dziadzio malował i wycinał dla niej małe laleczki,które stały się z czasem protoplastami dość rozrodzonej rodziny,niejakich „Pinkasów" ale o tem później kiedyś..

Własnego ojca,jak już mówiłam,bała się panicznie. Gdy dziewczynkom w sąsiedztwie z któremi często się bawiła,umarł ojciec i dzieci,rozpaczając za nim zaczęły pisać „do nieba listy do Tatusia.. (skrzynką pocztową były im paszcze dwu kamiennych lwów w ogrodzie..) powzięła dla towarzyszek rodzaj wzgardy za to,że mogą tak dbać o ojca,który wedle jej pojęć był jedynie strachem i zgrozą. Posiadał jakąś prześliczną szpicrutę z rączką wysadzaną kamieniami przedmiot ten leżał czy wisiał gdzieś wyżej niż go dziecko mogło dosięgnąć.Podobał się jednak tak bardzo,że czy wprost,czy za pośrednistwem babci,napierało się bliższego z nim zapoznania..Dziadek

mój zawołał wreszcie małą,zdjął pożądany obiekt z gwoździa czy pół
ki i kazał jej najpierw położyć obie rączki na brzegu stoła
Nim przewidzieć zdążyła co nastąpi ojciec trzasnął ją z całej siły
po leżących ufnie,małych rączynach..Taki był dowcip..

Dziadek mój był jednym z tych ludzi,dość częstych,którzy są wręcz kim innym dla domu a innym wobec ludzi.Towarzyski pono czarująco,miał mnóstwo przyjaciół (..przyjaciółek niestety także!) śpiewał dobrze przy akompaniamencie gitary,patryota,należał do wszystkich związków i robót narodowych,z zawodzie swoim wykształcony (studjował w Brukselli i Kopenhadze) miał na zewnątrz opinję człowieka-obywatela bez zarzutu. Mam wrażenie że umysł jego był głębszy i bardziej lotny,od babcinego. Na tym jednym punkcie skłonna jestem do tłumaczeń,naturalnie do pewnej granicy.Okoliczność ta nie tłumaczy jednak absolutnie cynizmu i formy w jakiej zaczął zdradzać żonę i życie swe dalsze urządził.

Od pierwszej niemal chwili pobrania,był babci nie wierny.Kochliwy,raczej wrażliwy na kobiety,miał stosunki na wszystkie strony.Z czasem żony podwładnych były jego przyjaciółkami,zwłaszcza ładniejsze.Człowiek,który przez szereg lat narzeczenstwa czekał na ukochaną,pisywał do niej wiersze i listy płomienne a na posag nie liczył,bo wiedział że będzie znikomy,nawet w pierwszych latach małżeństwa nie zachował pozorów bodaj.Mama z dzieciństwa zapamiętała babci niemal zawsze zapłakaną..

W parę lat po pobraniu dziadków zaręczył się drugi brat dziadka,Albin z panną Przybysławską.Jasna,różowo-biała blondynka, bywała w domu bratersstwa narzeczonego.Aż raz,w nowem już mieszkaniu,tam gdzie obecnie młyn Thoma, zajrzała i zasłyszała Mama,jak panna Josia włóczy się u kolan babci,płacze i o coś błaga.Że wiele wiele lat potem dowiedziała się Mama od cioci Tereni o właściwym powodzie tej sceny.Dziadek mój uwiódł narzeczoną brata,która w rozpaczy prosiła żonę uwodziciela,aby skutki wzięła na siebie.Babcia zabardzo zaskoczona i zanadto młoda i rozmiłowana w mężu nie była

zdolna wysłuchać prośby panny Joasi.Od tej sceny sytuacja w domu stała się nieuleczalną.Jakiś rodzaj życia wlókł się jednak,okropny rzecz prosta,ale jakże było w świat się zabierać z dzieckiem? Babcia ani enargiczna ani praktyczna nie była nigdy,u samego wstępu do życia ugodzona okrutnie,raczej apatyczniejsza,mniej jeszcze zaradna się stawała. Wreszcie najpoczciwsza ciocia Terenia,rozejrzała się w położeniu i wtedy nastąpiła przeprowadzka babci i Mamy na osobne mieszkanie. Ofiarny poratunek cioci umożliwił im egzystencję spokojną,uwolnił od poniewierki.Tymczasem dziadek przeniósł się ze Lwowa,nie wiem czy odrazu do Przemyśla,czy jeszcze gdzieindziej przedtem i zamieszkał bez skrupułów z panną Joasią.Zdradzał i ją gdzie się dało,tyle,że ona była wytrzymalsza od Babci,która cicha i złamana,zapadła w cień na całe życie i kochając tego złego człowieka,nie mówiła o nim prawie nigdy,a tem mniej skarżyła się sama..Tymczasem w małem miasteczku,gdzieś,poza Lwowem zapuszczał korzenie dom„państwa Monné´ów" i zyskiwał prawa towarzyskiego obywatelstwa tak mocne,tak powszechne,że po lat dziesiątkach,gdy dzieci już było siedmioro czy ośmioro,nikomu na myśl nie przyszło, że pani domu nie jest żoną gospodarza ani dzieci ich,ślubnemi dziećmi.

Dziadek interesował się jednak Mamą,próbował podtrzymać z nią stosunki,do których,jako nieroczwiedziony ani separowany nawet miał prawną swobodę.W skutek tego jawił się czasem w zakładzie cioci Tereni.Skrępowanie stałe obu stron cechowało te rzadkie widzenia.Czy co materjalnie pomagał w owych czasach żonie,nie wiem,ale wątpię,aby to mogło w ich istnieniu coś ważyć.Od czasu do czasu obdarzał tylko Mamę czemś modnem i ładnem.Wiem też,że zawsze,ilekroć rozmowa zeszła na drażliwe tematy,podkreślał z wielkim naciskiem,że nie on się usunął pierwszy,ale babcia dom opuściła.Było to prawdą,ale jakże zrozumiałą!

Dziadek był na ślubie moich rodziców,a potem parę razy jeszcze na ich gospodarstwie.Przy jakiejś,niewiadomej mi bliżej

sprzeczce na temat herbarza Paprockiego, leżącego u Ojca w pracowni, który dał asumpt do dyskusji politycznej, tak gorącej, że zakończonej ponoć ciśnięciem przez dziadka książką tą o podłogę -- urwały się nawet i tak już te zanikowe stosunki na zawsze. Widziałam w przejeździe do Krakowa dziadka mego na dworcu w Przemyślu.. Pokazała mi go Mama oknem z wagonu. Był niski, ubrany w czamarę burą z barankiem i granatową rogatywkę, już siwy, podobny wielce do Mamy, z głową jakiegoś dygnitarza z czasów księcia Alby, domagającą się białej kryzy i czarnych aksamitów..

Po latach przyjechał nasz, prof. Uniw. Jana Kaź. we Lwowie August Kalasits zagadnął Mamę, jako to Monné, czy nie krewny obecnie słuchaczki we Lwowie. Otrzymał objaśnienie że żadnego legalnego rodzeństwa Mama nie ma, a dzieci panny Joasi nie mogłyby nosić oficjalnie nazwiska nielegalnego ojca. Prof. Kalasits obejrzał dla ciekawości dotyczącą metrykę w dziekanacie. Była sfałszowane. Młodzieniec ów figurował jako syn ślubnych rodziców Karola i Joanny. Miała wówczas babcia prawo wytoczyć mężowi proces o fałszerstwo dokumentów, przestępstwo mocno jak wiadomo wedle austryjackiego prawa karane i mające konsekwencje doniosłe. Przez moment jeden nie miała pokusy aby protestować, choć metryka ślubu (którą posiadam) byłaby najzupełniej wystarczyła.

„Cóż dzieci winne?" mówiła - „Na nich się mścić nie będę..

Niemajętna zupełnie, korzystająca z przezwyciężeniem z należnych sobie niewielkich świadczeń męża, które zapewniało jej prawo, mogła -- kosztem tych istot nieznanych -- wyprocesować dużo więcej.. Ani ona ani Mama przez chwilę się nie wahały jak mają postąpić... Dziś wiele osob, które znają tych, zaiste niewinnych i może niczego nieświadomych potomków dziadka, mogą mieć ponajmniej wrażenie, że miał ongiś pierwszą żonę.

Znajdują się u mnie dwa wizerunki dziadka Monnego. Jeden modelowany przez Mamę medaljon, profil w czapce barankowej, drugi

rysunek ołówkowy Tatka,nie licząc fotografji.

Najwięcej szczegółów o jego osobie wydobyłam z grubulki Minki Giżyckiej,o której będzie niżej.Czy szwagier jej,Michał Monné,właściciel cukierni we Lwowie był rodzonym,czy stryjecznym bratem mego dziadka,nie doszłam.Może Do przyrodnim,podobnie jak Albin,brat Michała.Możliwe że tylko Karol i Ludwik byli synami owej Rzepczanki Anny, a tamci z drugiego małżeństwa,może,nie wiem..Obchodził mnie stryj Mamy Ludwik a przedewszystkiem dziadek mój.O tamtych dwóch wiedziałam,że byli najzupełniej dalecy i babci i Mamie że utrzymywali stosunki z Przemyślem i żadna z nich nigdy za znajomych a tem mniej rodzinę ich nie uważała.Przez Minkę jedynie,siostrę Michałowej Monné,bywały pośrednie tylko realcje o tamtym menażu.

Powieściowszym od powieściowego przypadkiem,gdy Mama wiozła maleńkiego Luka ze Schodnicy na xxxxxxx Storożkę,gdy się z Kasią-nianią znajdował w pierwszej w życiu podróży,wsiadł w Stryju do tego samego przedziału dziadek Monné.Oko w oko zetknął się z Mamą.Zbyt byli do siebie podobni i Mama jeszcze wówczas o tyle młoda,że nie mógł jej nie poznać. Cofnął się też i niebawem przyszedł posługacz po jego walizkę,którą przed chwilą zdążył już położyć na siatce.

Zeszłego roku,bawiąc w Kniażycach,znalazłam się przypadkiem w dzień zaduszny naprzeciw przemyskiego cmentarza.Za wysokim żółtawym murem widziałam las nagrobków,między ktoremi znajduje się grób mego dziadka i dawnej panny Jcasi. Wszystek smutek,cała krzywda,wina i zło przysypane już oto ziemią.. Nie żyje już nikt kto krzywdził,kto grzeszył,nikt kto cierpiał i zapomnieć nie mógł..Może ja jedna jeszcze na świecie wiem jak było naprawdę..Ale już także nie umiem się zodbyć na żadne,żywe uczucie,gdy o tem wszystkiem pomyślę..Przeszli..skonczyli się..Są nowi,całkiem inni ludzie.Dobrze jednak,że ich znać nie muszę.Gdybyż jeszcze odzyskać pewną śliczną młodacianą miniaturę Babci,którą dostał cngiś dziadek od hrabiny

Moszyńskiej i której mimo zerwania nie oddał nigdy!

W czasie powstania babcia moja i Mama mieszkały już razem z ciocią Terenią w Zakładzie jej naukowym, przy placu św. Ducha. Mama miała lat 13, bardzo zaradna zawsze i przytomna, używaną bywała na posyłki poufne, roznosiła karteczki do rodzin nadsyłane okazjami z terenu walk, czasem ustne wieści, których kartkom powierzać nie chciano, ba nawet do więzienia u Karmelitów nosiła prowianty. Znajdowała się czasem pośród nich pomarańcza z wsuniętem od góry, po między ćwiartki gęsiem piórem, którego otwór zatykany był dla niepoznaki z powrotem zieloną „koronką" owocu. W pustej rurce pióra tkwił zwitek bibułki z jakiemś porozumieniem czy doniesieniem. Sam Zakład cioci gromadził nieraz na narady zebrania liczniejsze, które pod ochroną szkolnej firmy nieuleściej i niemieckiego nazwiska właścicielki jakoś puszczano mimo oczu.. Bywali tam: Tecfil Dąbrowski, Stanisław Komorowski, młodzi Krzyccy, polegli później, bracia owej malutkiej mężnej Klary, którą raz w momencie paniki, gdy wpadła w nocy rewizja do dworu, podsadzono wraz z plikiem kompromitujących papierów w duży komin. Tam uczepiona sterczących cegieł trzymała się i nie pisnęła ani słowa, nawet wówczas, gdy oficer rosyjski, dźgać począł w górę gołą szablą. Nie znaleziono jej, ale gdy dziecko półżywe domownicy potem wyjęli z komina, miało u obu nóżek przecięte pęciny. Bywał /// dr. Stella Sawicki i cały zastęp ludzi, których znałam dobrze z licznych fotografji, i o których powiem później. Niestety nazwiska potraciły mi się w pamięci, co gorsza, przepadły fotografje. Wieczorami u cioci, przy stole założonym kajetami, tym samym, rozsuwanym stole na którym potem Grottger rysował tak często, skubało się szarpie, robiło naboje, szyło bieliznę dla walczących. Scena wyreżyserowana była zawsze tak, aby w momencie mogło przybrać pozór pokoju w którym uczą się tylko dziewczęta. Raz, podczas nagłego wpadu rewizji do kamienicy, wieczorem, gdy Zosia Suska dała znać o niebezpieczeństwie, w mgnieniu oka wpakowano do kuchennego koszyka cały kram roz-

łożony na stole i Zosia,z koszykiem w ręku,minęła zbiegając ze schodów,dążących w górę żandarmów.Gdy oni dzwonili do Zakładu przytomna dziewczyna znajdowała się już w mieszkaniu na pierwszem piętrze--(gdzie później,latami było Two.Szt. Pięknych/a potem kawiarnia „Sztuka) i przy pomocy uprzedzonych na taki wypadek lokatorów wpakowała całą zawartość swego koszyka omotaną na prędce w szmatę, między kamienną balustradę balkonu a blaszanych,zdobiących go dziś jeszcze,rycerzy.

Wówczas też,została w oczach Mamy migawka,~~xxxxx~~ krótkiej sceny w przedpokoju.Przyszły kwestarki.Bywałyż to często panie z arystokracji,chętne zawsze do takiej formy pomocy społecznej.Żeżgaś panował ~~ob~~yczaj składania na cele powstańcze biżuterji raczej niż pieniędzy,podawały takie kwestarki czarny worek aksamitny,sporych rozmiarów,w który się rzucało kto co mógł. Mama razem ~~xxxxxx~~ z Babcią wyszła do przedpokoju gdzie przybyłe stały.~~Pamiętała~~ Zapamiętała Mama jak babcia sięgnęła spokojnym ruchem obu ramion ku zapince na szyi na której stale nosiła sznurek pereł..Migniły zakołysane na powietrzu i zadźwięczały we wnętrzu czarnego worka. Nie spodziewała się kanoniczka Alojzja jaki los spotka jej piękne perły,ani ciotka Charlotta ~~xxxxxxx~~ Jordan,która je Babci jako narzeczonej przesłała.. Został po nich slad na miniaturze Alcizji-Louizy,wiszącej na Zaświeciu..

W tych czasach też,nieznany morderca-mściciel,zasztyletował był na placu Castrum szpiega Kuczyńskiego.W teatrze Skarbka odbywało się własnie przedstawienie.Wieść o spełnionym czynie gmachu fakcie,przebiegła w mgnieniu oka widownię.W moment potem wpadł do mieszkania jakichś państwa (nazwisko uszło mi!) blady,i pomieszany młody człowiek,oznajmiając że przed momentem wykonał wyrok na Kuczyńskim. Błaga o przebranie,fałszywy paszport i pieniądze na ucieczkę.Nie było chwili do starcenia..W mig opatrzono go wszystkiem potrzebnem ~~xxx~~ tak,że mógł z tem zajechać do Ameryki..Jak wpadł tak i zniknął.Niebawem wydało się,że człowiekiem tym był zna-

ny policji rzezimieszek,który obecny wówczas w teatrze,wpadł na błyskawiczny pomysł wykorzystania momentu,co też z takiem powodzeniem uczynił.Właściwy zabójca zdrajcy--o ile wiem--pozostał do dziś nieznany.

W pięćdziesiąt lat od tej epoki,na urządzonej ku upamiętnieniu daty Wystawie we Lwowie,ogl dać można było za szkłem witryny ów sztylet,którym zabito Kuczynskiego. Znajdował się w zbiorze najakiego Leona Krzemienieckiego,pośród ogromniego mnóstwa pamiątek powstańczej doby,dokumentów,druków,autografów,pieczęci,broni i wizerunków. Pamiętam że,gdyśmy zbiór Krzemienieckiego oglądały na tej Wystawie,podszedł ku nam on sam,zbieracz,(ktoś nam go przedstawił) człowiek dziwnie odrażającego wyrazu,o lisich rysach i małych,czarnych oczkach. Uraczył Mamę jakimś oblesnym frazesem, czyniąc aluzję do Grottgera i związku jego twórczości z powstaniem i Mamą.Nie lubiła Mama takich komplementów,miała za dobry smak i słuch,aby nie wyczuć ich gipsatury.Odliczywszy jednak subjektywny odrzut,nie mogłysmy nie być pod wrażeniem dużej zasługi,jaką miał ten człowiek,zebrawszy istotnie imponującą ilość przedmiotów i materjałów mających dla histroji powstania ogromnie znaczenie. Ja nawet,wyznaję,pociągnięta tym motywem,zagadnięłam Mamę czy nie zechciałaby dać Krzemienieckiemu do jego zbioru garstki współczesnych fotografji jakie są w domu.Zgodziła się natychmiast i wraz ze mną uznała,że takie okruchy trzeba łączyc i że z osobna są bardziej zagrożone..Pamiętam ~~następnie~~,że ze wszystkich prawie skrytek,szuflad ek i albumów wyjęła co miała i za następniej bytności na Wystawie wręczyła Krzemienieckiemu.Poznała się też z nim w czasie Wystawy Zofia Zawiszanka,gustująca już wowczas w atmosferze powstańczo-konspiracyjnej i rozmawiali czas dłuższy na temat dokładnej a trudnej do dostania wojskowej mapy Królestwa Polskiego,upragnionej przez Zosię,a ktorą to mapę Krzemieniecki przyrzekł jej dostraczyć byle mu karteczke o tem przypomniała,bo zapomina łatwo..Było to na rok przed wybuchem wojny..

Bodaj-że jeszcze przed zamknięciem Wystawy,a może nieco tylko później, gruchnęła wieść o aresztowaniu Lecha Krzemienieckiego,jako groźnego od lat szpiega na rzecz Rosji,filaru ochrany,zbrodniarza,który całe litanie denuncjacji ma na sumieniu.Wieść tę podały dzienniki poczem sprawa Krzemienieckiego ucichła zupełnie. Nie słychać było ani o sądzie ani o wyroku..Siedział zamknięty.Tyle wiedziano. Zbiory któremi z szatańską chytrością stworzył dokoła siebie nietyklaną barykadę --(bo jakże?kapłan pamiątek narodowych i ~~xxxxx~~ podejrzenie o szpiegostwo!-?) nie wiadomo mi gdzie się podziały.

Już po jego aresztowaniu zaszedł był na Zaświecie jego syn,gimnazjalista,rudy,mizerny wyrostek,z obrazem,jakoby Grottgera do rozpoznania. Widziała się z nim Mama i rzecz okazała się nie autentyczna.Nie wypadało poruszać sprawy ojca więc i zbiorów.Potem wybuchła wojna..

W czasie gospodarki Moskali we Lwowie,spotykałyśmy Krzemienieckiego w tramwaju.to na ulicy.. Ocalał zapewne w popłochu, zapomniany w areszcie przez umykające austryjacie władze,a teraz używał zasłużonej swobody.Po powrocie Austrji,rzecz prosta,już go we Lwowie nie było..

Natomiast dowiedzieli się nasi chłopcy,że syn jego zginął w Legionach..

Między Zaduszkami a św. Mikołajem była jeszcze wilja św. Andrzeja.Józia--ta od Wincusi--bardzo przestrzegała związanych z tym dniem obrzędów.Później,ja już sama pilnowałam aby niczego nie zaniedbać.Samo znaczenie guseł było mi gruntownie obojętne.Mój przyszły mąż nie zaciekawiał mnie.Ci panowie,którzy u nas bywali,dalecy (byli też) ~~xxxxx~~ od budzenia we mnie przeczuć w tym kierunku.Chodziło o emocję,co się pokaże na cieniu,gdy postrzępiony,ciepły i mokry wosk podniosą czyjeś ręce między lampę a biało lakierowane drzwi..

Chodziło o coroczny swąd, który po kilkakrotnem przesmażeniu wróżebnej substancji, napełniał wszystkie pokoje..O śliczną fregatę łupinek z zapalonemi świeczkami na wielkiej, mosiężnej miednicy..Były wróżby z trzewikami, talerzami, karteczkami, na których wypisywało się męskie imiona, dla mnie wszakże główną rzeczą był topiony wosk i pływające światełka.

Święty Mikołaj--zanim zaczął bywać u nas osobiście i przemawiać głosem poczciwego pana Stefana Grzywińskiego, udrapowany w podejrzanie znajomą adamaszkową kapę z łóżka naszej sąsiadki, pani Grelińskiej--ograniczał się do „podrzucania" w nocy wielkiej, papierowej torby, pachnącej pod poduszką jabłkami i piernikami chroboczącej od włoskich orzechów i innych niedoczekanych po ciemku przedmiotów, które nad ranem, gdy się już dom przetrząsał od wyjeżdżających powozów i gdy już kowal-sąsiad kuł--obmyczywało się chciwie między spaniem a powtórnem zaśnięciem. W biały dzień dopiero następowało patroszenie torby i pożywanie o niebywałych godzienach pierników i pomarańcz.. Św. Mikołaj ograniczał się zrazu wyłącznie do przysmaków i długo niczego innego nad rzeczy jadalne nie znajdowało się w torbie. Wierzyłam ślepo w nadnaturalne pochodzenie tak świętomikołajskich jak chichkowych smakołyków. W końcu, jedno występne sięgnięcie do kieszeni maminego żółtego futerka zachwiało mocno moją wiarę..Powodowana ciekawością co też mama z miasta przyniosła wydobyłam z głębokiej kieszeni dwie, porcelanowe, strojnie odziane laleczki. Nim się zdążyłam ucieszyć wsunęłam je z powrotem zawstydzona głęboko mojej ciekawością..Im bardziej podobały mi się te lalki, tem winniejszą się czułam wobec mamy i żółtego futerka, tem srożej wyrzucało mi sumienie, żem jej ufność zawiodła, a popsuła sobie radość przygotowanej z takiem kochaniem niepodzianki. Nie pisnęłam jednak słowa o całem zajściu i czekałam..Nie było bowiem wątpliwości, że lalki były przeznaczone dla mnie..I oto w jakiś czas potem znalazłam je pod drzewkiem, niby od Aniołka. I wtedy jeszcze nie przyznałam się nikomu z domowych ani do owego grzesznego sięgnięcia w kieszeń ani do nagłych wątpli-

wości w zaświatowość tych darów..Wreszcie,gdyśmy raz z Tepą,siedzieli wedle zwyczaju na zielonej kanapie pod lustrem,zwierzyłam się ze wszystkiego..Za uczciwy aby podtrzymywać złudzienie,wydobył mi jednak na pociechę własne wspomnienie z dzieciństwa,dosyć do mego zmartwienia podobne..

I jemu,jako małemu chłopczykowi podkładał Św. Mikołaj przysmaki pod poduszkę.Ale Tepa był jeszcze ciekawszy odemnie i dręczył pytaniami starszych.Wtedy ojciec oświadczył mu stanowczo,że św. Mikołaj tylko takie dzieci obdarza,które mu ufają.Podejrzliwe nie dostają nic. Tepa,który nie wątpił w nadprzyrodzonośc zjawiska, ale chciał je chwycić na gorącym uczynku,postanowił urządzić zasiadkę na świętego.Udał że spi i leżąc cichutko czekał co będzie.Wreszcie pochwycił w przyległym pokoju ostrożne postukiwanie drewnianej nogi ojca--stracił był własną w powstaniu listopadowem--drzwi cicho się odemnknęły i znajomy stukot kuli o posadzkę zbliżał się do łóżeczka.Malec usłyszał szelest papieru pod poduszką i już nie było wątpliwości.Wówczas wpadł w rozpacz..Wyrzuty sumienia,żal za złudzeniem,rozczulenie nad dobrocią ojca były zbyt nagłe i wybuchnęły gwałtownym płaczem,z jakim niefortunny badacz cudowności przypadł do ojcowskiego kolana..

Długo prze Bożem Narodzeniem wiedziało się,że te dni idą..Najpierw przynosił kościelny opłatki,które się kładło na zielonym jak szmaragd,kryształowym talerzyku..Józia zaś windowała woreczek z mąką na przypiecek,aby schła.Choć na oko nic się nie działo,czuć było,że jest całkiem inaczej niż w inne zimowe dni..Jakiś pakiet zajrzany w głębi maminej szafy,odrobina pozłótki na podłodze..Z innem też uczuciem patrzyłam na gwiazdę wieczorną, jedyną taką dużą jaką moje oczy dostrzegały.Wiedziałam,że to ta, trzykrólska..Wreszcie jawiły się rodzynki na kuchennym stole,które Józia wieczorami obierała..Wolno mi było przy tem asystować,choćby dlatego także,że w tym samym czasie złocoły się w pokoju orze-

chy..Adaś spał zwykle wcześniej odemnie i nie miał żadnych podejrzeń..

Kiedy się Józia wyprawiała po ryby,byłto znak,że już tylko dwa,~~dwa~~ trzy dni czekania..Zdejmowało się uszaty,szary,porcelanowy garnek z wysokiej półki kuchennej,zawsze ten sam i w ~~nim~~ potem przechowywała się studzona ryba,wedle przepisu babki Młodnickiej robiona,przysmak,bez którego Tatko świąt nie uznawał.Salaterka tej ryby jawiła się przy Wilii,reszta mieściła w szarym,uszatym garnku.Mama sama pilnowała przyrządzania tej potrawy,jak i wydawania wszystkiego do ciasta,także wedle dawnego przepisu z domu Tatkowych rodziców. Cóż to była za obrzędowa emocja,gdy do kuchni nie było wolno,bo „ciasto rośnie !Przedtem i podczas wybijania żółtek mieszania i wsypywania zielonych skrawków cytryny i talerza kopiatego rodzynków,bywałam obecna.Potem kuchnia zmieniała się w tajemniczy przybytek i --uprzejma zwykle Józia,w jędzę..Ale warto było czekać gdyż dostawałam zawsze osobną,śliczną„ młodą strucle i z przystawionego podróżka,oglądałam ją między „dorosłemi leżącemi miękko na podesełanym obrusiku,na łóżku cioci Tereni,w pierwszy pokoju.. W tym-to czasie,nieodmiennie chwytał mój bystry nos zapach sosnowych igieł,zapach drzewka,które nigdy o ~~żadnej~~ innej porze tak cudownie i ~~nigdy~~ odrębnie nie pachnie,jak takie przemrożone,wniesione do ciepłego pokoju...Ale tylko przez moment..Potem zapach ten gdzieś się podziewał i zostawała tylko zachwycająca pewność,że się nie zdawało..

Ponieważ salonu nie opalało się na stałe,tylko gdy goście przyjść mieli,lub na Willię,zamknięte drzwi tego pokoju były czemś natural em.Tam odbywało się misterjum choinkowell

W dzień Willi,w południe,przychodzili zwykle PP.Sawczyńscy oboje,czasem z córkami,stale z synem Henrykiem.Podczas gdy się gościł przyjmowało w ogrzanych pokojach,Henryk zostawał w salonie. Ponieważ był bardzo wysoki,jego coroczną,ochotniczą funkcją,było przytwierdzanie świeczek do gałązek.Potem się jawił i on..Wizyta to

odbywała się gwoli urodzin i imienin Adasia, który był synem chrzes-
nym pana Zygmunta Sawczyńskiego. Cała ta rodzina, wysoce światła i
pełna cnót i zasług, choć wolna na pozor od sentymentu, patrząca na
świat i bliźnich przeważnie krytycznie. miała głęboki kult tradycji
i wszyscy jej członkowie odznaczali się wielką wytrwałością i pa-
miętliwością w t.zw. „przyjaźniach" co nie zabezpieczało jednakże
nikogo przed ostrą czasem, nagłą a nieprzewidzianą nieprzewidzianą
szczerością. Dziś b.p. takie odwiedzanie--choćby nawet ze względu
na jego rodziców--kilkoletniego smarkacza, mnie czy Adasia, przed-
stawia mi się jak coś wręcz już muzealnego. Nigdy, przez ciąg lat
kilkudziesięciu nie zdarzyło się aby w ten dzień ktoś ze Sawczyń-
skich u nas się nie zjawił..

Na Wilię nigdy prawie nie byliśmy sami. Przychodził stale
ktoś z samotników, artystycznych rozbitków, aby nam nie było bez pa-
ry a jenu bezdennie.. Czasem Tepa, czasem pani Aszpergerowa, a choćby
Minka Giżycka, siostra Michałowej Monné, jedyna z tamtej rodziny,
bywająca u nas istota, sympatyczna, karykaturka ludzka, pękała stara
panna, napełniona po szyję samą poczciwością, entuzjazmem i potrzebą
piękna. Zupełnie ta ropucha z bajki Andersena, brzydka i ubo-
ga a nieświadoma że ma brylant w głowie. Bardzo lubiałm tę Minkę.
Zostawała u nas często na herbacie, gdy przychodziła wieczorem i po-
nieważ miała osobliwszy dar opowiadania, jak wielu ludzi z czasów
gdy się mniej czytało, zawdzięczam jej opowieść romansu p.t. „Duch
szybu", z życia górników francuskich, której bohaterem niejaki Didier
ogromnie mnie inspirował. Ciągnęło się to opowiadanie całą jedną
zimę, na raty..

Otóż bywała na Wilię ta Minka, później rzeźbiarz Dykas,
pani Anna Legadé, zawsze ktoś.. Przy kuti zwykle Tatko wstawał nie-
znacznie i zaszedłszy do salonu drugiemi drzwiami, zapalał świecz-
ki na drzewku. Po chwili rozległ się głos małego, mosiężnego dzwonka,
który cały rok stał zazwyczaj w serwantce i oba skrzydła salonowych
drzwi odmykały się ku jadalnemu..

Znajomy pokój wyglądał jak wniebowzięty! Napełniała go złota, sypka jasność, ~~xxxxxxx~~ Sosenka zupełnie przeźrocza i puszysta od długich igieł, stała w mnogosci płomyków, które wszystkie ddbijały się w szybach, zalegającej całą scianę nad główną kanapą „Wojny Srogie memento nad szczęśliwością dzieciństwa. Nim się tknęło niespodzianek pod drzewkiem, siadała Mama do fortepianu i zaczynało się „W żłobie leży" Śpiewali rodzice oboje, cudowny głos Mamy zdawał się pachnąć żywicą, błyszczeć pozłótką, czysty baryton Tatka wtórował bardzo muzykalnie. Do dziś przetrwały mi w melodjach kolęd te ich głosy kochane i piękne, zanurzone jak w bursztyn słów i pieśni.

— x —

Jednym z domów z którym rodzice żyli najbliżej, był dom Zulińskich. Zrazu składał się z matki, pani Barbary z Michelsonów i dwu synów: Tadeusza i Józefa. Pierwszy lekarz, istny świecki franciszkanin, ~~xxxxxxxxx~~ zakonnik idei miłości Boga, Ojczyzny, ubogich, ludzi wogóle.. Zostawił po sobie pamięć człowieka świętego. Drugi profesor, o ile pamiętam przyrody, działacz żarliwy, bojownik o ~~xxxxx~~ ~~xxxxxxxxx~~ polskość i wiarę, którego biografja zajęłaby wiele kart budujących i zdumiewających tem choćby, że mówiłyby o życiu jednego tylko człowieka, którego program dnia codziennego straczyłby na pracę dla kilku.. Uczył w licznych uczelniach Lwowa, ale głównym terenem jego pracy było Seminarjum naucz. męskie i żeńskie, skąd z pod jego wpływu wychodził rok-rocznie nowy zastęp patryjotycznych nauczycieli, ówczesne kadry polskich stereguwców, idące na wieś, świadome zadania i obowiązku. Nie było jeszcze wówczas ani Szkoła a ni Twa. Szk. Ludowej.. Twierdzami polskości były jedynie takie domy i tacy ludzie, jak Zulińscy. Rodzeństwo było liczne, ale we Lwowie na stałe mieszkali tylko dwaj bracia z matką. W domu tym, umeblowanym jak wnętrza pokojów z Grottgerowskiej „Warszawy, wisiały portrety, dagerotypy, blaknące fotografje.. Bardzo wcześnie znałam treść ich wszystkich.. Na jednym z wizerunków olejnych bielała twarz Romana

Zulińskiego,starconego wraz z Trauguttem,Krajewskim,Toczyskim,Jezierańskim na stokach Cytadeli Warszawskiej. Wiedziałam,że malutka,pochylona staruszka,pani Zulińska Matka,była tej śmierci syna obecna.Świadomość ta ściskała mi zawsze gardło ilekroć całować mi wypadło jej rękę,drobną,szczupłą,która zawsze dobrotliwie głaskała mnie po twarzy. Nosiła marszczone,białe,tiulowe czepeczki wiązane pod brodą i twarz jej xxxxx miła--ongiś bardzo ładna--przypominała bardzo wiernie rysy obu panów Tadeusza i Józefa,ktorych bardzo kochałam.Wówczas rzadko tylko bywałam tam brana przez Mamę.Później pan Józef ożenił się.Żona jego,panna Lucja Grossówna,córka przyjaciół domu Zulińskich,pełna ruchu,przejasne blondynka,bywała przedtem także u moich rodziców i zachwyciła mnie raz na zawsze swą kwiatkową urodą,gdy podczas jakiejś skromnej zabawki z nas pochyliła się nad mojem łóżeczkiem,aby xxxxx mi się--wraz z pannami Bronią i Anilką Skolimowskiemi--spiącej przypatrzeć.Świecia trzymana w ręku którejś z panien zbudziła mnie i otworzyłam oczy.Białożółtowa, pod złotym obłoczkiem grzywki,buzia Luci Grossównej,podobna wianeczkiem niezapominajek,błękit sukienki przy białej szyi i ramionach, wydały mi się czemś wręcz nierzeczywistem!Pamiętam też moment z nią związany,gdy raz zaszedł pan Józef do Rodziców w jednym z tysięcznych zapewne narodowo-obywatelskich interesów,jakie go z nimi łączyły--i gdym w pozostawionym przez niego w przedpokoju kapeluszu,zauważyła prześliczną,herbacianą różę..Usłyszałam potem od Mamy,że niósł ją pewno dla Luci,o którą się stara.

W miarę gdym podrastała,bywałam częściej zabierana do P. xxxxxxxxxx Józefostwa razem.Przez lat kilkadziesiąt,co niedzielę wieczór gromadziła się tam ta sama zwykle gromadka ludzi,którzy w owych czasach nazywali się „ziomkowie" lub „rodacy"..W salonie Zulińskich pachniało bowiem jeszcze wyraźnie emigracją,skąd do Galicji cała rodzina przybyła,mówiło się o Paryżu jakby się znajdował tuż za rogatkami..„Pan Seweryn"-wspominany czule,to był Goszczyński Lancwie: Leonard,Kornel,Agaton,to znaczyło:Rettel,Ujejski,Giller..

Całe ostatnie dzieje Polski jawiły się tam w osobach żywych lub rozmowach. Słynne wieczory conie zielne u Zulińskich były jednemu z najpierwszych moich towarzyskich rozrywek pozadomowych. W dużym salonie przy ulicy Gliniańskiej /dziś Tadeusza Kulińskie o/ na drugiem piętrze zbierało się tam co tydzień bardzo czasem liczne grono ludzi. Były to jakby prywatne posiedzenia istniejącego oficyalnie Komitetu Obywatelskiego, ale podczas gdy oficyalny zaznaczał się głównie urządzaniem rocznic narodowych, nabożeństw, jubileuszów i pogrzebów, prywatny konspirował pożytecznie i praktycznie dla dobra spraw realnych. Nie pora tu na wyliczenie wszystkiego co się w tym salonie waryło, początkowało, ile pchniętego w życie inicyatywą tamtych ludzi, pomogło do przysposobienia duchowego pogotowia na czasy o które się modlili. Ze starszej generacyi Zulińskich, mieszkających we Lwowie dożyła tych czasów jedynie jasnowłosa zawsze pani Łucia, której jedyny syn Tadeusz zginął w legionach w r. 1916tym.

Niedziele owe były też terenem na którym młodzież seminarzycka obojga płci miała sposobność stykać się ze starszem pokoleniem "rodaków". Galicyjski narybek przyszłego nauczycielstwa ludowego słuchał tu od naocznych świadków o niejednem co miał po wsiach przemycać, lub bodaj samemu z pamięci nie tracić, miał tu sposobność do nabrania ogłady i do "nauki z poglądu": jak Polakowi w niewoli żyć należy. Różne nieporadne trusie, różni młodziankowie gorący w mozolnych odzieżach, ucieszne i świętobliwe karykatury ludzkie, zapraszane na skromne zebranka najczulszym gestem gospodarstwa, garnęły się do nich z ufnością i brały, ani wiedząc kiedy, niewyczerpane zapasy na życie całe, zapału, poświęcenia i miłości. Trusie wyrastały potem na dzielne dyrektorki szkół, z młodzianków wykluł się niejeden poseł na Sejm, niejeden głośny dziennikarz czy działacz.

W salonie siedziała zwykle starszyzna. wokół stołu okrytego szydełkową kapą w przezrocze gwiazdy, na którym paliła się staromodna naftowa lampa na niebotycznym postumencie i leżały ciężkie albumy z fotografiami, ku-

piły się znajome twarze panów: Józefa, wuja pani Łuci, p. J.K.Janowskiego, Jana Amborskiego. Brali udział w rozmowie panowie Malinowski, Skotnicki , stary pan Apolinary Stokowski, bielutki, schludny staruszek w czamarce ze spinką dyamentową u szyi, który przez niepamiętny szereg lat, zadawnionem zwyczajowem prawem odczytywał zawsze w dzień 3-go maja tekst konstytucyi na wieży lwowskiego ratusza zgromadzonej tam garstce rodaków. Śmierć jego wprawiła w niespodziany kłopot przyjaciół, gdyż okazało się że starowinka był - kalwinem i niebyło go komu pochować. Katolicki ksiądz nie mógł, protestancki niechciał. Niewiem co wkońcu wymyślono. Podnosił też donośny, uważnie słuchany głos, pan Wieczysław Tarowski, wspaniale piękny, ogromny starzec z oczyma koloru starego miodu, człowiek mający w sobie coś z orła i gołębia zarazem. Weteran z 31 roku, z czarno-błękitną wstążeczką Virtuti Militari przy klapie, obok której jarzył się wązki prążek czerwonej. Była to wstążeczka Legii honorowej, którą otrzymał od francuzkiego rządu, jako podziękowanie za dar 70ciu wagonów własnego zboża, które po pruskiem zwycięztwie ofiarował głodującej siostrze "Francii". Wówczas, kiedym go poznała, on, pan ongiś wielkich obszarów, nie posiadał już ani ziarenka, gdyż wszystko, do ostatniego rozsypał głodującej braci.

Czasem przyjeżdżał ze Stanisławowa pan Agaton. Z żółtą twarzą chińskiego bonzy, z obwisłemi, czarnemi wąsami, prezydował, zdało się, zebraniu - i wówczas najczęściej kierowano młodzież do przyległego pokoiku, aby starszym nie wadziła w naradach. Nie lubiłam się tam znaleźć. Nie z ciekawości na pana Agatona, który był dla mnie jeszcze stanowczo za rudny wtedy, ale dla świadomości, że w tym przyległym do salonu pokoju umarł kochany pan Tadeusz.

Styczeń był wtedy ostry, mrozy srogie gdy umierał. Mama na całe dni i noce dążyła na Gliniańską, aby wyręczać utrudzoną panią Łucię, ja zaś właśnie zaziębiona siedzieć musiałam w domu. On to, pan Tadeusz leczył mnie podczas zapalenia płuc w dzieciństwie i wyrwał z choroby po której na dłu-

gie kata zostałam rekonwalescentką. Mam jeszcze ubożuchne podarunki, jakiemi mnie wówczas darzył: medalionik z kryształowem wieczkiem, rozsypaną już w kawałki rogową bransoletkę z białemi kamyczkami,- mam trwalsze od przedmiotów wspomnienie jego niewysłowionej słodyczy z jaką się do mnie odnosił. Jedna z tych paru, naprawdę świętych istot jakie w życiu znałam. Wiedziałam że jest umierający, widziałam ciężkie zmartwienie rodziców, było mi strasznie smutno nie módz nawet odwiedzić chorego. Śmierć jego odpłakałam gorąco, tem rzewniej że mnie na pogrzeb nie wzięto. Kaszlałam i mróz był za wielki. Pamiętam głębokie wzruszenie gdym potem pierwszy raz znalazła się w znajomych pokojach i gdym weszła do tego właśnie pokoiku przy salonie. Pachniał silnie aptecznym zapachem medykamentów i choć był już urządzony inaczej, znikło łóżko pana Tadeusza, zostały szafy z książkami, ów rozczulająco szkaradny bukiet kwiatów pod kloszem, który z chleba ulepiła wdzięczna jakaś pacyentka, szafirowe wazony dekorowane jakby koronką z białych paciorek, inny taki dar czuły a niefortunny,- marmurowa, także pod kloszem grupa z porwaną Sabinką, hołd podobny, tylko w lepszym już guście,- słowem same przedmioty znajome, związane z tym, którego brakło, przesycone nadomiar tym niesamowitym, silnym zapachem, o którym niepodobna było zapomnieć.

Zawsze czułam się skrępowana w tym pokoju i niezdolna do wesołości.

Niech nikt sobie nie wyobraża że te niedziele miały w sobie uroczystą, posępną powagę katakumbowych schadzek. Bynajmniej. Ludzie, którzy się tam jawili i ci, którzy ich do siebie garnęli, mieli zupełnie franciszkańską pogodę serc, toteż bezpośrednio nieraz po bardzo czasem ważnych dyskusyach nad krajowym Sejmem, lub złemi wieściami ze Ślązka czy Poznańskiego,- inicyował najzacniejszy pan Józef gry towarzyskie, w których brali udział wszyscy, starsi i młodsi. Grano w talarka, kotka i myszkę,- sam gospodarz, profesor siadał mężnie na cenzurowanem, wysłuchując dobrotliwie znoszonych na niego plotek. Pamiętam raz w "mruczku" godnego

pana J. Kajetana Janowskiego, jednego ongiś z członków Rządu Narodowego w 1863cim, jak stojąc w kole z trąbą nut w ręce, ekscytował głuchem chrząkaniem odzew, w którym trzeba było głos znajomej osoby rozpoznać. Raz, podczas "talarka" sąsiadem moim był pan Agaton.

Bawiono się w "farby" i "spowiedź", zaś najhałaśliwszą bywała zabawa w "podróż", kiedy to Madryt musiał na komendę znaleźć się w Petersburgu, Petersburg w Madrycie, komenderujący zaś upatrywał jak jastrząb, puste po którejś ze stolic krzesełko, by na niem usiąść w zamieszaniu. Srogo przy takich wojażach cierpiały staromodne mebelki, ale śmiechu było coniemiara i niejeden poczciwy, ludowo-szkolny marjaż brał w tych podróżach początek. Były to zabawy adwentowe lub wielkopostne. Po Bożem Narodzeniu śpiewało się chórem kolędy, a w karnawał nawet się i tańcowało trochę. Pan Józef siadał do fortepianu i wypędzał "przepióreczkę w prosó", młodzież zaś puszczała się z rozpędem większym od przestrzeni w pląs mazurowy. Lampa na wysokiej łodydze wędrowała wtedy na trymotkę, skromniutki dywan pod kanapę, starsze panie kupiły się p...
piły się pod ścianami, z których ciemne portrety nieboszczyków przychylnie poglądały na tę uciechę.

Forma gospodarska tych przyjęć ogromnie była prosta. Zasiadało się wprawdzie przy stole pięknie zasłanym obrusem, przy stojącej pośrodku lampie, ale nieodmiennie przyjęcie stanowił półmisek t.zw. mieszaniny, t. j. różnych wędlin krajanych w plasterki, chleb bez masła, dobra herbata w szklankach, do której cukier podawany był na talerzu w kostkach rąbanych z "głowy", i etażerka zawsze takich samych ciastek domowych, które się nazywały : badjanki. Nigdy niczego więcej. Czasem w karnawale podawano do herbaty chrust, nazywany tam z warszawska: faworkami...

4 dziewcząt najmilsza mi tam bywała Kazia Kinnicka, córka Tomasza, także jednego z głównych filarów powstania,- kozak dziewczyna o trzy głowy wyższa odemnie, z ładną, pociągłą twarzyczką i czarnemi oczyma, pełna niewyczerpanego humoru i dobroci. Obok niej pamiętam Jadwisię Zielonczankę, później Sędzimirową, Ojciec jej, patryota i działacz, brał udział we wszystkich ów-

czesnych lwowskich "robotach" narodowych. Należał do grupy tych starszych panów, którzy się kupili koło lampy na wysokim postumencie w chwilach gdy nas młodszych kierowano do przyległego pokoju. We trzy z Nazią i Jadwisią, przebrane za Polskę, Ruś i Litwę, ofiarowałyśmy Platonowi Kosteckiemu w poranek uroczysty jubileuszu jego publicystycznej pracy, wieniec od rolek z biało-czerwonemi wstęgami. Nazia była Polską, Jadwisia Litwą, ja - mój Ty Boże!- Rusią... Istnieje nawet wspólna nasza fotografia w tych kostyumach z tym wieńcem. Mówiłyśmy przed jubilatem, każda po kilka strof, z jego słynnego wiersza, zaczynającego się od słów:

W Imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa,
Jako Trojca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa...

Nie dożył szczęściem zacny jubilat, gente Ruthenus natione Polonus, straszliwej ironii dziejów!

We trzy gwarzyłyśmy zwykle osobno, bo panny Modzelewskie, Marconiówny, Aleksandrowiczówny, Deskurówna, Grossówna, starsze były znacznie od nas. Wśród zastępu innych, młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek, mignęła mi raz także Marya Bartusówna, poetka, córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe "Sonety przedślubne", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem zawędrowały do rąk Leonii Wildowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i starania ich obojga obroniły biedną nauczycielkę od małżeństwa, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić od gruźlicy, której w parę lat później uległa, młoda jeszcze i naprawdę bardzo zdolna. Mignęła mi się też raz Marya Bartus i u nas przy ulicy Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, mówiła szeptem i oczy miała błyszczące jak w gorączce. Z tej wizyty została mi migawka jej rąk, któremi, nie zdjąwszy czarnych, skórzanych rękawiczek, krajała pomarańczę jak jabłko. Pamiętam sok ciekący aż do łokci pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni. Do dziś nie wiem czy tak była niedołężna, czy zaambarasowana. Strasznie miała być

nie wiem czy tak była niedojęta, czy zasmarasowa.. Strasznie miała byé
ciekcy za do fokci pod krótkie rękawy ówczesnej modnej sukni. No dzis
rych, skórzanych rękawiczek, krzyża pomarańcze jak jabłko. Pamiętam sok
rzecze. Z tej wizyty została mi migawka tej rak, któremi, nie zdjęwszy czar
Była już mocno ciemnica, mówiła szeptem i ocay miała błyszczące jak w go-
zdolna. Migmęła mi się też raz marya Bartna i u nas przy ulicy Nimoro icza.
ślicy, któreJ w parę lat później ulegla, młoda jeszcze i mprawdę bardzo
od małżeństwa, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić od gru-
pokazała je Dżejakiem i staraniu ich obojga obroniły biedną nauczycielkę
swiązku z miekodarnym cafowiekiem sawdrowszy do rąk leonii Wildowej. Ta
rozpaczliwe "Sonety przedwiubne", napisane z dużym talentem w przededniu
mi rea takie marya Bartnerówna, poetka, córka mało znanego malarza, której
wśród zasłępu innych, młodzieńskich seminaryatek lub nauczycielek, migmęła
Aleksandrowiczowny, Deskurówna, Gro sówna, staraze były znaczne od nas.
We trzy gwarzyłyśmy swykle osobno, bo panny modzelewskie, marconiówny,
atrasznej ironii dziejów!

Nie dosyć zazwyczaiem zacny jubilat, gente Ruthenum natione Polonus,

Polacza, Ruś i Litwa...
W imia Otca i Syna,
To nasza mojżesz.
Jako Troica tak jedyna.

jego ajmnego wieraza, zaczynającego się od słów:

s wiekem tym wiencem. Mówiłyśmy przed jubilatem, każda po kilka słów, z
Boże!- Ruś!... Jutnieje nawet wspólna nasza fotografia w tych kostyumach
z biafoczerwonemi wstęgami. Nasza była Polska, taż Isia Litwa, ja - mój Ty
porank uroczysty jubileuszu jego publicznej pracy, wieniec od Polek
przebrane za Polskę, Ruś i Litwę, oficerowskiemu płatonowi rosteckiemu w
nas młodszych kierowano do przyległego pokoju. We trzy z nasią i Jadwisią,
pamów, któreJ się kupili koło lampy na wyaokim postumencie w chwilach gdy
czasnych Iwowskich "robotach" narodowych. Należą do grupy tych atarszych

pono nieśmiałą i opowiadał pan Józef, jak przy egzaminie z zoologii, gdy ją pytał, w żaden sposób nie mogła się zdobyć na wymówienie słowa : świnia... Tak się to dosłownie brało wówczas - poezję!

Z wiela "masek" na czcigodnej scenie tego domu spotkanych, przypomnieć muszę jeszcze jedną. Nazywała się pan Stanisław Konopka, recytator.

Człowiek bez wieku, ucharakteryzowany, jak wówczas jeszcze wielu, na powstańca, w zrudziałej czamarce, pasie z klamrą i butach z cholewami, o długich, uczernionych włosach spadających, ze znaczną tegoż szkodą, na biały prążek kołnierzyka, z miną raz na zawsze klęskową i podfarbowanym wąsem, jawił się na niedzielach rzadko, dość jednak często aby mi zostać w pamięci dokładnie.

Nie przypominam sobie żadnego słowa, któreby było słowem jego, słowem pana Konopki. Umiał natomiast wszystkich, bez przesady, wieszczów na pamięć, umiał, z dokładnością fenomenalną, całe dramaty, wszystkie polskie poematy i wiersze,- był jakby automatem pełnym obcej treści, która się zeń na zawołanie umiała sypac bez przerwy... Zważywszy że recytacya /słowa "deklamacya" nie znosił/, była źródłem jego zarobku, że za skromnem wynagrodzeniem ilustrujący w gimnazyach godziny "polskiego", występujący często z recitalami własnymi w Sokole czy Gwieździe, nie mógł każdym, tysiącznym razem przeżywać treści wygłaszanych utworów,- czynił istotnie wrażenie automatu o zdumiewającej mechanice. Raz na zawsze patetyczny i feralny, gorzał i stygł równocześnie z temperaturą danego utworu, syczał jadowicie, chichotał szydersko, wysuwał oczy z twarzy tak że groziły upadkiem na dywan, krzyczał w niebogłosy aż się sąsiedzi kamieniczni płoszyli, chrypł wreszcie i dech tracił, słaniał się ze śniademi wypiekami nad ogonem fortepianu, pot z czoła strząsał, ale gadać i gadać wierszem nie przestawał. Pozatem cichł i milczał niesamowicie, jak rzecz.

Ponieważ bolała go obojętność, zawsze go dobra pani Lucia prosiła o recytacyę. Nigdy mnie jego sztuka nie wzruszyła przez moment. Przeciwnie, na długo obrzydło mi niejedno przecudne, popsute wspomnieniem głosu i

sposobów pana Konopki, tak jak tandetna reprodukcya obrazu uszkodzić może znajome arcydzieło. Dziś wszakże dopiero urósł moim dojrzałym oczom pan Konopka do,powagi symbolu. We wspomnieniu tej smutnawo śmiesznej figury uosobiła mi się jakby cała deklamatorska tromtadracya patryotycznego gadulstwa, które tak się ma właśnie do miłości ojczyzny, jak dewocya do pobożności. Ten rozgadany wierszem wieczysty powstaniec o farbowanych wąsach ma dla mnie plastykę jakiejś kikły z narodowych jasełek, syntezę czegoś bardzo przedwojennego, co do witryny muzealnej przynależy, co wszakże bardzo było głośne i szkodliwe w swoim czasie i kto wie czy jeszcze w czternastym roku przy werbunku legionowym nie zaw było...

Nic temu nie winien pan Konopka. Biedny, pomylony duchowo rozbitek, zapomniany dziś niechybnie "rodak", uczciwie pracujący na chleb, niezawsze słodki, a skąpy chleb, który może mnie tylko jednej jeszcze przypomina się jako bezwiedna przenośnia, żywy, śmiesznawo bolesny symbol owych czasów.

Dziwnie dokładnie rozkruszył się dom państwa Józefostwa. Gdy pan Józef, najzacniejszy, najświątobliwszy, umierał, syn jego jedyny tak mu był obcym, córki tak inne, choć najzupełniej szanowne, że chcąc papiery swe z czasów powstania, korespondencyę i dokumenty, przekazać w dbałe ręce, uprosił o przyjęcie ich moją Mamę. Syn jedynak zginął w legionach jako piłsudczyk, socyalista, żydofil, córka najstarsza wstąpiła do klasztoru, inne wsiąkły bezbarwnie w szarość pracy zarobkowej. Jedna jest współwłaścicielką kina w Paryżu, pozatem wirtuozką na fortepianie, jedna owdowiała wychowuje dziecko, najmłodsza jest sanitaryuszką. Wszystkie, oprócz zakonnicy grawitują ku socyalizmowi i wielbią Piłsudskiego. Pani Łucia mieszka sama, i gdy ją odwiedzam, wzr szają mnie jeszcze niektóre przedmioty z tamtego, kochanego domu. Stół z tą samą lub takąsamą kapą w gwiazdy szydełkowe, lampa na wysokiej łodydze z piękną, spiżową figurką niewieścią, stare, ciemne portrety pani Barbary, Romana i Tadeusza Żulińskich. Bo tamtego, kochanego domu już niema...

Innym, z którymi żyli blizko rodzice, był dom państwa Grzywińskich. Znowu matka staruszka i syn, pan Stefan, w dodatku jeszcze trzy córki, panny Aniela, Jedwiga i Maniusia. Pochodzili z Poznańskiego, ale do Lwowa przybyli via Warszawa, gdzie przyzostał syn drugi, pan Józef, dobry kontuszowy aktor tamtejszej sceny. Nie można sobie wyobrazić ludzi milszych i pogodniejszych. Dlaczego osiedli wszyscy we Lwowie, niezupełnie dobrze wiem, nie dziwię się jednak że się do niego przywiązali na zawsze. Babciy Grzywińska, jak nazywałam staruszkę, miała pewien pański partes, jako świetnie ongiś wykształcona i wychowana panna - zapomniałam jej nazwisko panieńskie,-wiem tylko że była blizką krewną Kościelskich, Mielżyńskich, Donimirskich i że były w pokoikach jej domu rożne jaśniepańskie sprzęty. Pozatem że byli niesłychanie mili wszyscy, odznaczali się równie niesłychaną, doskonałą już niemal brzydotą. Najmniej brzydka była najmłodsza z rodzeństwa, panna Maniusia o pięknych istotnie warkoczach i oczach, ale z osobna spotkana, mogła również zastanowić szpetotą nosa i ust. Najprzeraźliwiej szkaradna była panna Aniela, najstarsza, po której mniej już zdumiewali młodsi: pan Stefan i panna Jadwisia, zupełny anioł w ludzkiem ciele. Panny Aniela i Maniusia były nauczycielkami wydziałowemi, pan Stefan był - o ile wiem - tylko muzykalny. Panna Jadwisia zajmowała się domem, robiła pajęcze koronki, wypiekała nadziemskie ciastka, szyła odzież dla wszystkich domowników, zawsze promieniejąca pogodą, pełna żartów i słodyczy. Ta to gromadka ludzi kochała nas serdecznie i wzajemnie była od nas kochana. Istnienie ich opierało się, poza pensyami dwu nauczycielek, na jakiejś sumce żelaznej i przy ówczesnem, taniem życiu pozwalało na gościnność.

Raz lub dwa w miesiącu conajmniej, szło się do Grzywińskich albo i ich gromadka jawiła się u nas. Zwykle wieczorami. Ponieważ cała rodzina z panem Stefanem na czele słynęła z świetnego dowcipu, a tatko mój miał sławę podobną, od pierwszego powitania w przedpokoju krzyżować się zaczynały pa-

radne koncepty i wybuchy śmiechu i, jakgdyby coś rozweselającego nasycało powietrze tych pokoików, dowcip raz rzucony podlatał coraz wyżej, świetniał, podrywał ku sobie nowe i naprawdę bywały to istne koncerty humoru, pełne twórczego talentu i bogactwa. Pan Stefan, nietylko facecyonista starej daty, poza którym przywidywało się zawsze jakby tło szlacheckiego dworu, szkaradny jak grzech śmiertelny, a pełen dystynkcyi i gładkości słowa, mówił bardzo powoli i bez uśmiechu rzeczy, których śmieszność polegała, jak w każdym dowcipie, na niespodziance pointy, ale i na sposobie wygłoszenia. Utóż ten sposób nie miał sobie równego. Przyczyniał się do efektu i głos, nosowy, nizki /ten sam, którym przemawiał do mnie nasz coroczny, póki wiara trwała, Święty Mikołaj/ i charakterystyczna, warszawska dykcya, której niepodobna - napisać. Dyalog pana Stefana z Tatkiem, to było używanie tem zbytkowniejsze, że wszystko przepadało momentalnie i nietylko dziś, po latach, ale i wtedy doraźnie nie było możności odtworzyć tej, wietrzejącej natychmiast, przyczyny szalonego śmiechu, przytrzymać dłużej czegoś, co jak substancya lotna traciło się, zaświeciwszy.

Latami mieszkali państwo Grzywińscy, póki Babcia żyła, w zabudowaniach klasztoru P. Benedyktynek. Już samo ich wnętrze działało na moją wyobraźnię. Amfiladka słonecznych, małych celek o sufitach niziutkich, wygiętych w łuki sklepione, z okienkami w grubych murach jak w pokoikach osobnych, strojnych bluszczami, z jedną celą większą, która nazywała się salonem, co zresztą zaznaczał fortepian, garniturek mebelków obitych czarnym rypsem, talerz z biletami, koszyk z kolorowemi owocami z marmuru i kantorek pana Stefana, niezapomniany kanterek z lusterkami, w którego szufladkach wolno mi było grzebać do woli! "Babci" pokój był najbliżej kuchni. W jednem z dwu głębokich okienek wisiała klatka z kanarkiem, poprzez którego "śpiw" - tak tu wymawiano to słowo - toczyła się zawsze rozmowa. Babcia siedziała zawsze w kącie ceratowej czarnej sofy przed

stołem, owinięta w tyftyk rakowego koloru, z koronką czarną na głowie i w ogromnych okularach na jeszcze ogromniejszym, niekształtnym nosie. Była już bardzo wiekowa /dzieci jej wszystkie także,- oprócz panny Maniusi, która była jeszcze "prawie" młoda/, ale przedziwnie żywa i zabawna. Za mną przepadała /ach, jakież przemiłe jej liściki mam jeszcze w szufladkach!/ i, opowiadając mi o swem dzieciństwie, zabawiała mnie wystrzyganiem z papieru misternych sylwetek, co umiała mistrzowsko. W przeciwnym od oczu kierunku trzymając kartkę papieru, wystrzygała nożyczkami z przedziwną pewnością oka np. grupę sarn, jelenia i łanię, przyczem poroże jelenia miało kontur artystycznie doskonały. Czasem bywała to kapliczka wśród świerków... i znowu podziwienia godne były gałęzie drzew. Czasem charty pędzące za szarakiem. Ludzi nie wystrzygała nigdy. Może zniechęcały kochaną Babcię profile jej własnej "dziatwy"?- dość że jej zwierzęta były zachwycające, zdumiewające szybkością i brawurą z jaką powstawały...

W lwowskim klasztorze Sacré Coeur wychowywała się cioteczna wnuczka Babci, Maniusia Bonimirska, córka pana Antoniego, znanego patryoty i działacza w Księstwie. Z tą Maniusią widywałyśmy się podczas świąt, które dla zbytniej odległości od domu spędzała u cioci Grzywińskich. Bardzo lubiłam tę dziewczynkę. Śliczna była i jakaś inna niż tutejsze dziewczęta. Może nie tak dowcipna w rozmowie, ale głębsza, entuzjastka bez frazesu i zdumiewająco szczera. Choć także miałam dość wcześnie swoje wewnętrzne życie, nie byłabym umiała tak siebie komuś innemu wytłómaczyć. A nie było to takie nałogowe mówienie o sobie, cechujące banalne podlotki. Raczej głośne myślenie przed kimś, z kim się ma ochotę razem myśleć. Pamiętam raz,- ponieważ istniał dawny obyczaj chodzenia Rodziców po Wilii do Grzywińskich,- zaproszona przez Babcię i uproszona u Rodziców przez Maniusię, zostałam tam na noc i spędziłam pierwszy dzień Świąt z nimi.- Co to była za radość i przygoda! Zbudzić się w in-

nym niż zwykle pokoju, na ceratowej sofie Babci Grzywińskiej, wprost okna z bluszczem i okrytą szczelnie chustką klatką z kanarkiem, słyszeć syczenie wielkiego samowara koło drzwi do kuchni i ciche krzątanie się kochanych istot... Okryta wielką pierzyną - zimno tam musiało być porządne!- patrzyłam na zamarznięte jak błona małe okienko i rozkoszowałam się poczuciem niezwykłości jaką przeżywam. Potem nadeszła, w berlaczach i katanie babcinej, Maniusia Donimirska i gadałyśmy razem, tkwiąc pod pierzyną jak w zaspie, póki się w pokoju nie zrobiło ciepło i nie pozwolono mi pójść myć się za babcin zielony parawan koło pieca..

Na Mszę poszłyśmy do kościoła Benedyktynek i byłam dość oświecona już wówczas żeby usłyszeć z pożytkiem, dobrze już dzięki Cioci Tereni obeznana z listami Odyńca i Mickiewiczem, że zakonnicą w tym klasztorze była i umarła ongiś Marcelina Łempicka...

A potem, gdy naukę ukończyła, wyjechała Maniusia pod Toruń do rodziny i wyszła zczasem za mąż za magnata kresowego Świackiego, który miał olbrzymi majątek graniczący z Białowieżką puszczą. Dziś, utraciwszy wszystko, pracują w Toruniu na życie, oni obóje i ich jedynak syn.

W tych malutkich celkach klasztoru Benedyktynek mieszkali Grzywińscy latami. Z czasem sprowadzili się w ich pobliże i p. Józefowie Żulińscy. Mieliśmy tedy w bogobojnem obejściu dwa adresy kochane. Ostatni raz byłam u p. Grzywińskich po wilii z Rodzicami w r. 1893. Towarzyszył nam już Tateczek, jako mój narzeczony. Zawsze się brało z domu ręczny dzwonek i gdyśmy już stali pod drzwiami, nie pukając trząsł Tatko dzwonkiem i intonował głośno: "W żłobie leży"... Zaraz robił się hałas wewnątrz drzwi odmykano i wpadaliśmy w objęcia pana Stefana, panien Anieli, Jadwisi i Maniusi i z miejsca wybuchał śmiech, fajerwerki konceptów, dworowanie rozkoszne, którym nie było końca. Pamiętam jak Tateczek struchlał na widok brzydoty tych najmilszych ludzi i wyrzucał nam żeśmy go dość wczas nie przygotowali na wrażenie. Istotnie, nad miarę byli szka-

radni... Ale co za serca, co za pogoda niezmącona, jaka prostota, a zarazem ogłada "masywna" ludzi najlepszego tonu! I jak nas kochali serdecznie!

Na szereg lat przed wojną wyprowadzili się do Bolechowa, kupiwszy za ową sumkę żelazną posiadłość z domkiem. Tam umarli pan Stefan i panna Aniela. Panna Maniusia wyszła zamąż za pana Ksawerego Deskura, zaś panna Jadwisia jeszcze jej dzieciom jest opieką i błogosławieństwem.

-x-

Na pierwsze piętro kamienicy gdzieśmy mieszkali sprowadziła się niemal równocześnie rodzina p. Bilińskich, składająca się z owdowiałej matki, dwu córek, Maryńci i Jadwisi i syna Stasia. Matka, Rudroffówna z domu, wysoka, bardzo poważna i miła pani, zainicyowała stosunki i często bywałyśmy u siebie z temi dziewczynkami. Były ogromnie grzeczne, samowite, dobre i choć moja fantazya nie mogła w nich znaleźć towarzystwa, lubiłam je, pomimo że stale dawano mi je za przykład jaka być powinnam. Nie miałam złudzeń że mi daleko do tej doskonałości. Impetyczna byłam i dziki i niedbała a nadewszystko leniwa okropnie.

U p. Bilińskiej zebrał się komplet dzieci na naukę tańca. Chodziłam także" Muzyka, gwar kręcących się dzieci, wszystko razem podniecało mnie bardzo i zajmowało aż do zacietrzewienia. Chodził równocześnie na te komplety i brat mój cioteczny, Bronek Maryański, którego nie lubiłam nigdy, podczas gdy on wyróżniał mnie wybitnie. Przy "wybieraniu" do mazura pomijałam go starannie, on zaś równie skrzętnie zawsze mnie angażował. Wiedziałam że danserowi nie wypada odmawiać, zła byłam, ale bezbronna. Wreszcie w jakiejś chwili, gdy znów się ku mnie zbliżał, uszłam wgłąb mieszkania, przemknęłam się do przedpokoju i popędziłam na górę do domu. Musiałam być zgrzana - na schodach był przeciąg i mróz - dostałam w nocy ósreszczu tak gwałtownego, że obudziła się śpiąca w tym samym pokoju ciocia. -Po jakiejś chwili zobaczyłam ze się w obu poko-

jach palą lampy i Tatko wkłada futro...

Miałam straszną gorączkę i przed oczyma, jedną na drugiej, ruchome ś ściany, które się ciągle rozsuwały niby kulisy. - Dostałam zapalenia płuc.

Jeszcze w nocy przyszedł kochany pan Tadeusz Żuliński, który potem przychodził codziennie i okropne to były dni dla Rodziców. Byłam na włosku długi tydzień, a potem chorowitem dzieckiem latami. Dobrze przypominam sobie wrażenie, gdym wstała pierwszy raz. Zdawało mi się żem wyrosła i wszystkie meble domowe są niższe i że się ściany jeszcze ciągle trochę chwieją.

Na wiosnę pokazało się że muszę być wywieziona w leczniczy klimat i wuj Edward Korczyński doradzał Styryę. Ciężki to był wyrok dla skromnego budżetu Rodziców. Ojciec zapracowywał swojemi szkołami właśnie tyle ile było potrzeba na istnienie nas wszystkich, mały kapitalik posiadała jeszcze tylko dożyjące z mężem babcia przebywająca u siostry Schallowej na Bukowinie. Wówczas zostały porobione zdjęcia z rysunków Grottgera, zawartych w albumie Nary, nigdy dotąd niereprodukowanych. Prawo rozpowszechniania nabył Edward Trzemeski. Za te pieniądze wyjechałyśmy do Gleichenbergu. Pamiętam nastrój przedwyjezdny. Tatko namalował dla mnie śliczny obrazek M.B. Częstochowskiej z tkliwym napisem na tylnej stronie deseczki. Pani Szczerger przyniosła mi śliczną książkę francuzką z obrazkami "Bébé en voyage". Od pana Tadeusza Żulińskiego dostałam medalik ze szkiełkiem, od cioci torebkę na rzeczy podróżną. Samolubne zwierzątko, jakiem z całą moją rozbujałą fantazyą byłam jeszcze bezsprzecznie, nie zdawałam sobie najmniejszej sprawy z tego ucisku serca z jakiem zostawał Tatko, z jakim towarzyszyła mi Mama. Życie moje wciąż jeszcze było wątpliwe, plułam krwią i co wieczór wracała gorączka.

Pierwszy nasz popas wypadł w Krakowie, gdzie tym razem poznałam oboje dziadziów Korczyńskich, Antoniego i Elżbietę z bar. Wentzów, rodzoną siostrę babci i cioci Tereni. Babcia Korczyńska miała rysy podobne do babci-

nych, ale ostrzejsze, była drobna, ogromnie żywa, gwałtowna w czułości jak niechęci, istne przeciwieństwo dziadzia, jej męża, jednego z najsłodszych ludzi jacy mogą być, którego Mama zawsze wspominała z uwielbieniem i tkliwością. Miał być wysoko wykształcony, świetny skrzypek-amator, przemiły causeur.; Mama pamiętała wdzięcznie czas pobytu w domu dziadziów, gdy mieszkali w Grybowie; do Wamy, już wówczas swej narzeczonej,i babci, przyjechał na zaproszenie dziadziów i Grottger. Narysował tam wiele pięknych studyów: portrety obojga dziadziów, cygana, chłopię śpiewające z nutami na chórze, którego ciekawą strukturę i rzeźbę z aniołem grającym na organkach z grybowskiego kościółka odrysował.

Wuj Wazio zbadał mnie z wielką starannością i coś tam ciekawego powiedział Mamie, bo strasznie była zgnębiona, i choć nie była do tego skłonna nigdy, pamiętam że wówczas płakała. Pamiętam też moje głupie podniecenie na myśl że jestem aż tak chora, rodzaj dumy z tego i zaciekawienia dla samej siebie.

Z Wiednia zostało mi wspomnienie dość intymne. Oto na ganku hotelu spotkałam się z Turkiem, który niósł w ręku naczynie wysoce poufnych przeznaczeń, Turkiem w turbanie, hajdawerach... prawdziwym Turkiem. Pokazało się że obok mieszkał jakiś dygnitarz turecki ze swoim dworem. Wielce byłam zaambarasowana tem turecko-wiedeńskiem spotkaniem,- zatarło się ono jednak, gdyż dzięki egzotycznej zakodze dowiedziano się w hotelu że to akurat jakieś małomożliwie święto i w pobliżkim meczecie można oglądać czynione do niego przygotowania. Poszłyśmy z Mamą i było to istotnie śliczne. wnętrze bardzo wysokie, ciemne prawie, oświetlone zwisającem od stropu mnóstwem lamp o łagodnych barwach, jakieś orzeźwiające jedwabne makaty zawieszone w powietrzu, bo falujące jak żywe od przeciągu, a cała posadzka zasłana grubo trawą, gałązkami zielonemi i kwiatami... Nic nie wiem jakie to było święto, jak wyglądało wejście do tego wnętrza, ale wrażenie tych świateł,

zasłon jakby oddychających i kobierca świeżej zieleni zostało mi na zawsze w pamięci.

Nigdy, nigdy nie omieszkała Mama zdobyć dla mnie czegoś ładnego do widzenia czy przeżycia,- zawsze we właściwej chwili usłyszałam coś co byłło jakby nowem oknem odmykanem ku przestrzeniom.

W Gleichenbergu zamieszkałyśmy wygodnie i blizko lasu, w rodzaju pensyonatu, ale bardziej negliżowego od dzisiejszych. Nie było table d'hotu, ciągle miało się do czynienia z gospodarzami obojgiem. Nazywali się dobrze brzmiącem po niemiecku nazwiskiem Hoferów. Mama wielkie miałs ze mną utrapienie z powodu mej odrazy do jedzenia. Niechciałam. Chciałam zato mnóstwa rzeczy, których nie mogłam. Oto jeździć na osiołkach, które tam wynajmowano na spacery, łazić po lesie za grzybami, grać w kręgle, zaznajamiać się ze wszystkiemi dziećmi jakie się nadarzały. Wuj zaś kazał abym jaknajwięcej jadła i nie ruszała się. Biedna, biedna Mama.

Rysowałam pasyami, bawiłam się trochę Hassanem, moją ulubioną lalką roboty Mamy, ogrpmnym turkiem w jaskrawym stroju, o zginających się stawach, z rasy wynalezionej przez Mamę i uwielbianej prze z liczne dzieci jakie podobnymi niewolnikami obdarzała,- ale przeważnie, nudząc się, bywałam strasznie dokuczliwa.- Tymczasem pewnego dnia zajechali do naszego domu pod lasem nowi goście. Takie ogromne, nigdy przedtem nieoglądane kufry, wielkie jak domki, obite blachą. Wnoszono je z trudem na schody. Rozeszła się wieść po domu że przyjechali jacyś państwo z Ameryki. Z powozu wysiadła wysoka, ciemno ubrana pani i wysypało się czterech chłopców, każdy trochę większy od drugiego,- Amerykanie...

Naturalnie że w pierwszej chwili miałam zawód jak zawsze. Nastawiona byłam bowiem stale na nadzwyczajności i już zdążyłam spodziewać się istot z piórami na głowie pół-dzikich, jak z obrazka. Oni zaś byli nadzwyczajni, ale całkiem inaczej niż się spodziewałam. Znalazłyśmy w wysokiej pani i tych chłopcach przyjaciół na całe życie, wiernych, wytrwałych mimo odda-

lenia, z których jedne[illegible], po latach, jako dorosła już, powitałam na szerokim świecie niby najlepszego brata,- ale trzeba się trzymać na wodzy i opowiadać tak jak się działo - powoli.- Pani była wdową i nazywała się Mrs. U.A.Spahr. Chłopcy: Otto, Fritz, Charlie, Eddie - przyjeżdżali z Nowego Yorku dla poratowania płuc Fritza a potem z racyi nauki wszystkich, którą dla ćwiczenia w językach matka chciała im dać w Europie. Umiałam już o tyle po niemiecku aby się przegryźć przez codzienne tematy a niemieczyzna chłopców nie gnębiła mnie. Mówili także bardzo nieśmiało i dużo pojęć zastępowali trzeba było migami. Cóż to za cudowna była kompania!

Otto, Charlie i Eddie, to byli całkiem zwykłe, miłe chłopcy, mimo żywości i swobody obejścia, bardzo taktowne. Wszyscy trzej stali się dla mnie rodzajem posłusznych niewolników, którymi komenderowałam dowolb i dzięki ich ruchliwemu usłużkowi potulniej leżałam na mojem rozkładanem krześle. Fritz natomiast, to było całkiem co innego. Chłopiec ten czternastoletni - ja miałam lat siedem - miał natury artystyczną i nieco dziwaczną, która najlepiej odpowiadała mojej. Był jednak o wiele mądrzejszy i dojrzalszy, nie tylko odemnie, ale od swoich starszych braci. Rozumiał inaczej od nich troskę Mamy o moje zdrowie i był mnie nieocenioną pomocą. Kiedym się buntowała chcąc iść na spacer z tamtymi, krzyczała jak opętana, po czem zawsze gorączka wreszcie wyższa,- Fritz zostawał, brał swoje skrzypce i grał mi tak długo, póki nie wylykałam ostatnich łez i nie uspokoiłam się zupełnie. Nigdy mi nic nie perswadował, tylko bez słowa wyjmował skrzypce z pudełka.

Jemu też, /doprawdy niewiem jak potrafiłam się wyjęzyczyć?:/ zwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem że doszli do przekonania że póki niemam gorączki, nie można mi tego bronić, ale lepiej aby się to działo rzadziej. Wymyślali więc oboje różne roztargnienia, niespodzianki, odwodzące myśl od pokuśnego narzędzia i dziś dopiero ocenić mogę w zupełności jaka to była sztuka.- Chłopcy Spahr mieli

ze sobą różne zamorskości. Najlepiej mi się podobał kompas z nerwową, mądrą igiełką wprawioną w "morski bób", okrągły ciemnopąsowy przedmiot rosnący pono na dnie morza, kompas, który Otto nosił przy zegarku. Otto miał lat siedemnaście.

Wreszcie zaczęłam być nieco zdrowsza i następstwem tego były niezapomniane grzybobrania w domowym lesie. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałam takich obfitości prawdziwych grzybów i tysiąca innych odmian, jak w Gleichenbergu, rosły pod bukami prawdziwki całemi weselami, jakby kto zabawek rozsypał na mech. Ładowałam w fartuszek, kapelusz, do Mamy parasolki, wreszcie nie mogąc zabrać więcej siadałam i płakałam w niebogłosy. Suszyłyśmy je na słońcu gdyż, -brzmi to niewiarogodnie a jednak jest prawdą - nikt z tamtejszych ludzi nie znał użytku grzybów, bano się trucizny i Frau Hofer odmówiła gdy ją Mama prosiła o zgotowanie nam ich na obiad.

Razem ze zdrowiem wracała dawna impetyczność. Potulny, rycerski raczej, sposób chłopców Spahr wzmógł moją pewność siebie i dość często zdarzało się że po jakiejś awanturze stosować Mama musiała pedagogiczny kompres w którym kładła mnie do łóżka i oznajmiała mi żem znowu chora. Pamiętam taką kuracyę gdy Mama i pani Spahr wyzwoliły z moich garści Eddiego, którego tłukłam bez opamiętania. Miał bowiem zwyczaj, nie licząc się zupełnie z tem że go nie rozumiem, wpadać z jakiemiś zajmującemi nowinami, cały pod wrażeniem swoich przygód doznanych w ogrodzie czy lesie i opowiadać mi je po angielsku bardzo szybko i głośno. Dawałam mu znaki że nie rozumiem, on jednak gadał dalej jak budzik, który się musi wyterczeć. Raz, gdy wpadł znowu z taką angielską opowieścią, rozzłoszczona rzuciłam się na chłopca i z całej siły poczęłam go targać i bić. Oburzenie moje osłabło na widok jego zupełnej bierności i przerażonych oczu, których spojrzenie chwyciłam. Trzymałam go jeszcze za kołnierz, już mając puścić, gdy obie matki przyszły mu na odsiecz. Po chwili zawinięta w kompres leżałam

na kanapie, a zacne chłopcy do rzekły się aby módz przyjść do mnie z współczuciem i przebaczeniem.

Impetyczność moja pozbawiła też życia uroczą, młodziutką wiewiórkę, którą mi nam k[illegible]iła do zabawy. Wracając raz ze spaceru odbytego z p. Spahr i jej chłopcami, tak gwałtownie rzuciłam się na powitanie ki[illegible]amie, że stając jej na kolanach, nie[illegible] zdążyła ostrzedz, zadusiłam kochane zwierzątko śpiące w mamine[illegible] kieszeni. Rzecz nie dała się ukryć i gdy wyszło na jaw że jestem zabójczynią, wpadłam w rozpacz, dostałam gorączki i kilka dni było biedy ze mną. Ulubione migdałowe ciasteczka i Bach, "stosowany" przez Tritta, uśmierzyły pierwszą gwałtowność cierpienia. Długo jednak widok wiewiórek żywych i swobodnych, których pełno było w dzikim lesie, odnawiał rozdzierające wspomnienie.

Rozstałam [illegible] z Ulleichenbergu, [illegible] na pici[illegible] wód mineralnych, oddychaniu [illegible] jak [illegible] powietrzem i piciu kozieg[illegible] mleka, które do ostatka [illegible] [illegible] [illegible]

"Am Fenster".

Może znajdę gdzie jeszcze listy Mamy do Tatka z tego okresu, co pomoże mej pamięci i wypełni luki w opowiadaniu, na razie notuję tylko jak pamiętam. Ponieważ okres kuracji w Gleicherbergu się skończył, a mój apetyt normalny nie wracał, wracały natomiast porzeczki,- Mama korespondująca ciągle na mój temat z najdroższym wujem Edwardem, powiozła mnie wiele jego poleceniu w wyższe góry. Z rodziną Amerykanów pożegnaliśmy się w Monachium. Pobyliśmy do Innsbruck. To drogie mijające różne piękne położone miejsca, pociąg nasz wjechał w obolicze tak cudne, że stojącej przy oknie zupełnie mi się w głowie zakręciło. Te rozlegtom, zielonem jeziorom, niby zwał stopniowych obłoków, białem,- i drugi taki sam z ół dyamentowy odbity w czystej, cichej wodzie. Zaczęłam przyrzec że tu wysiądę, że stąd nie wyjadę. Pociąg stanął na stacji Zell am See i rim Mama mogła temu przeszkodzić, wyskoczyłam z przedziału, ani się troszcząc co się ze mną dzieje. Moment trwały pertraktacje z Mamą, która nawoływała do powrotu, ale że pociąg krótko tu stał, nie było innej rady, tylko wyrzucić bezładnie jak w pośpiechu wszystkie manatki na plant i wysiąść coprędzej. Cudowną dobę przebyłyśmy w tem czarodziejskiem Zell. Jeszcze rdzieś po tem ważesa się szczątek białego, wystruganego w drzewie czółenka, które mi tam Mama kupiła, miniatura dużego, którem wzdłuż brzegów jeziora odbyłyśmy poetyczne zachwycające przejażdżki. Nie wiem czemu nie posiadłyśmy tam na resztę lecznicze pobytu. Może Ischl ujęć jeszcze pożądnie. Aussee ani w części nie olaszko się tak pięknie, choć takie górzyska wysokie piętrzyły się nad miasteczkiem. I wszakże, jak na złość przy wielkiej urodzie, zaczęłam jeść. Zdrowie moje poprawiło się szybko i dziwki temu mogłam chodzić z Mamą na dalsze przechadzki. Zapachy kwiatów górskich i siana, igieł świerkowych i woły zielonego górskiego strumienia, który leciał jak waryat po kolorowych, prześlicznych kamykach marmurowych, ścieżki wybrane

suchem igliwiem wiodące przez las ku tuż położonemu Alt-Aussee, gdzie było spore jezioro z wysepką porosłą gogodzami i Gasthaus z huśtawką, w której zdawało się że lecę prosto na srebrzejący w dali lodowiec Dachstein, sprawiły żem się w tej ładności wszelakiej zagospodarowała wcale szybko. Na jednej z takich wycieczek do Alt-Aussee złapał nas ulewny deszcz, taki gwałtowny a krótki, jakie się w górach zdarzają, podczas którego cienkie trzewiczki moje przemokły do pończoch. Mama bardzo strwożona, natychmiast po dotarciu pod znajomy dach Gasthausu, w kącie sali posadziła mnie na ławeczce pod oknem wyswobodziła mnie z mokrego jak kompot obuwia, zawinęła nogi pledem i takeśmy trwały czas jakiś. Dziewczyna tymczasem poniosła wszystko do kuchni aby przeschło. Tymczasem jakieś dwie, zupełnie suche osoby, starszy pani i siwa pani, siedzące pod przeciwległem oknem sali, obserwowały nas widocznie, bo po chwili starsza pani wstała i wyszła, aby zaraz powrócić i zbliżywszy się do nas podała mamie parę swieżych pończoch z najuprzejmiejszą propozycyą, abym je włożyła tymczasem, nim tamte będą do użytku. Pogłaskała mnie jakoś całkiem po "ciociowemu" i - że to mama miała wiadome towarzyskie talenty - wynikła rozmowa, zapoznanie, zasiad przy wspólnym stoliku, a potem w drugim pokiju, gdzie stał fortepian muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akompaniował z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad maminym głosem i śpiewem. Ci państwo, to był ks. Sayn-Wittgenstein z siostrą. Ja w pończochach jej, a w trzewikach pożyczonych od Mädli usługującej, asystowałam koncertowi. Potem, kilka razy jeszcze nim wyjechali, robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Aussee widziałam też zblizka starego cesarza Wilhelma I-go. Jechał przez miasteczko skądś dokądś- powozem, w asystencyi innych pojazdów. Było to wieczorem. Mimo iż nie ściemniło się jeszcze, pozapalano już na szabas liczne świece w oknach małego rynku. Deszcz padał, wszyscy stali pod parasolami, ale choć był ścisk, nikt się nie tłoczył i mnie jakiś uczynny szwab

chwycił w decydującym momencie na ręce, zanim miałam czas się na to żachnąć i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w powozie twarz w siwych bokobrodach, twarz starego, dobrodusznego psa. Marna to była przyjemność. W Aussee przyżyłyśmy inne, duże silniejsze wrażenie, a mianowicie burzę górską, z błyskawicami świecącemi raz po raz, grzmotami i piorunami, roztrzaskującemi się na turniach i lodowcach w setne echa, z wichrem opętanym, taką jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Zdawało się że niema już ratunku dla świata i nigdy nie będzie ranka. Płakałam, mówiłam pacierz, rozpaczałam za Tatkiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna, biedna Mama!

Nie umiem nawlekać po kolei wydarzeń na nitkę, tylko wszystkie czasy n naraz zgarniam w podołek i przesypuję. Boję się pogubić sortując, i ztąd ten zygzak opowiadania.

Jeszcze w towarzystwie kochanych amerykańskich chłopców, byłyśmy z ich matką i moją Mamą w Hellbrunn w Bawaryi. Jakiś pobiskupi pałacyk barokowy z ogrodem pełnym wodnych figlów i marmurami wykładanych ścieżek, schodów i teras, z galeryami o balaskach z marmuru, podobnych do szeregu łydek krągłych, obciągniętych białemi pończochami; jakieś miejsce ani ładne, ani wesołe, a chcące być i jednem i drugiem bardzo natarczywie. Gdyby po niem krążyli ludzie w perukach i atłasach kolorowych, miałoby jaki taki sens. Koncepta ze stołem kamiennym obstawionym takiemiż stołkami, na których prosi usiąść cicerone - dozorca, a które w tej samej chwili, gdy to nieświadomi uczynią, wytryskują z siedzeń strumieniami fontann, krzyżujących się nad stołem, straszliwa głowa z kolorowego fajansu, połykająca w miarowych odstępach wpadającą jej w paszczę kulę przez prąd wody podnoszoną w strumieniu, wszystko to, jest niesmaczne i nawet myszka, którą już trąci, z niesmaku tego nie rozgrzesza.

Typowy przykład tego, co wynika gdy Niemiec chce naśladować Francuza. Niema bowiem wątpliwości że ogród hellbruński zasłyszał coś niecoś o Ver-

salu. Jedynem naprawdę ładnem wśród tej figlarnej wilgoci jest szczelina przez którą widać w ciemnej głębi groty przeźroczy migotliwy słup wody oświetlony blaskiem dnia skierowanym przez inną niewidzialną szczelinę, na którego ruchomem cieniu tańczy kołysząc się, wznosząc i zniżając razem z niem - śliczna w kształcie, złota korona, jakaś korona z bajki, wilgotna i niesamowita, korona albo już odłożona, albo właśnie do wzięcia, korona coraz rzadziej już dzisiaj na świecie potrzebna...

Jest też w tym ogrodzie grota, w której ubrana w czarny marmur śpi Eurydyka o ramionach i obliczu białomarmurowem, nad nią zaś odpowiedni Orfeusz przygrywa pięknie na skrzypcach... Eurydyka i dziś pewno śpi jeszcze, Orfeusz także grać nie przestał, korona już chyba jednak nie tańczy dzisiaj w Hellbrunie.

-x-

Zapewne wracając z Aussee zatrzymałyśmy się w Salzburgu a stąd wybrały na cały dzień z odwiedzinami do hr. Neverterów, tychsamych z "quodlibetu", którzy mieszkali niedaleko miasta w swej willi. Znałam z opowiadania Cioci i Babci wszystkich członków kochanej przez nie rodziny, zarówno umarłych, jak jeszcze żyjących; starego hr. Antoniego, który miał jedną brew dużo wyższą od drugiej i mawiał pono o swoich synach że "Die Buben müssen sekiert werden!", jakiś dziwnie podobny w mej wyobraźni do prezydenta Silbersteina z "Dziadka do Orzechów", podnoszącego palec w górę i mówiącego do rozbrykanego synka tylko dwa słowa: "Panie Fryc!". Znałam i starą hrabinę Annę z domu v. Hartmann, dobrotliwą, bielusieńką staruszkę, ongiś przecudnie śpiewającą - i wszystkie ich "dzieci", dorosłe dziś, siwiejące lub umarłe. Fryderyka, Fryderykę, pochrześniaków hr. Moszyńskiej, Matyldę, Teofila i zmarłą dziewczynkę Adelę o ślicznych złotych włosach. Złocony orzech z ich choinki wisi do dziś w "quodlibecie" obok kokardy z barykad Teofila i wachlarzyka praprababki Heleny, obok pukla jasnego Adeli...

Tożsamość "Fryca" i hrabianki Matyldy zwłaszcza zrobiła na mnie wielkie i czułe wrażenie, gniewało mnie tylko że nie rozumieją po polsku i że

nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać. Dziś bardzo mało pamiętam oczywa z tej wizyty. Koszyk ze świeżemi figami, o jakich często mowa w bajkach z "tysiąca i jednej Nocy", ogromny jasny dywan w salonie, na którym stały meble jasno żółte, obite malinowym aksamitem i fotografia Cioci Tereni nad biurkiem hrabianki Matyldy, którą mi tkliwie pokazywała. Mimo niedostępności językowej uderzyła mnie niesłychana serdeczność tych wszystkich osób w stosunku do Mamy i do mnie. Szczegóły rozmów poznałam dopiero za powrotem do domu, gdy je Mama opowiadała Babciom i Tatkowi. Między innymi uwagę hr."Fryza", /wówczas austryackiego ambasadora przy watykanie/ na temat urody Babci, którą jako jej rówieśnik pamiętał podlotkiem jeszcze. Złożył hołd piękności Mamy, rzucił wdzięczny duser w kierunku moim, ale rzewnie zauważył że żadna z nas nie może się równać z Babcią. "Sie war verblüffend schön"... On sam był, nawiasem mówiąc, najtypowszym okazem wielkiej rasy, jego rysy, ruchy, sposób mówienia niezmiernie mnie zachwyciły, w przeciwieństwie do jego żony, małej, krępej blondynki o twarzy pospolitej i chmurnej,- Rosyanki, Buturlin z domu. Ale jakże kochaną, odrazu kochaną stała mi się hrabianka Matylda!

Wielkie, zielone oczy w szczególnie smagłej twarzy, cygańskie brwi nad niemi i dziewczęcy uśmiech, mimo zmarszczek na przywiędłych skroniach, śnieżne zęby i czułość niewysłowioną z jaką mnie tuliła i pieściła zachowałam na zawsze w pamięci. Jej niemieczczyznę, ponieważ dużo mówiła o Babci i Cioci, rozumiałam, i wobec niej moje językowe braki mniej mnie krępowały. Pokazywała mi ogród, brzoskwinie na domu, psy domowe, akwarele ukochanej siedziby rodzinnej, Tolletu w Tyrolu, który znałam z opowiadań Cioci Tereni i którego mała akwarelka, także ręką hr. Matyldy robiona przed laty, czerwieni się staroświeckiemi dachami i zieleni majowo od misternie wykończonych drzew w ciocinym "quodlibecie". Na ścianie saloniku widniała też w owalu złotej ramki litografia przedstawiająca hr. Moszyń-

ską, tak mi dobrze znajoma. Tłusta, niełądna damulka w budce z 30tych lat i pęku piór strusich na niej, na którą zwykły były patrzeć moje oczy, gdy mi Babcia lub Ciocia o swej, związanej z nią młodości, opowiadały. Ona to zapoznała rodziny naszą i Reverterów ze sobą.

Hr. Antoni /ów z jedną brwią wyższą!/ znalazł się z rodziną jako kapitan któregoś z austryackich pułków we Lwowie. Hr. Moszyńska ofiarowała przybyłym przyjaciołom apartament w swoim domu, rada z miłej towarzyskiej, a na domiar muzykalnej akwizycyi. Od tej pory datuje się ten związek serdeczny, który mnie jeszcze dostał się w spadku. Podczas gdy Babcia przebywała stale u hr. Moszyńskiej, dostała Ciocia Terenia za jej staraniem posadę u hr. Antoniostwa. Choć jeszcze sama młodziutka, już wykształcona o tyle, że mogła uczyć młodszą dziatwę, Matyldę i Teofila, dokształcając się jeszcze równocześnie sama. Fryc i Fryderyka byli pochrześniakami hrabiny Fryderyki, która całą tę rodzinę tak pokochała z latami, że większą część ogromnego swego majątku im przekazała. Cały dom tworzył jakby jedno ognisko, pełne życia i myśli i od tej pory położenie Babci bardzo się poprawiło. Miała pod tym samym dachem ukochaną starszą siostrę i całą, serdeczną młodzież Reverterów, z którą uczyła się i bawiła. Latami płonęły im wspólne choinki, latami wyjeżdżano razem do dóbr podolskich hrabiny, uczyły się dziewczęta haftu przy głośnem na przemian czytaniu autorów klasycznych, razem płatano -jakże anielsko naiwne!- psoty, urządzano baliki dziecinne na których rolę kamerdynera odgrywał stale "Fryc", późniejszy ambasador w Petersburgu i Watykanie, nazywany bez pietyzmu przez siostry "kamerdureń". Uchowały się jeszcze malowane kunsztownie zaproszenia przesyłane z piętra na piętro, gdy się balik taki miał odbyć, ze wszystkiemi tytułami kaligrafowanemi starannie przez młode comtessy i baronessy, na małych, wąskich kopertach. Pokazywała mi je w r. 1890 hr. Matylda, gdyśmy ją w drodze do Monachium po latach odwiedziły z Mamą ponownie. Powtórzyła nam też znajome z opowiadań domowych pewne bohaterskie wystąpienie, które okryło chwałą

Ciocię Terenię.

Była z Teofilem i Adelą na spacerze, gdzieś koło Pełczyńskiego stawu. Na rozległej łące, parkanem oddzielonej od drogi, pasło się zazwyczaj bydło. Adela miała malutką, pąsową parasolkę, którą wywijała radośnie. Wtem, pasący się za parkanem spory byczek, wziąwszy ten gest do siebie, puścił się pędem ku parkanowi, przełamał barjerę i pędził ku dzieciom i ich towarzyszce. Wówczas Ciocia Terenia zasłoniła sobą dzieci i stawiła czoło zwierzęciu. Przez moment zdawało się że będzie po wszystkich, ale, o dziwo, bydlę straciwszy z oczu czerwoną plamę, zaryło się racicemi tuż przed półżywą bohaterką i posapawszy chwilę, cofnęło się. Dzieci były już dość mądre aby zrozumieć zajście i gdy za powrotem opowiedziały o niem rodzicom, Ciocia stała się przedmiotem najczulszych dziękczynień i starań, zwłaszcza że po przeżytym wysiłku zaniemogła z przerażenia.

Osobliwie brzmi dziś wzmianka o pasących się koło Pełczyńskiego stawu krowach i byczkach. Ależ to były czasy, gdy w miejscu dzisiejszego Hipotecznego Banku szumiał na Pełtwi malowniczy młyn, gdy opodal nieistniejącego już też, zabudowanego muzeami, Przemysłowem i Miejskiem, placu Castrum, bito piloty dębowe w grzęzawisko, na którem stanął gmach Skarbkowskiego teatru. Plac Castrum jeszcze ja pamiętam, rozległy i pusty, ze stadkami małych oberwańców, grających na nim z zapałem w "kiczkę". Podobnie jak spory, narożny placyk, na którym za mej już pamięci stanął gmach Sokoła Macierzy.

Gdy br. Antoni z awansem przeniesiony został do Wiednia, podążyła Ciocia z nimi. Przedtem wszakże w r. 1840 na zaproszenie chorej i zapewne skruszałej wskutek stanu zdrowia ciotki, Charlotty v. Jordan, pojechała do Pragi, aby ją odwiedzić i poznać. Wrażenia z tego pobytu, niektóre wielce ciekawe dla rodziny, znajdują się w dziesięciu listach Cioci, pisanych do sióstr we Lwowie, Babci nazywanej "Dulką" i Celestyny, której

imię skracano na "Tyna", lub "Tynka". Tam znajdują się wzmianki o podarowanych wówczas Cioci przez "Tante Jordan" portretach familijnych, olejnych i miniaturze Luizy kanoniczki. Ciotka Liza była już zamężna za Antonim Korczyńskim i widzenie z nimi po drodze także opisane jest w tych listach z podróży do,Pragi.- Tante Jordan była, jak z nich wynika, nudną, schorowaną i całkiem nieciekawą "Alte Dame", może skutkiem choroby zniedołężniałą fizycznie i duchowo. Miała być bardzo podobna z powierzchowności do brata Leopolda, co rozczulało Ciocię Terenię, ruda jak i on, z wydatną dolną wargą i pięknemi jego rękami. Bawiła przy niej stale krewna przez Ehrenburgów, stara panna, Tekla La Motte de Frintrop, której ciotka Charlotta cały swój majątek zapisała, czyniąc na rzecz bratanek tylko małe legaty. Z tych legatów wszakże przez Babcię i Ciocię nieroztrwonionych, kupioną została po 40 latach od praskiej wizyty Storoźka. Gdy Ciocia bawiła w Pradze, stary radca Jordan już nie żył.

Ale wracam do Reverterów. Ośmnaście lat przebyła Ciocia w ich kochanym domu i choć wrócić zapragnęła w pobliże sióstr do Polski, najczulsza przyjaźń wzajemna trwała lat kilkadziesiąt, po której została olbrzymia jak na dzisiejsze pojęcie korespondencya, najstaranniej chowane, nieprzeliczone arkusze, zapisane ręką starej hrabiny Anny, drobnem, przeźroczyście czytelnem pismem hr. Matyldy. Z Rzymu, Tolletu, Salzburga, z każdego miejsca pobytu, pełne najpoufniejszych relacyi rodzinnych, uwag ogólnej natury, opisów życia sfer dyplomatycznych przy Watykanie, listy wielce zajmujące i jako dokument osobisty i jako źródło dla badacza epoki - kiedyś. Dla nas przedewszystkiem jako rozczulające świadectwo jakości obu tych przyjaciółek, które się czule kochały do śmierci. Myślę że i dla potomków wspaniałego "Fryca" mogłyby się tam znaleźć niejedne ważne szczegóły. Gdy syn jego Mikołaj, zwany w domu Collie, żenił się w Paryżu z ks. Aldobrandini, przyszła do Cioci Tereni paczka spora z cukrami z uczty weselnej i dla mnie okrągłe pudełko prześliczne z kandyzami ze słynnej cukierni "Marquis".

Syn tegoż Mikołaja dał o sobie słyszeć z okazyi afery ks. Sykstusa de Bourbon w czasie wielkiek wojny a potem jako tragiczny aktor w dramacie rodzinnym który się już po wojnie rozegrał we Wiedniu. Zastrzelił swoją żonę i jej amanta. O jakże błogo że świątobliwa hr. Matylda nie dożyła już tej epoki! Za parokrotnych późniejszych moich pobytów w jej domu w przemiłem Fontachhof koło Parabh pod Salzburgiem, miała sposobność napatrzeć się jej cudnej poprostu pobożniści. Była to pobożność najzupełniej franciszkańska. Wesoła- radosne, mądra, dziecinnie prosta zarazem, jakieś przyswojenie do bożej ręki, jakby ptaka, polegające nie na strachu a nie na "bliskiej znajomości" pojęć i spraw, które mają imiona najwyższych istot, oglądanych jakby na własne oczy i pozyskanych "na codzień". Cienia bigoteryi, ckliwości. Przeciwnie, nie znosiła jej, nieraz czyniła ciężko i śmiałe uwagi na temat księżej, niefortunnej reżyseryi za kulisami wiary, nad której szkodliwością ubolewała wymownie. Wielbicielka i dobra znajoma papieża Leona XIIIgo, który specyalnemi łaskami i przywilejami ją obdarzał. - miała np. pozwolenie, jako dama orderu Śtej Anny, udzielania sobie samej Komunii Śtej, co czyniła od lat w domowej kaplicy codziennie. Nie jej to nie krępowało w zachwytach nad liryczną poezyą i dobrymi dowcipami za którymi przepadała i na które miała zmysł zupełnie studencki. Pamiętam jej białe, śliczne zęby i zielone oczy zmrużone pod cygańskiemi brwiami, gdy się zaśmiewała z żydowskich anegdotek, opowiadanych jej przez Mamę. Pamiętała bowiem z młodości specyalny typ galicyjskiego żyda z pejsami i w jarmułce, nie mogąc się nadziwować że jeszcze po dziś przetrwał.

Razem z nią zwiedzałyśmy też Salzburg, piękny, jak skomponowany z fantazyi obraz, kute w ścianie Mönchsbergu poetelnie, cmentarzyk z grobem wielkiego Haydna, którego cmentarzyk usypiał mnie co wieczora przez tyle lat szczęśliwych!, zanim o innych, donioślejszych jego dziełach się

dowiedziałam, - oglądałyśmy dom Mozarta i jego pomnik na placyku, a potem wstąpiły do małej cukierenki, gdzie uczęstowaną zostałam ciastkami rozmiarów i cnót już dziś zaginionych.

Później znacznie dowiedziałam się o tajemnicy serca tej najmilszej, czarującej świętej. Gdy młodszy brat jej Teofil umarł bezżenny, gdy wskutek jakichś przewrotów, nie wiem czy politycznych, czy innych, majątek Reverterów znacznie ucierpiał i cała ambicya rodziny, ojca zwłaszcza, skupiła się na najstarszym, pięknym i zdolnym Fryderyku, siostra zaś jego młodsza Fryderyka, wyszła za świetnego markiza de Quieuverchin, - o Matyldę starać się zaczął profesor uniwersytetu, /bodajże wiedeńskiego/, Ludwik von Arnim. Kochali się w sobie oddawna i byli naprawdę jak stworzeni dla siebie. Ładni, młodzi, mądrzy i oboje z ambicyami sięgającemi dużo wyżej umysłowo niż słowo, niż to w wojsku i arystokracyi wymagane. Tymczasem stary hrabia, z jedną brwią dużo wyższą i sroższą od drugiej, uznał widocznie że i "Mädchen müssen sekiert werden" i sprzeciwił się pomysłowi. Hrabianka Revertera di Salandra, siostra markizy de Quieuverchin, siostra przyszłego ambasadora, którego maryaż w wysokiej mierze zawisł od skompletowania doborowych nazwisk w najbliższej rodzinie, nie może sobie pozwolić na profesora, który jest tylko "von" i o którym Almanach Gotajski niema nic do powiedzenia... Tak czy owak, dość że stanowczy sprzeciw ojca był wyrokiem przeciw któremu nie było rekursu. Wszystko odbyło się cichusieńko, wzorowo jak obyczaj każe, tylko hr. Matylda wypłakawszy się Panu Bogu w rękaw, zrezygnowała wprawdzie ze swego najmilszego profesora, ale również cichusieńko i wzorowo, wykonała jakieś wiążące choć świeckie śluby, mocą których nigdy nie miała wyjść zamąż, umykając ojcu tym bodaj sposobem, swojej ręki, którą tak jak wstrzymał, tak i rozporządzić był gotów samowolnie. Niebardzo rozumiem dlaczego tak właśnie postąpiła, a nie inaczej, dlaczego nie zdołała się zdobyć, zamiast biernego, na postanowienie czynne, ale tłómaczy się to pewno wielkiem przywiązaniem do swoich, którym, kosztem

osobistego szczęścia nie chciała przynieść uszczerbku. Ci istotnie źle na tej ofierze nie wyszli. Hr. Matylda ślubów dotrzymała /Nawiasem mówiąc nie ożenił się też nigdy Ludwik v. Arnim/ i osobisty jej majątek stał się z czasem głównem, a wreszcie jedynem oparciem dla trzech bratanic, córek hr. Fryderyka, które również zamąż nie wyszły i które już jako niemłode panny poznałam w Parsch w r. 1902, gdyśmy bawiąc w pobliskiem Kelchenhall z Mamą, odwiedziły po raz ostatni hr. Matyldę. Najmłodsza z nich

Najmłodsza z nich, Paula, jest świetnie utalentowaną akwarelistką, uczennicą słynnego Carlandiego w Rzymie. Najstarszą, Mary, malował Laszlo. Smutnie i dostojnie piękna.- Średnia, Annie, najdowcipniejsza. Wszystkie trzy istne "Dziewice skał" d'Annunzia, starzejące się z godnością i wdziękiem pośród arcydzieł sztuki i cudownej górskiej natury. Na ścianie ich salonu wisi oryginał Rafaela: Madonna z dzieciątkiem,- nad kanapą, jasnożółtą z malinowem obiciem, profilek anioła Carla Bolce. W apartamentach ich osobistych, pełnych słońca i mebli w jasne, wielkie kwiaty, wiszą oryginalne sanguiny Andrea del Sarto i szkic Hansa, Holbeina, stoi skrzynka zawierająca wyprawne brylanty ich matki Gabrieli Hohenlinowej, brylanty, które po niej odziedziczyły, ale których jako niezamężne, nie noszą na siebie nigdy... Nie mają, wbrew obyczajowi starym panien, zwierzyńca pieszczonych, ani psów,- pieszczoną ich ulubienicą jest dziwnie piękna w kolorze i upierzeniu, jedyna w swoim rodzaju papuga, na której, obok się klatka schodowa Villi, kolumna z rudego alpejskiego marmuru, która w braku czego innego przyzwyczaiła się gdzieniegdzie winogronem. "Nie hat sich schon daran gewöhnt:"Sie hat e Gern" - kartkuje smutnie Paula.

-x-

Pomimo starannej i użytecznej kuracyi, zima po niej przebywałam jeszcze jako rekonwalescentka. Co soboty miałam u siebie zrana zebranie: zamiast ruchomych gier zaprowadzili Kodzice deklamacye,- w której odznaczał się

zapałem i pamięcią Genio Piasecki, dziś profesor uniwersytetu w Poznaniu/ oraz teatrzyk z papierowemi figurkami, na którym "grało się" Ballladynę /skróconą oczywiście!/, niektóre ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza, "Powrót Taty" i różności, które rozmiar i dobór figurek umożliwiał. Biruta i Pojata Jakóbowiczówny, córki p. Fryni z dom. Maszkowskiej, Jadwiga Saveczyńska i Tyńcia Piaseczna, choć dużo starsze ode mnie, pomagały w tych przedstawieniach. Jasiu, ich brat, był też zawsze wraz z siostrą aniołka Karol Maszkowski, później przyjaciel najbliższy Wojciechowskiego, zwany jeszcze wówczas Lolem, który miał zawsze świetne, a szczęśliwe w tej dziedzinie pomysły. Raz wykleił ze szkoły nibyteatrzyk, portyk na greckich kolumnach z metopami i tympanonem, jakby pudełko z jednej tylko obwartą frontową ścianą. Na ścianie, wprost wejścia widniała wówczas cudowna fotografia Madonny Sykstyńskiej... To czego strzyć miała ta świątynia, już nie pamiętamy oboje. Pytam dla jednak zachowana.-

Po produkcyach i przedstawieniu następowała loteryjka, przy której każdy zawsze coś wygrywał aby nie było niczyjej krzywdy, choć nigdy fantami były zwykle jakieś bardziej pożądane rzeczy. Takie, niezawodnie wygrywali goście, nigdy ja - dowcip. Tacko prowadził tę loteryjkę i zdumiewała mnie trafność, z jaką każdy wygrywał to właśnie co najbardziej było dla niego odpowiednie, choć niby traf o tem rozstrzygał... Nie odbywało się to zapomocą kart. Kart, jak długo dom Kozmiców pamiętam, nawet na żart nigdy w nim nie było. Jeżeli jaka służąca czy krawcowa kłaść chciała kabałę, czyniła to zawsze kartami własnemi. Rozdawano nam były wszystkim podłużne tabliczki z numerami, oraz po garstce szklanych kwadracików. Temi nakrywało się -o ile były na tabliczce- numery przez Tatka wygłaszane. Kto swoją tabliczkę najprędzej temi szklanemi kwadracikami pokrył, ten wygrywał pierwszy. Potem następni. Fanty, to był np. ładny kościany scyzoryk, pularesik z pąsowej skórki, ołówek, notes, szczególnie piękna prze-

rańcza, lub gruszka bera, tabliczka czekolady w srebrnym papierku, czasem nawet jakaś książka, czasem ładny garnuszek... Rodzice cały czas byli tym zebraniom obecni i tak znakomicie umieli się z nami bawić że nietylko obecność ich w niczem nikomu nie dolegała, ale przeciwnie, brak ich byłby dla programu klęską. Tatko nie szedł w ten dzień do swojej ulubionej kawiarni Schneidera, gdzie chadzał codziennie na [illegible] i ma pogwarek ze znajomymi, ale zawsze dowcipem swoim i łagodnym żartem dodawał uroku "sobocie".

Szalony mój temperament z przed choroby przygasł znacznie i zstwiejsza się stałam do prowadzenia. Kręcidło nie straciło jednak swej władzy. nademną i wyobraźnia moja szalała dalej po wiadomych sobie drogach. Każdy wypadek zdawał się puchnąć za pomocą tego cudacznego warsztatu na który go kładłam natychmiast i wykańczałam po swojemu. W związku z takiem "wykańczaniem" zaszedł raz ubolewania godny wypadek, do którego trzeba się tu przyznać.

Oto na jednej z sobót nie zjawiła się, przychodząca jak zwykle z rodzeństwem, mała Zosia Piaseczka, dziecko ociężałe i milczące, łagodne i nie biorące jakby udziału w zabawie, słowem dziecko, z którem można się było bawić akurat tak jak bez niego. Nie przyszła. Palec ją bolał i wolała zostać. Rozpoczęły się produkcye, Bronek Maryański przetrzepał już "Piotra Pszonkę Jasieńczyka", ja zrzuciłam z serca i pamięci rzecz przydłuższą o królewiczu Kaźmierzu w katedrze wawelskiej, Genia tocząc zwycięzko oczyma, płynnie i z patosem rzeczoznawcy, ile że znał naprawdę jeden z pośród nas, prawdziwe Tatry, głosił ich piękno wierszem Pola: "Jak potopu świata fale, skamieniałe w swoim biegu etc." . gdy wtem rozległ się głośny dźwięk dzwonka... Dźwięk, który mnie zawsze do najwyższego stopnia podniecał, otwierając pole wyobraźni, rozległe jak Sahara... Bronek poleciał otworzyć.- Kto to może być?! Z czem?! Zaraz zaczynałam notać... Może Pryc Spahr? Może jakaś pani, której nie znam, a

która zaprosi nas wszystkich do swej willi koło Florencyi? Najczęściej jakiś zator cudownych możliwości w formie mieniącej się tęczowej piguły, która ważyła się w powietrzu za drzwiami i - dzwoniła. Póki się niewie, wszystko jeszcze może być! Z twarzą naszpanowaną jak blejtram patrzyłam w drzwi za któremi zniknął Bronek. Do chłodnego przedpokoju nie było mi wolno. Wtem weszła Mama mówiąc: "Anibyście zgadli kto przyszedł!". W momencie Bronek wrócił, prowadząc za rękę małą Zosię, niosącą swój obandażowany palec jak białą, sztywną laleczkę... Tylko Zosia! Żal się jej zrobiło siedzieć samej w domu i poprosiła żeby ją przyprowadzić. Przyszła. Nic nie wiem z jakich obłoków spadałam na jej widok, dość, że uraza do losu, rozczarowanie gwałtowne, zawód przeraźliwy tak mi zakręciły w głowie, żem się rzuciła na grubę, spokojne dziecko, na tę "tylko Zosię", i zaczęłam ją tłuc z całej siły... Oczywiście przez mgnienie oka tylko, bo mnie Tatko od małej oderwał, nierozumiejąc niczego, i nic się nie dziwię, że reszta dzieci myślała żem zwariowała nagle.- Ale czyż było możliwem wytłómaczyć, czy im, czy starszym, właściwy powód uczynku? Tylko Zosia! Tego nawet wymówić nie było można głośno. A jednak tylko dlatego ją wytłukłam, że nie była kim innym, czem innem, Bóg wie czem wszystkiem, co mogło stać za drzwiami...

Musiałam za karę pocałować Zosię w rękę, co mnie nic zupełnie nie kosztowało, bo istotnie nie o Zosię w gruncie mi szło, tylko o to czego nie było,- potem dostałam szeroki, zimny kompres i musiałam się położyć na mojej żółtej sofce w drugim pokoju i słuchać przez drzwi jak się tamci "dobawiają".

Poza sobotami istniała też inna krynica uciech, stanowiąca jakoby antidotum na moje własne bajania, oto słuchanie opowieści, bez początku, o który zapomniałam, ani końca, który nigdy nie nastąpił - z których jedną "O Kukurydzowiczach", drugą "O przygodach Szczypiańskiego" komponował dla mnie Tatko, osobną zaś cudowną bajkę "O Alfie i Marynku" wymyślała

Mama. Kukurydzowicze to była kresowa szlachta, mieszkająca we dworze dostatnim, gdzieś na Podolu, rodzina ogromnie liczna, której członków wszystkich, gości i rezydentów znałam jak rzeczywistych ludzi. Parali się z hajdamakami, przeżywali wilcze napady na saniach, urządzali kuligi, żenili się, wyjeżdżali do szkół /momenta najbardziej rozdzierające!/. Raz wśród najwiekszej zadymki, zjawił się na progu zbiegły z Sybiru syn najstarszy... Do dziś pamiętam wstrząsający opis jednej z nich, na którą wzięty został któryś z małych Kukurydzowiczów, wyczarowany świetnem słowem nastrój mroźnej nocy podolskiej z niebieskim śniegiem i gwiazdami, wnętrze kominka roziskrzone gwiazdami, gdy wpadł posłaniec z dworu, wołając że hajdamacy napadli... Opowieść to zachwycająca, bywała czasem w sposób całkiem oryginalny ilustrowana przez Tatka. Oto gdy np. opowiadał jak to raz wszyscy siedzą przy stole wilijnym, pod gwiazdą z opłatków u niskiego sufitu, gdy wtem zdaleka odzywa się brzęk dzwoneczków u sanek... Równocześnie zaczynał Tatko dzwonić zlekka nożem o szklankę, nie przerywając opowieści.. Zamykałam oczy i złuda była zupełna. Sanie były coraz bliżej, dzwonki coraz głośniejsze, wreszcie w jakiejś chwili zmieniły melodyę i rytm, głośne i pomieszane, odzywały się tuż przed gankiem. Ktoś przyjechał... już dziś niewiem kto, ale ktoś najmniej spodziewany, najdziwniejszy, najpożądańszy... Ach, naprawdę, nietylko ja sama, ale i dom Kukurydzowiczów winien był także żem Zosię Piasecką wybiła!- Jeżeli o powieść o nim nazwałam "antidotum", to dlatego głównie żem podczas słuchania sama niczego motać nie miała czasu.

Przygody Szczypiańskiego, to był znowu całkiem inny świat. Świat wspomnień szkolnych Tatka, gdy bywał na stancyi w Samborze, gdy ślizganie się na gołoledzi, na podeszwie oczywiście, uważane było przez profesorów za krańcowa rozpustę,- gdy mimo sumiennie płaconego komornego, ca ano chłopcom wciąż kaszę hreczaną, w której nierzadko knot od lejonki znajdowali,- gdy raz na parę tygodni zajeżdżała fura z domu pełna wiktuały, której bie-

dne smarkacze nie miały gdzie i nie umiały konia rwować, życie studencików w szkołach, ich dole i niedole, korowody z kolegami, typy profesorów, zimno w stancyi takie że woda w miednicach marzła, i ów postój w drodze do oddalonej szkoły, gdy fioletowy i zziębnięty mrozem uczniok wpadał na moment do znajomej sklepiku aby nad blachą kuchenki rozgrzać, lub chyba właśnie odmrozić ręce, w które czasem sklepikarka, pani Mikułowa, wkładała gorący kartofel... Szczypiorski, to było nazwisko jednego z istotnych kolegów Tatka, najczęściej wymienianego w klasie, którego cyrki te nocne przeżywane na raty, w miarę przybywających "rozdziałów" opowieści, tak mi się powieszały z własnemi wspomnieniami, że zawsze muszę się chwilę zastanowić, nim sobie ustalę że mnie na plebańskiej szarej berze nie było gdy się te jatki zamała a Szczypiński i reszty uwichrzył, i że nie wiem jaki naprawdę miały smak owe ślinki z kurczęciem na rożenkach, w jeżone w spiżarni skąpej pani gospodyni, krążącej hreczaną kaszę łojówkami...

Dzisiejsze "Alfa i Marynka", to było pogranicze między jawą a snem. Zaczęła się ta opowieść, gdym była jeszcze chora i jak palcem papierosa zgłodniała krycidła.- Przecież to, że mi powlekają łóżko świeżą bielizną, dają lekarstwo, czasem Tatko pokaże jakie ilustrowane pismo, Józia naleje wiszącej lampy, a Tatko wróci z miasta, pachnące mrozem z czemś szeleszczącem w zanadrzu, co nie być dla mnie, to jeszcze nie jest żadnem "dziś" ... Wtedy zaczęła się ta bajka. Naturalnie dużo było w niej wpływu naszego najmilszego Andersena, ale były i oryginalne motywy. Np. nie odwiedziny krainy Elfów, ale przeciwnie, Alfy w gościnie u zwykłych dzieci i wynikłe ztąd konflikty. Ciocia małego wisusa Marynki i troszkę mazgaja Alfa, która nie oryentującesię w elfika, ich przyjacielu, bawiącym się incognito z chłopcami i ich siostrą Różyczką, /Jakieś przeczucie Jasia na Zaśnieciu!/, posądza go o to że uciekł z cyrku i psuje porządne dzieci uczeniem ich niebywałych sztuk, koziołków i tańców,- psoty tegoż elfika tyczą zresztą ciotce, a potem pełne wdzięku i humoru zadośćuczynienia,- gdzieś zresztą podobień-

stwo przypomnieć sobie szczegółowo tę Fata Morganę na horyzoncie moich dziecinnych oczu, dość że była piękna i nieporównana z żadną ówczesną k książką, pośród których chyba jeden Andersen był hors concours!.

Dawniejsi ludzie umieli całkiem inaczej opowiadać niż dzisiejsi. To dla mnie pewne. Mniej myśleli cudzemi myślami, dużo mniej czytali, a bystrzej obserwowali sami. Ktoby potrafił wyczarować dziś dziecku takiemi kilkoma przelotnemi słowami wizję zimy i karnawału, jak mnie to uczyniła żona Krobczyńska, dyniska przyjaciółka Mamy, gdy świeża od mrozu przyszła raz wieczorem do nas i odpowiadając na moje zapytanie: jak tam wygląda na ulicy? - sypnęła jak garścią paillettek: "A cóż?! Sanki jeżdżą, dzwoneczki dzwonią, panny w futrach jadą na bal, w nogi im zimno, bo mają atłasowe trzewiczki, a w berlaczach pogubione guziki... Jednej wypadł wachlarz na śnieg, żydówka z maronami go dostrzegła, podniosła, woła... ale sanki już pojechały... Stara żydówka została ze srebrnym wachlarzem... Dwóch panów w cylindrach spieszy się. Postawili futrzane kołnierze. Dziad pod murem ich zaczepia. Weszli do sklepu z pomarańczami... Znowu sanki i dzwoneczki. Przez szyby słychać muzykę... Zaczyna padać śnieg. Świat widać jak przez tarlatan..."

Panny Bronia i Anielka Skolimowskie darowały mi całe pudełko kotylionowych orderów, które im kuzynkowie znosili z balów, zaginione już dziś ze szczętem szkaradzieństwa, które mnie jednak bardzo zachwycały wówczas. Były to płaskie rozety z plisowanego, sztywnego tiulu, okrągłe i kwadratowe, rogate jak gwiazdy, marszczone jak róże, zarzucone złoconemi muszkami z papieru, w których środku widniał nieodmiennie jakiś "objekt" z kolorowego, wytłaczanego en bas relief papieru, bukiecik kwiatów, słońce z szeroko roześmianą gębą, jakaś scenka amoretkowa, owoce, serce przebite strzałą, ale z temi, jak słyszałam, trzeba było uważać i nie można było przypiąć takiego orderu lekkomyślnie. Orderom towarzyszyły bukieciki, owe kalafiorki z farbowanych nieśmiertelników w okrągłym białym marszecie z

kartonu obszytego brzegiem papierową koronką.- Godne akcesorya do ohydnej mody ówczesnej! Doprawdy, historya kostyumów, jak długa i szeroka nie zdobyła się na nic skończeniej szkaradnego jak suknie makartowskiej epoki! Mało jaka ewolucya odbęazie się równie szybkę jak się odbyła w dziedzinie sukni kobiecej i pomnierienia smaku wogóle. Obok damulek Maneta, taki dzisiejszy Poiret i Doucet! Takie wreszcie stroje o liniach płonienia i orchidei, jakie przyniosła ostatnia Ilustracya francuzka, zdjęte podczas partyi Polo w paryskiej Bagatelli! Porównać je z sukniami młodości Sary Bernhardt, Pauliny Lucci i mego dzieciństwa! Nie, naprawdę, nie wszystko z czasem jest gorsze!

-x-

Jak już raz ze wstydem wyznałam, uczyłam się w dzieciństwie bardzo niechętnie. Gniewały mnie oznaczone godziny i pewna solemność, z jaką Ciocia Terenia zwłaszcza odnosiła się do procederu nauki, czyli, jak mnie się to przedstawiało: przekładania z miejsca na miejsce zapasu wiadomości. Uważałam że całkiem wystarczy jeżeli Ciocia będzie to i tamto wiedziała. Każdej przecie chwili mogłam ją, gdyby zaszła tego potrzeba, zapytać o wszystko. Wiadomem mi było bowiem że ciocia jest zupełną spiżarnią mądrości... Nie było zatem innej rady, tylko wprowadzać mi w mózg rzeczy niezbędne jakgdyby mimochodem, w formie opowieści czy wspomnień osobistych. Najsłodsza ta istota, ciocia Terenia, czyniła to z czasem wysoce chytrze i skutecznie.

Geografii uczyłam się zatem z relacyi o podróżach hrabiny Woszyńskiej i Reverterów, przemycało się przytem podejrzanie dokładne szczegóły o krajach, miastach, mieszkańcach, różne cyfry i daty, z których nieraz coś na rzadkiem sitku mojej uwagi zatrzymane, przetrwało do dziś... Ilustracye do komentarzy bywał oszklony "quodlibet" cioci, mapy i globus... Czechy, Pragę i Hradczyn poznałam dzięki osobistym wspomnieniom cioci z tych okolic, z za czasów gdy tam bawiła u ciotki Charlotty Jordan. Dzieje Katarzyny Lorenich,

której kult w naszym domu był dawny i głęboki, stanowiły podstawę do poznania Pisma Świętego. Dwie były formy w jakich odbywała się ta cudaczna nauka. Zwykle, gdym sobie rysowała w kajeie, zjawiała się czatująca na tę chwilę ciocia i z jakąś robótką w ręku sadowiła się opodal. I zaczynał się "dyskurs". Dziś dopiero zrozumieć mogę jaki to był wysiłek z jej strony, to chwytanie na "oczko" ciągle rwącej się uwagi, ta baczność abym nie zmiarkowała zamiaru... Druga forma, to były gawędy po cichu, na długiej, wązkiej kanapce...

Dziwaczny ten kompromis z samowolą smarkacza, nie był wynikiem braku pedagogii u moich Rodziców. Powód był ten, że latami po przebytej chorobie płuc, po każdej, najlżejszej irytacyi, dostawałam gorączki i kłucia w powiększonej śledzionie,- i bezradni rodzice woleli tę fuszerkę nauki, którą znosiłam, niż łamanie buntu, lub wreszcie danie całkiem za wygraną. Dziś jeszcze żal mi moich nauczycielek. Były to osoby, albo już wtedy święte, albo dziś oddawna, dzięki wyszafowanej względem mnie cierpliwości, zbawione. Bardzo, bardzo niełatwo miałam polubić naukę!

Ciocia tedy w powyżej opisany sposób uczyła mnie religii, historyi, geografii i języków. Do rachunków miałam nauczycielkę specyalną, pannę Julię Abgarowiczównę. Odbywało się to już nieco później, byłam zdrowsza i musiałam cierpieć stałe godziny. Rachunki, to była zawsze moja najsłabsza strona i pozostała nią bez ratunku. Taki sam fizyczny odruch jaki się miewa czasami do kota, węża, myszy,- ja miałam do matematyki. I, pożal się Boże, co to była za matematyka! Tabliczka mnożenia i krótkie, nadaremne mocowanie się z ułamkami. Niemogłam. I tępota wrodzona na tym punkcie i wstręt jakiś, uczyniły mnie w tej dziedzinie kaleką. Biedna panna Julia! Najczęściej łowiłam, po godzinie anielskich wysiłków z jej strony i zawziętej bezmyślności z mojej, słyszałam zuchwałe pytanie:

- Co pani właściwie na tem wszystkiem zależy? Ja mnie nie a nic! Czy nie lepiej żebym pani coś narysowała? -

Chemii - w sztubackim oczywiście zakresie - , fizyki z książki i takiej samej botaniki, uczyła mnie panna Helena Uścieńska. Łagodne, bladożółte stworzenie, które jakoś lepiej znosiłam od biednej panny Julii. Botanikę demonstrowała mi z wiosną na żywych kwiatach i trawach, i to było zabawne. Natomiast dla obisywanych w książeczce stosów Volty, kociołków Pappina, tłoków i prądu Galvaniego, pozostałam najzupełniej oziębła i dopiero w schodnickim warsztacie dorosła, w obliczu rzeczywistych mądrych, rzeczowych maszyn, zrozumiałam że i one mogą być czemś w rodzaju cudu...

Muzyki uczyłam się zrazu u Mamy, ale gdy jej autorytet okazał się za słaby, dostałam nauczycielkę obcą: p. Brulard. Pamiętam że ślicznie grała, dziwnie aksamitnie, ale była niezaradna, brzydka, stara i kwaśna. Nic się jej nie dziwię. Dość że i te lekcye były raczej parodyą nauki, niż czemś seryo. Za muzyką sama przepadałam, umiałam jej słuchać z pożytkiem bardzo wcześnie i nieobecność jej w mojem dzisiejszem życiu, to jedno z najbardziej bolących wyrzeczeń, ubóstwo, jedno z najmniej spodziewanych. Nie byłabym uwierzyła, że można bez muzyki żyć, bez tej wielkiej, prawdziwej... Bardzo szybko uczyłam się na pamięć wszystkich utworków, lekceważąc nuty i jeżąc się nawet na tę szczyptę mizernego rachowania, konieczną, aby zrozumieć podział taktu. Było we mnie jakieś nieuleczalne cygaństwo i całkiem nie pojmuję dlaczego, mimo jawnej beznadziejności wysiłków, uczono mnie jednak.

Po p. Brulard, wybrano mi nauczycielkę młodszą, przyjemniejszą. Była nią panna Paulina Lachner, uczennica ukończona szkoły L. Marka, która obok K. Mikulego, szopenisty, romantyka, reprezentował we Lwowie kierunek Lisztowski, kładąc raczej nacisk na temperament i siłę. Panna Paulina po kwaśnej i słusznie mną zwykle zgorszonej pani Brulard, wydała mi się miłą i ciekawą. Oczywiście nie kierunek, ani metoda jej gry

zaważyły w tem wrażeniu. działało tu całkiem co innego. Oto panna Lachner miała nieoceniony obyczaj poświęcania znacznej części godziny na wytrząsanie przedemną różnych sensacyjnych wieści z miasta. Była mi jakby arkuszem brukowej gazetki, którego czekałam chciwie. Fortepian był w tem wszystkiem jedynie nieznośną przeszkodą. Każdy "straszny wypadek", oparzenie służącej, upadek z piętra, przejechanie i inne nowiny, jaskrawe i popularne jak oleodruk, umiała opowiedzieć niemal szybciej niż się zdarzyły. Prosta rzecz, że pozatem wiedziałam niemal wszystko odrazu o uczennicach panny Pauliny, które były liczne i niezbędne [illegible] odemnie. Ulubienicą była Helenka Feiglówna, wzór pono talentu i cnót. Ojciec zaś tejże Helenki, lekarz sądowy, miewał co moment obowiązek oględzin i orzeczeń po rozmaitych samobójstwach, czy morderstwach. Poprostu zawodowo parał się więcej z trupami niż z żywymi.

Panna Lachner bywając w owym domu bardzo często, miała zawsze z pierwszej ręki relacye o wypadkach i szczegółach podobnych. Co zaś działało najbardziej na moją wyobraźnię, to okoliczność, że Dr Feigl był jedynym we Lwowie specjalistą od balsamowania nieboszczyków. O tych to ponurych czynnościach Dra Feigla opowiadała mi panna Paulina z nieubłaganym, holenderskim realizmem. Zupełnie tak samo chciwa byłam tych szczegółów, jak się ich bałam straszliwie. Jedynie też ze strachu przed własnemi słowami, nie powtarzałam niczego z tych okropieństw rodzicom, ani dzieci. Półświadomie zapewne lękałam się też aby mi mojej ciekawej "gazetki" nie zawieszono nagle.

Jeden zwłaszcza taki opis balsamowania zmarłego we Lwowie jenerała Jošiki, zatruwał latami spokój moich codziennych zasypiań. Tak się złożyło, że doktor Feigl musiał wykonać swój zabieg nocą, sam na sam w ogromnym salonie ze zmarłym, przy blasku licznych lamp i świec i już dniało, gdy zastrzykiwał mu w policzki jakiś czerwony preparat, aby się wydawał rumiany i nie tak martwy... Ach, i mnóstwo jeszcze innych dodatków w o-

pisie tej nocy... Okropne to było! Gdy austryacki ów dostojnik zachorował, pierwszy raz wówczas widziałam przed domem w którym leżał, wysoką warstwę słomy rozłożoną na ulicy, aby go turkot pod oknami nie drażnił. Pamiętam też wspaniały pogrzeb potem z oddziałem wojska i pułkową muzyką, rydwan pełen wińców i jadącego konno za karawanem rycerza, zakutego w czarną zbroję, z tarczą herbową nieboszczyka na ramieniu. Jen Jośika był bowiem ostatnim ze swego rodu, i tarcza ta miała być strzaskana nad jego grobem. Ten czarny rycerz o zapuszczonej przyłbicy, na karym, zirytowanym koniu, sam mający w sobie coś z żywego trupa i strasznej ballady, ponura wojskowa muzyka i te szczegóły o barwionych o zaranku policzkach umarłego, wszystko to pozostało mi na lata, jak jakaś przerażająca, płochliwie omijana myślą ciemna wyspa, w pamięci,- jak taki czasem jeden kąt w domu, straszniejszy czegoś od innych...

Bo ostatecznie, niech sobie starsi mówią co chcą,- pomimo że dziecko strachu unika i gwałtownie nieraz wskutek tego cierpi - przecie, cudownie jest bać się! Strach tak samo ciągnie, jak odpycha, ten ciemny, rodzący się w nas z niewiadomego... Ten, który jest stanowczo najsilniejszem co dziecko - a może i człowiek wogóle?- nerwami odczuć może... Całkiem słusznie czynią rodzice zakazując niankom straszenia,- w każdej jednak biografii dziecinnej znajdzie się taki jakiś, balsamowany nocą, Bogu ducha winny jenerał Jośika i taka panna Paulina, która o pośmiertnych dziejach nieboszczyka, co wie - i nie wie, opowie...

Z tych relacyi panny Lachner, obok ponurych medycznych guseł Dra Feigla, przyzostał mi jeszcze we wspomnieniu - mózg małej dziewczynki stróża, rozpryśnięty na deskach jaki ze śmieciem w jakiemś sąsiedniem podwórzu... Coś na nią spadło, skrzynia czy brama - nie wiem, w same Zielone Święta. Panna Lachner była w domu i gdy w mgnieniu oka całą ulicę Zimorowicza zalała wieść o nieszczęściu, ona naturalnie poszła coprędzej na poblizkie podwórko, obejrzała zabitą, i przy pierwszej lekcyi

opowiedziała mi o wszystkiem. Przedziwnie trwałe są takie pierwsze zdjęcia na świeżej kliszy dziecinnego umysłu! Nie widziałam sama tej dziewczynki, znam jej żałosny koniec tylko z opowieści, a jednak ów czerwonawy mózg dziecka rozpryśnięty na szarych deskach śmieciarki, nie "pamiętam", ale wprost widzę... Długo, długo kojarzyło mi się to widzenie ze słodkim świegotem szparu i zapachem, zwiędłej w słońcu zieleniny brzozowych liści na naszym domowym ganku...

Fascynujące nowiny panny Lachner miały podczas moich lekcyi znaczenie podobne do smaku malagi w rumbarbarum... Przynajmniej było mi lżej przełknąć złe konieczne. Postępy moje były w dalszym ciągu znikome i to pewne że nie one, ale raczej moja widoczna chciwość na nowiny i towarzyskość, jednały mi serce panny Pauliny. Była to niewiasta bardzo "słuszna" o ówczesnej pięknej figurze, w stanie wciętej jak osa, z bardzo pudrowaną, obszerną twarzą, zdumiewająco czarnemi brwiami, która podczas lekcyi - o ile nie opowiadała nowin i nie czyniła uwag fortepianowych - gryzła nieustannie cytrynowe pestki. Miała ich zawsze pełne w kieszeni. Do dziś nie wiem dlaczego to robiła.

Mieszkała z matką i dwiema starymi pannami, ciotkami, naprzeciw nas w jednopiętrowej kamieniczce, na której tynk pomidorowy patrzyłam przez lat dwadzieścia kilka. Dom ten miał zielony, wązki balkon, właśnie przed salonikiem panny Lachner i kryty gontami dach o strychowych okienkach z wygiętą powieką niby oczy wieloryba. Nad tym dachem obserwowało się zawsze w zimie chmary kawek, z których zachowania stawiał Tatko horoskopy atmosferyczne. Nad jego ośnieżonemi gontami stale, przez szereg najmilszych lat, wypatrywało się owej gwiazdy trzykrólskiej, której mroźne jaśnienie było corocznem hasłem do podania wilii...

Raz - pamiętam- stałam przy jednem z okien sypialnego pokoju Rodziców, patrząc z Tatkiem poprzez szyby, całe w dyamentowych bodiakach, na zimowe, granatowe niebo, gdy nagle Tatko pokazał mi nad tym gontowym dachem o wielorybich okienkach gwiazdę, dużo mniejszą od trzykrólskiej i po-

wiedział tonem zupełnie naturalnym, ale takim, który zapamiętałam do dziś:

-Popatrz no, tę gwiazdę ci darowuję! Jest twoja własna. Niech ci ją kto spróbuje odebrać!

Póki byłam w domu, zawsze wiedziałam która to. Potem dom rodziców się skończył, zniknęła [illegible] karnienicka naprzeciw, inna wysoko na jej miejscu wyrosła, ja zamieszkałam gdzieindziej. Gdzieś mi się ta gwiazda od Tatka zagubiła na niebie! wiem jednak że jest i że mi jej nikt zaprzeczyć nie zdoła...

.... letniski jak i wówczas obyczaj obfite zadania na imieniny i odwiedzania nauczycielek przez uczennice. Odbywało się to zawsze - o ile sądzić mogę - o wiele serdeczniej, samorzutniej i skromniej. Chodziłam na kwartalne "wejdy" i takie właśnie uroczystości naprzeciw /zkąd dziennie było popatrzeć na całe cztery kochane okna/ gdzie wystawały się na dwu ogromnych fortepianach kilkerrażydę roku najdroższe śliczki panny Pauliny. Przy jednej z takich okazyi, odgrzebawszy wśród pewnego pamiętną senaturę Beethovena, poznałam się z ową niezwykłą Helerką. Nie lubiłam jej z góry, tak jak wszystkie dzieci nie znoszą tych, które im się daje za przykład,- przekonałam się jednak że Helenka /szlachetna dzisiejsza artystka pani Helena Ottanowa/ jest dziewczynką bardzo przyjemną i grzeczną. Powiedziała mi nad nawet miłego o mojej sonatinie. Nosiła, tak jak ja, grzywkę czarną, przyszła wyżej nad brwiami, ale podczas gdy z mojego karku zwisał [illegible] i gruby warkocz, ona nosiła włosy krótko obcięte, w kędzierzkach. Na szyi miała sznurek różowych paciorek z naturalnego szkła, których jej czas dłuższy skrycie i mocno zazdrościłam. Już wtedy gra jej była bardzo niezwykła.

Lat wrażenie że panna Hedlina, jej matka i owie siostki, musiały mieć razem wziąwszy jakąś niesłychaną ilość lat. Niemniej oznajmiła mi pewnego razu panna Lucynka, że wyglądam mamą. Zdumiałam, a potem sama pojęłam dlaczego. Włerzyły mnie od pewnego czasu zmarszczki koloratury z jej powie-

rzchowności... Duże jeszcze czarniejsze brwi, policzki jeszcze bielsze, loczki krucze nad czołem, zawsze podobne do kudełków perskiego baranka, jeszcze bardziej krucze i pokrętne... I suknie w kolorach bardziej młodocianych, jakieś perfumy o zapachu czekolady, czasem świeże kwiaty przypięte do zarękawka i - jeszcze więcej cytrynowych pestek w kieszeni...

Pokazało się że narzeczonego znałam już z widzenia. jeszcze w jesieni widywałam to maleństwo z czarnemi baczkami i w żółtych trzewiczkach, siedzące między dwoma oleandrami, na balkonie w żelazne, smutne"iksy", podczas gdy z głębi salonika płynęło wspaniale smutne, przejmujące mnie zawsze 'wezwanie do walca" Webera... Panna Paulina grała naprawdę bardzo pięknie. Potem jawiły się na balkonie wszystkie trzy grube parki i ona sama, co, zważywszy konkurenta i dwa oleandry, było nielada ściskiem. Wprawdzie zasłony te trwały długo w mrok i powtarzały się przy pogodzie stale i zawsze spostrzegałam naprzeciw tego samego misternego gościa - na myśl mi nie przyszło żeby za niego można wyjść... A jednak...

Najwspanialsze na nim było nazwisko. Nazywał się Kościelecki. Piastował jakiś niewysoki, jak i on sam, urząd miejski i przyszłość oblubieńców układała się dość gładko. Pan młody miał się poprostu wprowadzić do poczciwego babińca naprzeciw, wnosząc do wspólnego menażu apart złożony z kilku starych kontrefektów rodzinnych, pensjki comiesięcznej, parawanu o sześciu skrzydłach, jak cherubin - no i samego siebie... Bardzo ciekawie sposobiłam się na ten ślub, na który mnie ciocia wziąć obiecała. Jakaż była jednak cudowna niespodzianka gdy mnie pani Lachner, razem z ciocią, zaprosiła na wesele. Nigdy jeszcze dotąd na żadnem weselu nie byłam i już naprzód piawiła się moja wyobraźnia w jakichś niebywale malowniczych widzeniach.

Niestety, jedno z moich częstych wówczas jeszcze zaziębień, nie pozwoliło mi na bytność w kościele i tylko, zawinięta jak cebula, w futrze i szalu, przeszłam z ciocią od bramy do bramy i znalazłam się pośrod we-

selnej parady. Panna Lachner była już panią Kościelecką. Przemiana ta, pierwszy raz tak naocznie oglądana, wydała mi się rodzajem cudu, który mnie przejął do głębi. Choć bardzo łakoma, nierychło otrząsnąć się zdołałam z wrażenia i rzucić okiem na ponęty, pod któremi "uginał" się stół, ba, cały archipelag mniejszych biało okrytych stolików... Wszystkie malutkie pokoiki, znajome mi z poprzednich bytności, zapełniał szczelnie ścisk młodocianych. W uciesznej gromadzie stawiły się wszystkie uczennice. My z Helenką liczyłyśmy się do młodszych, najmłodszą była, obecna także pięcioletnia Oktawcia Rojekówna. W tym kolorowym orszaku, błyszczącym grzywkami i warkoczami, motylami kokard i szarf krążyła jak biały wodotrysk, opłynięty przejrzystym welonem, czernobrewa panna młoda. Postrojone bordeaux i brązowo, popielato i biało-koronkowo, przetaczały się z miejsca na miejsce trzy grube Parki, co było tem większym kunsztem, że wszystkiego było dość na tej fecie - prócz miejsca... Na kanapie i fotelikach pod ścianami, rozlokowano mamy i przynależne do dziewcząt ciocie. Cały szczupły teren wyglądał jak sporysty marcepan, w którym główną ingredjencyę stanowiły podlotki i t. zw. smarkule. Spodem, mięzy tą masą szmyrgał i nurkował pan młody...

Po wręczeniu pannie młodej jakiegoś zbiorowego upominku od uczennic, rozpoczął się obrzęd herbaciany. Wązka klitka, taki akurat tylko futerał na fortepian, wchłonęła dziś, cudem jakimś i stół i długiego jak krokodyl Bösendorfera. Na stole, wśród talerzy malowanych w bukiety kwiatów, stały owe zagranicznego dziś gatunku, podwójne konchy porcelanowych etażer, złączone wykrętną, pozłacaną gałęzią, spiętrzone stosami ciastek o kształtach też już zamierzchłych: wielkie bania kawowych pianek, makaronikowe łuki, osypane listkami krajanych migdałów, twarde jak minerał, płaskie kreacye czekolady na opłatku, cwibaki, mazurki żółte w rzucik drobnych korynckich rodzynków,- zdaleka istne arkusze z muchami, polepianemi na lep. Środkiem, na obrusie okrągliły się strojne torty, o nazwach, które też

pustym stają się dźwiękiem. Torty skaliste, linckie, pomadkowe, daktylowe... Kosze pełne pomarańcz i ber, w białych zasiekach serwet zdumiewające ilości gorących marenów... Z domowych osób nikt nie siadał, wszyscy starali się nieba i wszystkich tortów naraz przychylić gościom. Rodzina, jak wymiarkowaliśmy, miała się zjawić dopiero po nas, na kolację.

Po herbacie i tortach oznajmiono nam, że będzie przedstawienie. A zatem jeszcze jedna, rozkoszna niespodzianka. W głowę zachodziliśmy kto i co będzie przedstawiał? Lawirując nie bez przeszkód między skupionemi w ciasnocie sprzętami, ciągnąc za sobą, każda swoje krzesło, zgęściliśmy się w pokoju obok jadalni, gdzie nas skierowano. Za przedstawieniem improwizowanem z portretów rodzinnych pana młodego i jego wyprawnego parawana, znajdowały się łóżka, przed tą zaś dyskretną kulisą widniał rodzaj szopki, mała scenka, okryta draperyami z firanek, pusta i oświetlona niby kinkietami, szeregiem płonących stoczków. Zastanowił nas brak pana młodego na widowni, zaraz wszakże stał się zrozumiałym, gdy z podłogi scenki, umieszczonej nieco niżej niż nasze nosy, wynikły małe, kolorowo odziane laleczki i ozwał się z poza draperyi głos p. Kościeleckiego, naśladujący do złudzenia dyalog szmacianych krasnoludków. On to, nadziawszy na palce te niby osóbki, ruszał niemi, mówił za nie, kłócił się, czynił to wszystko tak zręcznie i uciesznie, żeśmy się zanosiły od śmiechu. Były to dwie sztuczki: "Berek zaczarowany" i druga, w której rzecz szła o jakąś bardzo hałaśliwą i pomysłową Małgorzatę... Skakał koło niej dyabeł i organista w szafirowej kapocie, który ostatecznie w zawikłaniu zwyciężył... Każda z lalek mówiła innym głosem, a najlepszy był szwargot Berka i porywczy dyszkant Małgorzaty. Dziwne wrażenie robiły duże, ciemne, majaczące za teatrzykiem, surowe oblicza antenatów pana młodego.

Kotując to wszystko, sama sobie nie dowierzam chwilami. Przecie nie tak to dawno jeszcze, a niech sobie kto spróbuje odtworzyć dzisiaj nastrój podobny! Wnętrze skromniutkie, nasycone dobrocią i prostotą serc jakgdyby

dziecinnych, mieszkanko ludzi żyjących wyłącznie ze swej pracy, którzy obchodząc wesele, pomyśleli przedewszystkiem o tem aby zrobić przyjemność gromadzie takich dzierlatek, z których niejedną stokroć lepiej zaopatrzyło życie od nich,- przyjemność, bądź co bądź, nawet w tamtych latach czasach kosztowną, poza którą nie było śladu wyrachowania! I te ucieszne maryonetki pana młodego w asyście starych, karmazynowych konterfektów!- Niedawno z największem rozczuleniem przypominałyśmy sobie z p. Ottawową owe wesele, niewiarogodną dziś wręcz atmosferę owej chwili, blednącą w pamięci tak, jak smak i nazwy niemodnych już tortów, skalistych, linckich, pomadkowych..

Pogodnie zaczęta nowa era w mieszkanku naprzeciw, nie trwała długo. Czy antenaci nametali coś na wąsach, czy sam los tak chciał, dość, że zdawało się czas jakiś, że w miejscu gdzie pieczętowano Berka, stanie kołyska a nowożeniec o nazwisku większem od siebie, zostanie ojcem... Czego tam dożył sześcioskrzydłowy parawan, niewiem, zasłyszałam tylko rozmowę babciów przy komodzie pod oknem, z której wynikło jakoby jedna z dwu grubych ciotek pani Kościeleckiej wyznała ci ci Tereni, że: "pocałowałaby się tam gdzie nie może z radości że zamąż nie wyszła..."

Lekcye z panią Pauliną na zawsze się przerwały. Jedynym zabytkiem moich z nią studyów jest owa słynna "polka nieśmiertelna" /która nadomiar była zawsze walcem/, grywana jeszcze przezemnie do niedawna, ostatni, szczątkowy ślad mojej fortepianowej niesławy.

-x-

Z rozkoszą wspominam sobie wakacye w Mikuliczynie w r. 1881. W drodze ze Lwowa Mama, Babcia, ja, czteroletni Adaś i służąca Marcelka, nocowaliśmy w Kołomyi. Wstawszy o świcie w cudny, czerwcowy poranek, zaprowadziła mnie Mama na jakiś pomnik na rynku, cały w łunie wschodzącego słońca.

-Popatrz, to jest właśnie ten Karpiński, który napisał "Kiedy ranne wstają zorze"!

Znałam go już z kochanego "Przyjaciela Ludu", którego czytywała mi

niera cioci. Pamiętałam że gdy miał przyjść na świat, napadł na dwór karpińskich opryszek Dobosz. Usłyszawszy co się dzieje, nikomu niczego nie zrobił, zażądał tylko aby to dziecko mógł trzymać do chrztu. Miałam już Osiem lat, poprzednia podróż po Styryi i Bawaryi, nauczyła mnie patrzeć z ciekawością i całkiem dorzecznie się oryentować w nowych wrażeniach. Skutek tamtych przeżyć, miałam się za coś osobliwego, korespondowałam po niemiecku z Fryckem Spahr - zrazu naturalnie z pomocą Mamy lub cioci,- góry i lasy szpilkowe przypominały mi Gleichenberg i Aussee, byłam uszczęśliwiona.

W Mikuliczynie mieszkaliśmy w domku niejakiego Greinera, wysoko nad zboczem okrytą łąkami, na razie same, gdyż Tatko na wakacye nadjeżdżał zwykle później, terminem roku szkolnego skrępowany. Poniżej tej rozległej zbocza rozciągała się w dolinie wieś, jeszcze wówczas typowa wieś huculska, niesłychanie rozrzucona, ani podobna zapewne do dzisiejszego Mikuliczyna. Sadnych will ani dworków, od każdej chaty do następnej przestrzeń ogromna. Rychło odkryłam koło naszej siedziby pewien karkołomny wysoki przełaz i łączkę poza nim. Takiej masy niezabudek, szczawiów wyższych odemnie, jaskierków, firletek, kaszek, nie widziała nigdy z tak bliska. Buchnęłam w nie twarzą jak długa, tarzając się jak pies w zaroszonej, wysokiej trawie. Pamiętam użycie szalone, szelest fioletowych dzwonków koło uszu, niebieskość niezabudek chających mi się między rzęsy, zapach miętej, przygrzanej słońcem zieleniny... Mam wrażenie że tak od serca przywitałam się z tem wszystkiem pierwszy raz dopiero na tej łączce. Trawa była tak wysoka, a ja taka mała, że patrząc ku górom nie widziałam wcale drugiego planu, tylko odrazu nad samemi kaszkami i jaskrami, daleki, niebieski łańcuch gór nieznajomych... I to powietrze pierwszy raz zaznane - to powietrze. Takie same, umiłowane do śmierci, z jakiem niestety w swoim czasie - podobnie jak z Lukiem - pożegnać się dość przytomnie nie zdążyłam...

Nigdy już potem nie spotkałam takich pełnych światła. Była zwłaszcza jedna łąka szczególnie barwna, którą się szło w dół po trawie, wąską, skośną ścieżką, między samemi kwiatami. Rumiany, mieczyki amarantowe, wielkie, białe, pachnące koniczyny, skabiozy liliowe i żółte,- kwiaty jakieś kosmate błękitno granatowe, podobne do grubych krępych gąsienic,- czy ja już wiem dziś co za cuda i jak się one mogły nazywać? Dość że się napatrzeć, nacieszyć nie mogłam. Wodę brało się ze źródła, pod prostopadłym obrywem leśnego jaru. Porastały go świerczyna, kalina, maliny. Dostęp do samej wody ślizki był i stromy, pokonanie tych przeszkód było zawsze satysfakcyą osobną i rozkoszną. Łąkę tę i dróżkę wspominać będę zawsze jako jeden z ośmiu cudów mojego dziecinnego świata.

Tam też widziałam najpiękniejszą i najszczęśliwszą ze znanych mi kaczek. Chowała się z kurami Greinerów i była dzika. Złapano ją przed rokiem, obcinano zawsze skrzydła aby nie mogła polecieć. W roku dano jej pokój i chodziła sobie swobodnie między domowym drobiem. Śliczna była jak jaki klejnot, mieniąca w słońcu, tylko pono wielce nietykalna. Szłyśmy raz z Marcelką do źródła i mijały miejsce które zawsze bardzo mnie inspirowało - zbocze obcięte jak olbrzymi, skośny przekładaniec, warstwa ziemi i warstwa kamienia, różnobarwne pasy nachylone raz na zawsze w jedną stronę, po wierzchu porośnięte świerkowym lasem, dla moich ówczesnych oczu niebotycznie wysokie i ginące gdzieś w tajemniczym jarze, którego dna nie śmiałam być ciekawą. Bardzo się lubiłam bać tego widoku, wyobrażając sobie zawsze dziwy na jego tle. W chwili gdym się raz zapatrzyła na ową pasiastą ścianę, tonącą właśnie w cieniu, Marcelka wrzasnęła:

- Kaczka! nasza kaczka! - Istotnie zobaczyłam dziką kaczkę lecącą ciężko przez słoneczne powietrze wprost ku groźnemu przekładańcowi. Leciała tam właśnie jak w dym. Cudowne barwy świeciły na jej piórach,- im pasiaste tło było ciemniejsze o tej porze, tem ona jaskrawiej błyszczała. - Ale też ona się nie boi! pomyślałam z zachwytem i radością. Ale nie bała się, tylko

najwidoczniej, poczuwszy siłę w skrzydłach, skorzystała z pierwszej okazyi aby drapnąć. Jakaż ona musiała być szczęśliwa: - są czasem jakieś bez zrozumiałej racyi ostrzejsze klisze w kasecie naszej pamięci. Ten kawałek bożego świata i lecącą przezeń dziką kaczkę mam w oczach wyraźnie, jak jakiś rzeczywisty obraz, któremu brakuje tylko ramy i gwozdzia.

Istotnie nie wrociła już nigdy między kury, w mojej tylko głowie została na zawsze.

Z domkiem Greinera sąsiadowało gospodarstwo zasobnego hucuła, który hodował mnóstwo owiec. Owce te pasły trzy dziewczyny podrostki. Codzień widziałam jak wieczorem wracały z całem stadem z pastwiska. Musiało być odległe, bo przed zachodem nigdy nie schodziły z połoniny. Bardzo mnie korciło zapoznać się z niemi. Podniecały mnie wielce jaskrawe stroje huculskie; po płótnianках dyniskich i żórawieńskich, wydawali mi się ci ludzie jakby jakimś teatrem, ogromnemi krasnoludkami, zaczarowanemi lalkami, które chodziły i gadały, a chaty ich całe z ciemnego drzewa pachniały mi bajką o chatce z piernika. Długo nie mogłam się uspokoić po widoku niedzielnego nabożeństwa w cerkwi i tego ścisku, który wyglądał naprawdę jak scena jakiejś sztuki. Po latach czterdziestu pięciu - myślę, jakkolwiek jeszcze i dziś jaskrawy, tłum ten musiał poszarzeć. Niewiem czy noszą dziś jeszcze huculi w Kikuliczynie szafirowe lub czerwone sukienne hajdawery, jak wówczas, pasy nabijane mosiądzem, - czy jawią się na kobiecych głowach dalej czerwone włóczkowe przeplatki, jakby greckie, plecione w warkocz i przetykane mosiężnemi gumkami. Czy od warkoczy dziewczęcych wiszą w niedzielę grube, długie chwasty z pasowej włóczki? Usłużna, tania żydowska tandeta w kramach gasi przecie wszędzie koloryt wsi; błogie, zdrowe, roślinne barwy dawnej chłopskiej odzieży przedrzeźnia obrzydłe trutka anilinowych grynszpanów, różów, gumigut...

Poznajomiłam się wreszcie z małemi hucułkami. Najstarsza z nich nazywała się Katarzyna, miała chudą przyjemną twarz z bystremi, siwemi oczyma,

włosy tak jasne że aż białawe, schowane zawsze pod czerwoną chuściną, związaną w węzeł pod brodą. Dwa wełniane, pąsowe fartuszki, jeden przedni, drugi tylny, czyniły ją podobną do wpółotwartego, smukłego strąka. Na ramionach nosiła zwykle szarą jak i koszula, płócienną płachetkę. Bardzo była śmiała i zabawna. Nie umiałam jednak zrazu po rusku i trudno nam się było porozumieć. Bawiło mnie że zna wszystkie owce zosobna, jak ja znałam swoje lalki i książki, że o każdej coś potrafi opowiedzieć. Wszystkie trzy dziewczynki były najętemi pastuszkami, których płacę pobierały matki, mieszkające daleko w górach. Straszną miałam ochotę pójść z niemi kiedy na to wysokie, odległe pastwisko.

Pragnienie to było o tyle zrozumiałe, że nie było żadnych innych dzieci w pobliżu. Mama dla cierpienia serca nigdy po górach chodzić nie mogła, Tatko miał jakieś zamówienia artystyczne, które go zajmowały, Babcię absorbował Adaś,- ja zaś zdana jedynie na moje kręciało i własny przemysł, żądbą byłam przygód. Rozstrzygnął wreszcie wątpliwości rodziców sąd panny Filipki, dojrzałej wielce córki ruskiego proboszcza, która bywała u Greinerów, mówiła czysto po polsku, miała pomimo brzydoty dotkliwej, humor bajeczny i bardzo mi sprzyjała. Zaręczyła że mogę iść z temi dziewczętami nie na dzień, ale na tydzień choćby i ani krzywdy, ani zgorszenia nie zaznam. Istotnie, choć potem na całe dnie przepadałam w tej krasej kompanii, nigdy ani oczy moje, ani uszy nie zaznały nijakiego uszczerbku... Co do uszu, to nawet wręcz przeciwnie.

Zaczęły się wspaniałe czasy. Raniuteńko przylatywała po mnie Kataryna - i ta wczesna pora była jedyną, niełatwą stroną nowego stosunku! - Szłyśmy między płotami z dranic, kamienistą dróżką, pełną dreczących owiec, ku lasowi, przez który trzeba się było piąć dość długo. Świerki w nim rosły ogromne, owieszone brodami bladozielonych mchów, rosły paprocie piórzaste, sięgające moich uszu, grzyby i -pod koniec lata- wisiory szafirowej gencyany... My z Kataryną szłyśmy zwykle z tyłu, potem owce, a przodem tamte

dwie, świecące pąsowemi łupinami swoich zapasek. Każda z pastuszek miała wełnianą torbinę w kratki czarno-białe, zawieszoną na postronku przez plecy, w niej zapasy ubogie na cały dzień, siarniczki i kozik. Ja miałam także tórbkę podobną, tyle że pąsową. Dostałam też z czasem kierpce, które tam nazywają się postoły.

Pastwisko do którego się szło, była to bardzo spadzista połonina, porosła jałowcami, na którą wychodziło się z lasu. Pobrzeże tego lasu to był jakby jeden wał kwiatów przerosłych maliniakiem. Z najwyższego punktu polany rozciągał się na góry widok przepudny. Zmiarkowałam rychło że pasienie owiec nie jest taką znowu najprostszą robotą. Rzadkie były chwile, kiedyśmy się wszystkie cztery mogły zgromadzić na miejscu. Ale zdarzało się że dziewczęta bawiły się ze mną nawet w gry jakieś, których nazw nie pamiętam, a zasad niezupełnie dobrze rozumiałam i wówczas. Zupełnie odrębne, dość nawet skomlikowane mi się wydały. Dużo było przytem biegania i śmiechu, szybkiej gadaniny i śpiewanek. W południe rozpalało się ostrożny ogieniek gdzieś w cieniu i nie na wietrze, piekło kukurudzę, ziemniaki i grzyby czasami, opiekało placki z mamałygi, pogryzało bundzem, owczym serem,- poczem występowała na deser czekolada z mej tórbki, lub blaszane pudełko z lepkiemi rocks-dropsami...

Nauczyły mnie wycinać kozikiem z młodych świerków kawały kory na króbki, które potem gładko ostrugane patyczkami spinało się po bokach,- ze szczytu świerczka sporządzić zgrabną kołotuszkę, mątewkę do kwaśnego mleka,- dowiedziałam się że biała jodłowa żywica,gdy na niej węgielek położyć, pachnie najpiękniej,- że nie wolno, broń Boże, pluć na ogień,- że grzyb znaleziony zaraz w lesie trzeba oczyścić kozikiem żeby się nowe nasiały,- nauczyły mnie wreszcie grać na drewnianej fujarce tak jak same umiały. Tylko do owiec nie nabrałam przekonania. Odrażały mnie ich czarcie jakieś twarze, bek niepokojąco ludzki, brudna, skołtuniona wełna, masa pcheł i zapach. One też były winne że nie można się było ciągle ba-

wić z pastuszkami.

Najcudniejsze wsze..ko, czego zaznałam na tych moich pasterskich włóczęgach, był głos Kataryny. Pierwszy raz usłyszałam go znienacka, zdaleka i pewna byłam że to ktoś obcy, całkiem dorosły zaśpiewał. Zapędziliśmy się trochę w jar z tamtemi, Kataryna przyzostała pod lasem i nagle ztamtąd gdzie była, nadniósł się, nie śpiew żaden, nie wołanie, ale to coś, co tylko górale umieją, melodyjny jakby skrzyk, z kilku wysokich nut złożony, dobyty nie z głowy, ale z piersi, silny, tak cudnie przeczysty, taki jakiś masywnie złoty,- że dziś, po latach, poznała ja go chyba natychmiast. Doprawdy pojąć było trudno skąd w tym trzynasto-czternastoletnim, chudym strąku bierze się taka rakieta dźwięków, świetlista, wysoka, lekka a mocna, która potem w drugiem i trzeciem echu, wracała słabsza, ale taksamo niesłychanie czysta, nieprawdopodobnie wysoka. Nie umiałabym była jeszcze wówczas tak tego powiedzieć, alem stanęła jak wryta. Kataryna zdziwiona była mojem zdziwieniem. Cud, na moje prośby, powtórzył się zaraz, kilkakrotnie, zawsze jednako zdumiewający. Choć mała, słyszałam śpiew często, oswojona byłam z głosem Mamy i pani Ledererowej,- pamiętam skrzypce Fryca, nie było dla mnie wątpliwości że to co robi Kataryna jest niesłychane. Ona zaś wytłómaczyła mi że to się nazywa "wiukać" i trzeba to w lesie koniecznie umieć. Inaczej ktoś co się zgubił, czy przyzostał, nie usłyszy.

Gdy Mama usłyszała to wiukanie, osłupiała jeszcze bardziej odemnie. Nie zaznała już od tej chwili spokoju i -choć to było szaleństwem w naszych skromniutkich warunkach - wymogła zgodę Tatka, abyśmy Katarynę zabrali ze sobą do Lwowa i żeby się śpiewu uczyła. W kole naszych znajomych dość było przecie i artystów i pedagogów muzyki, coby się na takim cudzie poznali i coby go poprowadzili bezinteresownie. Kataryna miała kopalnię złota w krtani, Mama zaś energii i entuzyazmu całkiem dosyć, aby zdobyć dla niej wykształcenie i przyszłość świetną. Muzykalność słuchu niezawo-

ną u rodziców [illegible] się ara też katarynę w najwyższym stopniu.

Rozpoczęły się rokowania, najpierw z chlebodawcami Katarzyny, potem z jej matką, po którą do trzeciej wsi trzeba było posyłać. Ona sama gotowa była odwrócić [illegible] od kozła, jak przy kupnie gruntu, chytra chłopska natura [illegible]. I kolejny raz wyrok niebywały. I znowu z rzeskiej izbarii przyszła sukcesu. Tym razem ów kanonik, ojciec panny Filipki zaczął [illegible] starościcielem [illegible] ta dziewczyna [illegible], na piśmie ze strony "państwa". Wreszcie doszło do zgody. [illegible] napisała do pani Lederermowej, do panny [illegible], do panny Lódy Ziętkiewicz - prosząc wszystkie o [illegible] katarzyny. Było to już niemal na samym zakończeniu. Tam, najniespodziewani z rozkładu i [illegible] chlebodawcy, [illegible] gwałtowne, pierwsza za "deczki", której i tak cały bały rok nie widywała, widując tylko jej plecy zgięte, grzbiet za tanią [illegible], [illegible] wszystko na zasięgnięcie przy serwecie przez [illegible]. Oświadczenie [illegible] "państwo" musi [illegible] płacić [illegible] w [illegible] ratce. [illegible] Oporu. Nie było [illegible] [illegible] na [illegible] żądanie [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible]

Czarnohorę, na którą i ja zostałam wzięta. Jechaliśmy wszyscy konno na drewnianych terlicach, przez las, stromo jak na piec, potem przez kamienistą zbocz,- ale wyprawa skończyła się ucieczką z powrotem w dół, na łeb na szyję, gdyż straszliwa ulewa spłukała nas poprostu z pochyłości. Ja odbyłam tę powrotną drogę w worku z [illegible], [illegible] do pleców [illegible], który [illegible] już nie [illegible], ale korytem [illegible] s[illegible], w który się zmieniła w [illegible]. [illegible], [illegible] noc-leg w [illegible] szczęściu [illegible], [illegible] jak piekło...

-x-

Po kolei, czy nie po kolei, dość że przysyłam oczy i [illegible]...

Nasz salon przy ulicy [illegible]. Chwila już po dniu, a jeszcze przed zapaleniem światła. Wielki pokój tonie w mroku. Gdzieniegdzie błyskają wązkie [illegible] na znajomych obrazach, błękitniejące [illegible] odbicie okien na [illegible]. [illegible] coraz mniej, czuję wszakże wszystkie domowe sprzęty, jak obecność osób do których mamy zaufanie bez granic i kochamy je, ani o tem myśląc, tak jak się bez myśli oddycha. Czułam że cokolwiek stanie się ze mną i tym pokojem, dla mnie b ę d z i e on zawsze. Nie zapomnę jego przestrzeni, jego [illegible], rozmieszczenia obrazów i mebli. Dziwnie mocno wiem że na [illegible] mogę tu liczyć i [illegible] to sobie jak rodzaj zasobu i [illegible] rozmaicie.

Obok pieca trymotka z białą lampą, nad nią grotegorowski portret Karola i wkoło niego na ścianie fotografie Litwanii. W trymotce "gościnna" porcelana, wyjmowana zawsze we czwartki, gdy wieczorem, co tygodnia przychodzili goście... Za piecem rulon transparentów, wysokich niemal jak we sam, nadpalony [illegible]. [illegible]. Jagiełło i Zygmunt August w koronach i paradzie, drugi: Polska, Ruś i Litwa. Stały te osoby w zwiniętym rulonie, [illegible] w swoim czasie przez [illegible] do jakiejś narodowej okazyi i gdy [illegible] jednego z czwartków rzucił ktoś z palaczy nie-

dogasłą zapałkę za piec, oliwą napuszczone płótno buchnęło wysokim płomieniem. Podczas gdy, nerwowy do śmieszności Chochlik Zagórski uciekł na widok ognia i zemdlał gruntownie w przedpokoju, otoczony ratującemi go paniami, Tatko z panią Aszperger wydobyli gorejącą trąbę na środek salonu i ugasili dość prędko. Niemniej Tatko oparzył sobie mocno palce, a p. Aszpergerowa osmaliła "filuty", jak nazywała swe siwe loczki nad czołem...

Na głównej ścianie nad kanapą "Lejna", z lewej serwantka prababki, z prawej biurko Mamy. Po śmierci pana Tadeusza Zulińskiego kupili je rodzice na pamiątkę. Na niem kałamarz z centaurem, obok długi liść chrzanu z francuzkiej majoliki z pełznącym przez jego rozdziałek ślimakiem. Na liściu pióra i ołówki, mała muszelka z pieczątką herbową i wązkie żłobkowane pudełko na pocztowe znaczki. Nad biurkiem smutny chłopczyk Grottgera, Grabińskiego "Brzeza", okrągły widoczek olejny na miedzi, jakoby Claude Lorrain, jedyny pono, poza jego miniaturą, przedmiot w domu pochodzący od A. Jaques'a Nonné i tej rodziny wogóle,- medalion Matki Lery, śpiący piesek Grottgera i tamte wszystkie kochane obrazki...

W szafie orzechowej, tej koło drzwi od pracowni Tatka, leży na półce maminej szafy grottgerowskie Album. Rzadko kiedy ogląda je ktokolwiek, ale wówczas zawsze jestem przy tatkowym łokciu, gdy sam obraca kartki ostrożnemi, rozumnemi swemi rękami - i patrzę. Jest to zawsze jakby jakieś nabożeństwo rzadkie i solenne. Mało kto umie tak patrzeć jak trzeba. Mnie, z oglądających najnabożniejszemi wydały się oczy niebadnej niemłodej litwinki Malwiny Ogonowskiej, córki profesora literatury w uniwersytecie belońskim, która dni parę była u nas gościem w domu, potem Anny Potockiej z Rymanowa, z domu Działyńskiej, a wreszcie mojej najmilszej, niezapomnianie uroczej i dobrej Stasi Tarnawieckiej, Szwarcównej z domu, córki dyrektora Tow. Muzycznego, jednej z ostatnich tego typu i polotu entuzyastek na świecie....

W tamtej szafie koło pieca, na zwój ze strojami matejki nawinięty, scho-

wany jest ów czwarty, ocalały smok chiński, faworyt wielki Tatka i wisi Tatkowe futro z szopów. Tak cudownie wpadać ciepłą twarzą w jego podniesiony, ośnieżony kołnierz, gdy Tatko do domu wraca i wiedzieć że już dziś nigdzie, całkiem nigdzie nie wyjdzie!! że niedługo wyjmę szachy z pudełka i przy jasnej lampie z trzema sfinksami na postumencie grać zaczniemy obaje, a gdy zbliżać się będzie pora tego dobrze zasłużonego mata, Tatko uroczyście i nieco ponuro zanuci marsza weselnego z Lohengrina, - znak umówiony między nami, gdy klęska już blizka. I po partyi wywiady bez końca i kochane, niewyczerpane wspominki o Tatkowej młodości...

Strasznie kochałam tę ojcową młodość. Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których szczęśliwy był i wesoły, znałam z rysunków mnóstwo ludzi, którzy go otaczali, którzy mu byli blizcy i drodzy. Więc najpierw dziadków: Babkę, Karolinę z Komarnickich, męża jej, dziadka Ignacego, siostry tatkowe Emilię i Anielę, brata Edmunda,- dzieciństwo Tatka w Daszawie, gdy to już wowcza prawy aż do sztywności, sprawiedliwy dla samego siebie, po zbiciu jakiejś z cennych porcelan w serwantce, sam, nie czekając na karę, stanął sobie w kąciku salonu na pokucie. W Daszawie umarła najmłodsza siostrzyczka Tatka, Sabinka, zażywszy dane jej przez pomyłkę z rąk niańki, palące jakieś lekarstwo zapisane dla konia i do stajni jeszcze niezabrane... Pamiętam jak się Tatko dzieckiem bał organów w Rydaczowie, gdy go zabierano na sumę,- jak raz po wilii na sianie pod stołem zasnął pod namiotem zwisającego do ziemi obrusa, wśród bakalii i podarków, a potem, gdy brak dziecka spostrzeżono, sądny dzień się zrobił i szukanie od strychu do piwnic,- dopiero pies, mądry kondel domowy odszukał "Lolućia".

Jednego zwłaszcza epizodu lubiłam słuchać po niezliczone razy. Był to obraz nocy miesięcznych w Lubieńcach, w które, gdy była pogoda, Ojciec ze stryjem Edmundem, uciekali wbrew zakazowi, niskiem oknem w sad, a potem na pola "do księżyca". Stryj ze skrzypcami - Tatko z gitarą. Małe chłopcy,

podrostki zaledwie, lecieli w koszulach daleko miedzami, między zboża i konopie i tam dopiero urządzali sobie koncert, jak polne koniki, jak jakie chechły łąkowe...

Strasznie ich lubiłam i czasem wręcz trudno mi pojąć dlaczego nie byłam tam razem. Znam tak dobrze krajobraz, równię wesołą, przez którą płynie spokojny, szafirowy Stryj, pola żółtych owiesków i konopi, olbrzymie zawiercha ślazu o bladoróżowych kwiatach, podobnych do róż polnych, jarzębiny strojne koralami przy gościńcu...

A i te, dużo późniejsze wakacye tatkowe w Skolem, gdy ciotki moje były śliczneni pannami, gdy się Lucyan Tatomir starał o ciotkę Anielę, a babka, rozmiłowana w literaturze i poezyi, obdarzona konspiracyjną pamięcią ówczesnych ludzi, całemi pieśniami deklamowała "Pana Tadeusza", umiejąc go całego na pamięć. Książkom Mickiewicza nie wolno było bowiem krążyć swobodnie, i zwykle tylko jakiś jeden śmielszy egzemplarz kursował ukradkiem po okolicy -. Stryj akompaniował na skrzypcach, a Tatko na gitarze do chóralnych śpiewów, także niezbyt cenzuralnych... Śpiewało się ciszej "Za Niemen", "Warszawiankę" już głośniej, a także i Ständchem Schuberta... Babka w towarzystwie Hanusi, sługi dawnego typu, która jeszcze i mnie, już jako staruszka, wodziła po-latach z okładem czterdziesta, zbierała z pasyą grzyby... wieczorami czytało się głośno dobierane umiejętnie przez pana Lucyana dzieła naukowe i historyczne... Raz na tydzień przynosiła urzędowa i jedyna w Galicyi gazeta "Lembergerka" dodatek "literacki" do tejże "Lwowskiej Gazety", biedne, skrępowane cenzurą jak powrozem, ale niedwuznacznie na rzecz polskiej myśli ciekawe "Rozmaitości".

Pamiętam też niemal, pewien zimowy przyjazd Tatka ze Stryja do Skolego; kiedy to, naprzeciw żółtego dyliżansu -było to na zjeździe z ośnieżonej Kłódki - wyszedł dziadek Ignacy i zamiast powitania, wymówił tylko dwa słowa:

-Mickiewicz umarł! -

Czułam zawsze razem z Ojcem to nagłe ściśnienie młodzieńczego serca i niemożność wyrzeczenia słowa przez resztę powrotnej drogi...

Potem Monachium, Drezno, Paryż, o czem zaraz opowiem...

A potem Bereźnica, macierzyński dom pani Sabiny z Pawlikowskich Korzelińskiej 1° voto Dobrzańskiej. Jej zacny mąż, poszukiwacz złota w Australii, który wszakże tylko z cnotą z za mórz powrócił, a którego pani Sabina dlatego jedynie poślubiła, że mieszkając po owdowieniu sama w pobliżu Karpat, bała się straszliwie słynnego opryszka Nieczeperowicza, który w wówczas na podgórzu grasował. Roił się zawsze jej dom od gości kochanych. Więc: pani Julia z Cukrowiczów Śliwińska z mężem Alojzym, ż. zw. 'poczciwym Lolkiem", magnaci nie znający wręcz wartości swego majątku, który utracili później ze szczętem w słynnem bankructwie Heterna,- pan Feliks Kremarski, rejent, pan Tytus Jachimowski, skrzypek doskonały z ułomną siostrą muzyczką, panną Olimpią, panny Mila i Aniela Młodnickie, przyjaciółka ich Stasia Berska i cały bukiet ślicznych dziewcząt, których gładko wyczesane, ołówkowe portreciki znałam z tek ojcowych jak osobiste znajome. Widzę ich wszystkich tam, gdzie i mnie, przeszło w pół wieku później, olśniła oczy pierwsza, wielka, nagła radość życia... Oni również musieli zbierać na żórawkowskich polach posępne tulipany "tureckiego ziela", ciemno purpurową Fritillaria meleagris,- jak mówi legenda, z obrokiem najezdców nad Dniestr zawleczonego,- musieli widzieć je nisko nad wilgotną ziemią, w pierwszych dniach maja płonące o zachodzie, zapalone jak cudowne lampiony na powrotnem święcie wiosny...

I ten humor wspominam co minął, co się prześmiał bezpowrotnie, usty w proch dziś rozsypanemi...

-x-

Powołanie Tatka artystyczne wcześnie poczęło się zaznaczać. Rysował w szkole karykatury profesorów, w Bolechowie malował miniatur we martwe naturki do panieńskich sztambuchów, w Skolem narysował z natury ciekawą

bramę wjazdową zaginionego już typu,- na modnym wówczas papierze pelé, podłożonym warstewką białej kredy, do której po skończeniu rysunku dobierał się ostry scyzoryk dla wyskrobania tak zwanych "bliczków", czyli światełek na końcu nosa, w tęczówce oka - robił portreciki sióstr, widoczki księżycowe gór [illegible], [illegible]. [illegible] Ojca panie Sabina [illegible] i Felicya z Jezuskich Dobrzańska, poznał się nam nim światły i przemiły Emil Strzelecki, guwerner młodych Pietruskich z Błoni, on zainteresował dla chłopca ich ojca Teofila, oraz przedstawił go tam panu Mieczysławowi Barowskiemu, przyszłemu opiekunowi ojcowej młodości, przyjacielowi najukochańszemu naszego domu, który nim pozostał do śmierci, dobremu duchowi mojego dzieciństwa i wszystkich lat dziewczęcych. M. Barowski z własnej, zasobnej jeszcze wtedy szkatuły mając - jak to u narodowego obywatelstwa było wówczas w zwyczaju - paru młodzieńczyków [illegible] i pieczy, wykształceniem ich i wychowaniem duchowem kierował. Jego to najusilniejszem, najczulszem staraniem, wyjechał Ojciec w r. 1857 w kwietniu razem z Marcelem Maszkowskim do Monachium.

Stypendyów krajowych nie było, rodzice albo niezbyt ufali artystycznej karyerze, albo - jak to było u moich dziadków - nie bardzo na podobne ryzyko mieli. Dla żadnego z uczących się nie stanowiło ojcy, gdy w zastępstwie własnego rodu który nie istniał, troskę o kształcenie ich brali na siebie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], jak np. Włodzimierz Dzieduszycki, Gwalbert i później syn jego Mieczysław [illegible] z Medyki, Lewicki z Darmoszewic, Pietruski z Błoni, [illegible] na ten cel sami, bądź tak jak M. Barowski częściowo, zbierając brakującą resztę pośród bliskich sobie rodaków i "dam"...

Malarzyki miały obowiązek przysyłać od czasu do czasu [illegible] dowody swoich postępów, za co wzamian otrzymywały albo pochwałę i szukę jakąś nadliczbową, albo - bo i to się [illegible] - list z krytyką i morałami.

Stary Maszkowski Jan, portrecista dobry a pedagog znakomity, z pod którego szczęśliwej ręki wyszli Kossak i Grottger, Tepa i innych szereg, wyróżniał Ojca wielce i dużą przywiązywał wagę do wpływu jego na swego najmilszego, najmłodszego syna, Tetkoducha Marcela...

Marcel... [illegible] Marceli [illegible] z Maszkowic, herbu [illegible]... Praszczurem jego był [illegible] istotnie do luby rycerz z pod [illegible]. "Marcel" wszelako - tak [illegible] - mało miał [illegible] na tę świetną [illegible]. [illegible] talentu i [illegible], dzierżący [illegible], mógł nie dbać o przeszłość i [illegible], chociażby z pod [illegible]. [illegible] swojego [illegible] herbu na [illegible], [illegible] tką z małem [illegible] "m", [illegible] kartki, [illegible].

Nigdy [illegible]. Skoro kawaler [illegible], nie [illegible] przedstawić się [illegible], która przyszła [illegible] lat później... [illegible]. - I [illegible] Ojciec mój, [illegible], [illegible], na którego ścianie [illegible], grottgerowski [illegible] Marcela, [illegible] powtarzać z [illegible]:

- "[illegible] -dobrze! [illegible] - dobrze! nie [illegible]!"

Było to tem zabawniejsze, że sam [illegible] jak Maszkowskich, a Marcela przedewszystkiem, - i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blisko i serdecznie, jak z rówieśnym kolegą. Marcel niestety nie słynął [illegible] i [illegible], które "[illegible]" [illegible] młodzieńców. I zastrzeżenie [illegible] kukła w [illegible], miało zapewne na celu [illegible] przyszłości [illegible], której [illegible] Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwe-

stycznować.

Ale tak samo przestroga, jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Maszkowskich i żywych i umarzych, bez żadnego dla wzajemnej doli uszczerbku, tak jak ich kochał mój Ojciec.

I niema na to rady: Mimo wszystkie, dzielące mnie od ich lata, Marcel był moim znajomym,- więcej: był naszym domownikiem, kimś stale między nami przytomnym, o kim mówiło się jak o żywym człowieku, bardziej swojskim i rzeczywistszym od wielu, którzy u nas naprawdę bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał tylko jego portret. Namalował go Grottger w Parszczowicach w r. 1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtawej konfederatce, z białym rękawem koszuli wianym z pod kamizelki. Nosili się tak Maszkowscy podczas malowania. I czerwonej rogatywce przedstawił się też na autoportrecie ojciec, tak zwany "stary Maszkowski", Jan. Taka była pracowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger, malując wedle głowy kolegi studyum do swej "Modlitwy konfederatów", podczas gdy Marcel, aby czasu nie tracić, rysował kogoś innego. Ma on też na grottgerowskim wizerunku wyraz doskonale znajomy każdemu, kto kiedykolwiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem inaczej niż zwyczajnie. Jest w nich wytężenie zmysłu, podobne do nasłuchiwania. Tak i na tym portrecie. Ruch zadartej głowy, wyciągnięta szyja, wszystko pomaga wzrokowi, aby lepiej dostrzegł, doświadził, przychwycił. Usta nieco otwarte, brew lekko podniesiona, oko skupione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zagapi się w modela i o bożym świecie zapomni.

Nietylko w rok, ale i duszą Marcela zagapiać się tak musiała i zachłystać we wszystkiem, widzianem czy żytem, do bezpamięci. Nic dziwnego że świat boży zapominał co moment o nim i że o niejedną twardą latarnię po drodze uderzać musiał głową. Dziwniejsze że się sam temu nigdy nie dziwił, że na obczyźnie, w najczarniejszych nawet godzinach, gdy tyle tylko świeciło nad nim słońca, ile go miał w swym herbie, nie złorzeczy światu, ale tak dzie-

cinnie szczerze i rozdzierająco bezradnie oskarżyć się potrafi przed kolegą przyjacielem:

- Nie umię ja żyć, nie umię!

Istotnie, żyć nie umiał. Umiał natomiast, bodaj że już w powijakach, tak rysować, że oczom pierzyć trudno.-

Przedziwny bo wogóle był dom tych Waszkowskich. Zapewne. Ojciec sam tęgi malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu. Matka wykształcona, muzykalna, entuzyastka, umiejąca i patrzeć i czuć i mówić, /n.b. niemka z rodu/. Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zdolności ojca nie tłómaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazyi i tych talentów
i tych talentów, jakie im się po kołyskach zalęgły. Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia niemało. Zupełnie jak bajka: Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wydmuchu zabłąkany. Więcej ziarna niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz w 1863cim, społecznik nadto i organizator, który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor politechniki we Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Na domiar o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, nad którego "główkami" - gdy on sam w usta nie miał co włożyć,- nieraz gęby otwierały Bawary i inne takie "Szwaby", jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się,- czego bynajmniej lekceważyć nie należy!- do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie że wszystkie były muzykalne i, jakkolwiek Bóg je ostrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor

Kaszkowskich, ich dobroć i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazyę.

Najwcześniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, bo z r. 1858., wykonany gdy miał lat 18, zachował się na rzadkiej dziś wielce, a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej litografii. Jestto grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, aczkolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy inicyator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie Romanowskiemu. Są tam: Mieczysław Romanowski, Pawlikowski, Ludwik Wolski, Ignacy Kamiński, Kałmucki, Sztyrmer, Bruno Bielawski, August Bielowski, Karol Kaszkowski i Marcel. Pośród dziesiątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pachołęca, ładna twarz, z długiemi, zaczesanemi na uszy włosami.- Wierzyć się nie chce że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy, patrzące, każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw. Naturalnie że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Kajchera, przedewszystkiem jednak zaważyło to że stary Kaszkowski umiał ustawić wzrok ucznia, jak Garcia stawiała głos,- że codzienna tresura młodych oczu, patrzących na "porządne" rysowanie w pracowni Ojca, dopomogła do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymania na gorące natury i prawdy.

Dom Kaszkowskich żył sztuką w dosłownem znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwor muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom jak innym posiłek. Postacie Schillerowskich tragedyi i liryka Heinego były źródłem, z którego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Kaszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilostwem Januszewskimi, mieli, jedni z pierwszych dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism pośmiertnych Słowackiego. Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych zaprzysięgłych we Lwowie jego wielbicieli. Pozatem, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może

nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek nazbyt po polsku w domu nie było... Karol tłómaczył Heinego, kompenował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń: "Der Fichtenbaum steht einsam" śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam... Rafał grywał na skrzypcach,- akompaniowały siostry: Fryni, Minia albo Jeasia, a przy każdej nadarzonej okazyi, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Maszkowscy, Grottger,- z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studya tamtych -, Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedoścignionych wprost mazurzystów.

Materyalnie stale bywało kusso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywał nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komuś pozował. Ktoś coś czytał głośno, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do różańca rozlegała się niemal zawsze w zimnawych często, niedopalonych pokojach. Dopiero z małżeństwem Fryni, która wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego ormianina, człowieka nieporównanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony, otworzył jej i to serce poczciwe i kieszeń, zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzi tak wielka, że starzy już miewali jeszcze fantazye szesnastoletnie... Przypomniane sobie naprzykład pewnego dnia że "stary Maszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz oboje starych Maszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyły szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tamci dwaj ociągliwie, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był kto wtedy za łokieć, jakiś impressaryo opatrznościowy i wywiózłszy zagranicę, karmił, pilnował, odziewał, uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył

dłużej, byłoby po nim zostało więcej i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się samorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo, mało, niema,- to były pojęcia. Pamiętał conajwyżej cyfry sum potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały pośród nich takie skarby jak paltot zimowy, jak - o zgrozo. - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze, to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć , i gdy on się dusił wtedy - inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodzianek, ale jak i co, tego nie dociekł nigdy. W do rozsprzedaży rysunków byłby potrzebny impresaryo. Opowiadał mi Tatko jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do której chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawiczne szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu kto sięgnął. Gdy brakło papieru w tece, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem, a kupującym, ale go ten proceder niecierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej rodzicielskiej biblioteki naręcz książek, - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie:- aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić mamie na imieniny nowe rękawiczki... Fakt. Ostatnią parą butów byłby się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość. Wydawać - pożyczać - niemieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki się było w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda sytuacya przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istniały pokusy, we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, modelki, "piękne mnichowianki" jak je określa przemiły trzpiot cypryan Dylczyński w swych listach do Ojca, jakaśx Emilie, i Pepi - ta Pepi, której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku - i w pustym żołądku potomka Zyndrama z Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu, i to w tempie dość szybkiem.

Raz, zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła, lub czytała... widział jedynie jej profil, ale zato przecudny. Na en face nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał!- Koledzy zadali sobie trudu by wytropić objekt z blizka, przyczem wyszło na jaw że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

- Marcel. Ależ ona ma tylko jedno oko! - szydzili bez litości.

- Ale jakie! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malarya, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych daguerotypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Ostrowski, Penther, Antoni Rojchenberg, nieoszacowany, najpoczciwszy "świątek", pogotowie ratunkowe kolonii,- Grottger, Marcel, mój Ojciec, później przybyli Matejko, Wołłowicz, Filippi, Dylczyński, Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki,- każdy miał swojego ptaka niebieskiego, albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść siemienia sypnął. Otuczyć się tem było trudno, ale żyć się dało i błogie było poczucie że jakieś tam "pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej za-

głady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre, ale i złe czasem strony. Łżej było sumieniu jeżeli się na lekkoducha obruszył mecenas, niż gdy się zgryźli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec z wielkiemi, haftowanemi włóczką przez siostry torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w duże kraty, przybyli do Monachium, gdy -jak to uwiecznił Marcel w karykaturze- stanęli z zadartemi głowami przed maryackim tumem "Unichowa", dwiema charakterystycznemi dla sylwety miasta wieżycami, podobnemi do smukłych kufli piwa, gdy się rozlokowali w nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni swój, z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał, pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka...

Szwagier Maszkowskich z niewiadomych mi dziś powodów podążył też na studya aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperaturę rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić że zaważyła tu nietyle firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która tęskhiącym w Unichowie braciom, chciała tam stworzyć od niechcenia przytulną własną ambasadę. I było to oparcie nielada. Bo i dom ciepły, swojski, rodzony- ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni, słowem: przystań, do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.- I Jakubowicze właśnie zapoznali zczasem obydwu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta,-wycieczki do Nymphenburga i Grosshesselohe. Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory,- tańczyło się częste i namiętnie...

Strasznie kochałam tę ojcową młodość. Znałam jak żywe z opowiadań, miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i daguerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli blizcy i drodzy, którzy kochali go nawzajem. Czasy gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka,

jak owa przecudna a kusząca "Królowa Śniegu" Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc na ubożuchnych swoich saneczkach pędzi. I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakiem później pisał z Lipska Marcel... "dzieło wielkie, ukończone, przemyślane - imponujące!" Niestety życie, mecenas bogaty lecz dyablo kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia.

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko: teki ojcowe, szkicownik, świetne studya i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość- "monachijskie czasy", o których opowiadał doskonale, acz rzadko. Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego na pozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której ten ciemna dzielnica go od tamtych czasów bezpowrotnie. Marcel umarł młodzieńcem, spalił się jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje - życie. Ojcu wydało wybrać między dalszem, żmudnem dążeniem ku ideałom i sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych, tamtą swobodę wykluczało na zawsze. Wybrał dom, wybrał - nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy nieskochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów, on, entuzyasta, przyjaciel i towarzysz największych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezyi, niepocieszony choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz gdy jaka zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką niemal, uznanie, rozgłos, ba nawet i sławę, cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką,- kochający i przemiły, przeważnie pogodny, a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzanej. Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie jak wąskie opłatki, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowemi

szkicami. Nazywało się to 'szkice', a było nieraz wykończone jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnem gotyckiem "m" w prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, sentymentu i tej wirtuozowskiej Marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych jak igła, lekkich jak włos, świadomych, każda z osobna, zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz... otóż to właśnie. Jak się to działo że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńczą głowę mego Ojca w Monachium, dał jej -już wówczas- wyraz hartu, zatajonego smutku, który miał jego duszą zawładnąć dopiero po latach? Wysunęły ten przepyszny darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu. Gdyby nie pokwitowanie dyr. Kopery, mogłabym przypuszczać że mi się tylko śniło.- Albo taka głowa Schillera! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy, rysunek-wizya, oparty w równej mierze na materyałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnem, mocnem odczuciu rysów ukochanego poety. Najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelujący ostrym ołówkiem w niewiarogodnie subtelny sposób rysy "wywyższone".

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Niczem osobliwem nie zastanawiał wówczas profesorów Matejka, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza że obaj nazbyt, do zbyt pilnych bywalców akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów jak np. Liezen Mayer, Węgier o niemieckiem nazwisku, tęgi malarz z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdybyż tylko nie te "piękne mnichowianki", nie ta nieuchwytność pieniądza, nie ta nieodporność na pokusy tak w skutkach swoich żałosna: I te zupełnie, ale to zupełnie opaczne poglądy na "ma" i "winien": Po tem os-

/40

tatniem następowało nieodmienne słowo "pożycz"!, proste i krótkie, którego chybiony często efekt, raczej rozżalał niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysychał, apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szmagier bywał jednak czasem zacięty,pewno dla pedagogii raczej niż skąpstwa , czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żywcem do niektórych scen "Cyganeryi" /bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie/ kruszyło się i marnowało, niezbyt zresztą stałe od urodzenia, zdrowie i życie Marcela...

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki "redaków". Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich, ogłoszonych w "Lamusie". Różne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierówne drogi, jakiemi się rozpełzły po świecie później, ale ciepło przyjaźni, jaka złączyła tych ludzi już wtedy wtedy, nie ostygło z latami i wrękach moich znalazły się całe stosy jej śladów, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła jak ptak, choć przygłuszona czasami, dusza tatkowych "monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i pięknie-duchów żyje i albo się śmieje wgłos, albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich, mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał, u nich gromadziła się wieczoremi "Malarya". Każdy przynosił, jakie tam miał zapasięta jadalne i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, Rafał Kaszkowski, przybyły w czas jakiś z kraju,swoje wytworne skrzypce, więc była i muzyka na tych sympozyonach. Daniel Panther deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzyazmowały srodze."Des Sängers Fluch" Uhlanda, "Schilflieder" Lenaua... Schiller zwłaszcza był u-

kochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się i Matejko, któremu, gdy jechał zagranicę, dał był M. Tarowski list do mego Ojca, kierujący doń pana "Maciejkę"- przyswojony serdecznie, ale cichy i jakiś "osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystyach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materyały do wydanych później "Strojów Polskich". Na zebraniach koleżeńskich mało był wydatny, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem jak szpicrutą. Występował z reguły jako tępiciel zagranicy, drwił z entuzyastów niemieckiej literatury, po niemiecku, jakby z umysłu, gadał byle jak, ścigał szkolne makaronizmy, którymi grzeszyli lwowianie w niemieckich gimnazyach "uszkodzeni"... Przeciwległe pendent do Matejki stanowił Penther. Ten, rzecz prosta, jako Niemiec z rodu, choć mówił dość dobrze po polsku, poza kulturą niemiecką świata nie widział i widzieć nie chciał. Na tem tle bywały lekkie przegryzki.

Raz, na jednem z takich zebrań u Tatka i Marcela, wydobył Tatko swój zabrany tom Wypisów Cegielskiego, w którym wydrukowany był cały "Jan Bielecki". Tatko, jak i Waszkowscy znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że zaś doskonale czytał głośno, zaproponował że ten utwór, reszcie obecnych nieznany, przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle nie był się jeszcze zeszedł,- olśnął poprostu. Dobrze znający go Tatko twierdził że tak uniesionym nigdy go nie widział. Blada zazwyczaj jak pergamin twarz zabarwiła się, wielkie, ciemne oczy błyszczały.

-"Otóż jest poezya! Co wobec tego Schiller! Te kolory, ten charakter rodzimy! Musisz mi pożyczyć do domu tę książkę"!

Na krótko przed śmiercią opowiedział mi Tatko raz jeszcze wspomnienie tego wieczoru. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były Listy Słowackiego do Matki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też zacytował mi jeszcze końcowe wiersze tego poematu. -"Zawsze mi Bielecki Matejkę przypomni"- mówił- "To jest naprawdę jakby wizya jego własnej sztuki! Ta sama technika i patos!".

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańczono w karnawale na umór choć bez dam, jak relacyonuje Jabłoński,- przy zimnej zakąsce i piwku, ale zato przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak - Matejko, który nie tańczył wcale, grał zato świetnie do tańca,- bywała swojska gromadka u pułkownikostwa Tchorznickich. Pani domu, hr Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka, czyniły atmosferę trochę mniej domową niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, mozolny -wiadomo- czasami, gdy się jest na studyach i ma wiele przeszkód do elegancyi. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich pań, na różnych wycieczkach i wieczorynkach malarskich, był zgoła nie uroczysty... Jawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen, jedna z tych komecich istot, których nie lubią żony, a za którymi przepadają starsi panowie... Rzeczona Alma stała się osełką na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik, srodze o jej względy zazdrosny, ona poza jego szerokiemi plecami kopcąca oczkiem do Marcela... ten miał swoją Pepi, ale dlaczegóż nie odpowiedzieć zaczepce?... Oczywiście, nikt dziś nie dojdzie jak to tam ono było naprawdę, dość, że dbały o spokój w domu pułkownik, choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela - i podkreślane z umyślną a szatańską nonszalancyą przez resztę wtajemniczonych trzpiotów,- bolał z godnością i opanowując się dla pozorów, dostarczał swem zachowaniem rozkosznych emocyi śmiejącemu się w kułak audytoryum. W pewnej burej, wąskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracyi do tej na spisku opartej komedyi, z których można powziąć wyobrażenie o jej aktorach... Jest tam i Alma, jakaś"westfalska"Idalia z "Niepoprawnych", obstarnia zalotnica z jastrzębim, szwabskim profilem, twardemi, jasnemi oczyma w sentymentalnej berżerce i pelerynce w kraty,- jest Tatko w swoim berecie przy sztaludze, w furyi tworzenia, Marcel śpiący, któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, jakieś niemiecki dopiski i wiersze niedocieczonego dziś sensu... jest ołówkowy profil pułkownika...

Niema wątpliwości że niewszystkiemu co się działo w Lwowie mogli byli przyklasnąć "Zecerasi" w Galicyi. Toteż gdy Marcel po jakiejś serryi psot przy rubszych uznał za właściwe przemienić się z talentem i pałeczkiem farb do Lwowa, pisze [illegible], podczas gdy mój Ojciec został jeszcze w Krakowie, nadszedł -też duty, bo i gdzie?- list od Marcela takiej treści:

"Kochany Karolu.

Posłuchaj pierwej, a potem sądź, bo musisz już pewno myśleć o nas nieprzyjacielsko co, że tak długo nie piszemy, pewno też nas przeklinasz w ostatnim liście i przykre odpowiedzi.- Cóż stanęło:

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wysłać tych 2, bo chcieli za nie dostać robre, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 2. I jeszcze się gniewasz na mnie za to nieprzyjacielem? - Oj Karolu! by tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie: może to kara za te wszystkie co nabrałem do tej pory, a dałby Bóg aby koniec na tém był, ale mnie się zdaje że to dopiero początek. Cóż je się mam rozpisywać nad tą biedą, na cóż Ci mam detajlami [illegible], bo [illegible] ale ze względu na przykazanie miłości bliźniego, i z tej strony na stan [illegible] jak ty,- że znam twoje serce i wiem że o Ciebie głowa a serce mi [illegible]: - muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowém [illegible] życiem tutaj, a więc ci tych kilka faktów stoją za miarę: [illegible] wszystkie w kasztanie, prócz tych które na sobie mamy, a drugie: jedną [illegible] -tenger vier lage, nic nie jedli, prócz herbaty, które kufel [illegible] na śniadanie, będąc przyzwyczajonym mocno słabego, bo ostatni nie miał i przez 14 dni o dwa tlenaczyska siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej! na suchym chlebie /!/ pościliśmy razem tych 4 dni o pół parcii herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie posłałem? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz kupał niemo skrzypiec i okropnie przykrem cierpiał, co przy

kiepskiem wegetowaniu, musiał siedzieć z załamanemi rękami i słuchać jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny popodkładać,- ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einen Spottpreis na Kunstverein tutaj,- potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto widział i może głupi dał się zrobić... chciałem koniecznie tych 30 f skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzą jak dziękować /chociaż wyprosiłem sobie jeże Erkenntlichkeit/, ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała, nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - wolelibyśmy byli pochorować się z głodu jak do niej się udawać.- Ale der Mensch denkt, Gott lenkt... Ja czwartego dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada że jemu się słabo robi - ja kląłem na los za.... i poszedłem do gospodyni - ona nas wyratowała z głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama: Dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem,- ale włosy mi na głowie stają... co tu gadać, co tu powtarzać! tylko tyle wiedz że Tato do nas obydwuch razem, bez przemowy "moi kochani" etc. w krótkich słowach powiada że ostatni raz do nas pisze!- Niech Pan Bóg Fryni to zapomni!

Moje szczęście że nie posłałem roboty te które tutaj zrobiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle, lepsze jak do tej pory robiłem, bo więcej rysowałem jak malowałem, ale, aby posłać do Lwowa na pokaz - to nie można. To, bez przesady, musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,- imponujące! To jedynie może mnie wyratować! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono

mojch kochanych, biednych rodziców wrócić - jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie tych sił, aby wykonać te dzieło, wtedy sobie w łeb wypalę, albo o mnie nikt nie będzie wiedzieć.-

Ale to tego czasu pobiedzę, a moi kochani już są na granicy cierpliwości. Niedawno ktoś kazał mówić że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a [illegible] zaczyna zwątpiać w swoim talencie.- I tak wszystko przeciwko mnie teraz się zdaje, właśnie gdy powinienem mieć głowę najspokojniejszą! Ale to jest chwila decydująca,- to się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy ja mam charakter siłę woli?!

. . . . . .

Karolu! Ja Ciebie nie przepraszam za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to tobie pomoże, jeżeli przytem pieniędzy nie będzie abyś mógł pozostających długów - a ja nie mam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam." Powiedz mnie mój kochany Karolu czy nie mam napisać do Paxla i do Bruglich? Każdy to co zaspokoiłe? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.-

Co tam z Pepi? Nie śmiem nawet myśleć o tem wszystkiem - to mi po mocach nie daje spać, nawet w nocy czuję łzy gorzkie. Nie umię ja żyć, nie umię... I tylemi ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z serdecznem nie wspomina - a o kochaniu ani mowy. Muszę przeprosić że do tej pory nie odpisywałem wiem i nie pisałem, ale moje usprawiedlenie nie po temu, pocałuj wszystkich jednak prędzej od nas a jeżeli pieniędze przyjdą, to na miłość boską, zaraz mi przyślij, abym mógł rzecz wykupić, bo chodziny jak araby. Napisz mi także czy przyjechałeś i kto więcej i kiedy, wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dużo a schönnend pisz, bo dość kiepskich listów otrzymałem. Zdj nowy adres: Bresauerstrasse nro 60 III bei Frau Knauer.

Do Pepitka Lili szczególnie będę teraz niezadługo pisał, bo trudno było mi do tej pory to zrobić."

A teraz drugi list z Lipska, bez daty, jak zwykle:

Wtorek zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja co Ciebie znowu muszę pisać i to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary!! A w policii nie byliśmy jeszcze, co nie wiemy ile zapłacić mate. Mamy kiecka w domu zjemy, otrzecię na miesiąc najmil powinniśmy mać - ale obiad i poświęczerek musiemy zaraz płacić. Nom więc na jawie obaja /by/ sobie wyglądamy co to będzie jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania, które tutaj są drogie, jeżeli tak w Dreźnie - to powiem co nóg. Jeden obiad za 11 f. /5 Silbergroszy/ taki o jakim w Monachium nie śniłem - bardzo dobrze ale dobre, zieszkamy w dwuch ciepach na 4 p. i oglądamy ci za inną stancią, bo jak Rafał grać będzie musi na czem, to tutaj nie można zostać... Jeby on tylko miał na czem, to biedak dzisiaj cierpi bez skrzypiec, a to trzeba 30 f. na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć, biedy się nie ma co jeść. Niesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy i ty mnie na dwa dni nie ruszy ani dutka w obcem miejscu. Dlatego też Clemia drogi, lecz albo Minon sprzedaj i przyślij nam, starej się, bo tu bez nich nie potrafię; od naszej gospodyni nie możemy żadać gdyżbyśmy mieli z jakiej umierać, bo wymówiliśmy stancię, czego winić gospodyni,- sprzedać -słowo honoru - nie ma co. Wróżże sam Kochanku czy nie byłoby nasze położenie okropne?-

Tak nam tu bez brakuje, takiego teatrzyku mit seinem praktischen Sim., ale co! kochan, mojo największa ambicja byłaby ni tutaj wiązanem, tylko aby można do kogoś powiedzieć: "jak się masz, co tam robią".- Dlatego, kto ma przyjechać, niech przyjeżdża rychło, bo pieniędzy nie wystarczy więcej jak w Monachium, a jest miasto miło i ciekawe. Muzeum co i dni otwarzane, a Delaroche, Calame i Vernet zasługują aby parę tygodnie tu zabawić.

Karolu drogi, co tam moje interessa, czy nie oblęgają Cię jeszcze? Jak to miło być w mieście, gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Niema to jak być porządnym! Od teraz daleko mniej długów robię jak do tej pory.- Bądźże zdrów mój Ty, i oznajm zaraz Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek, a posełaj tak jak Cię prosiłem poste restante pieniądze, a list z oznajmieniem nas pod adresem Wintergartenstrasse No 5 4te Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz, a my możemy ci tanią stancią nająć, na [illegible].- Bywaj zdrów Lucciu

Marcell"

I jeszcze jeden list z Lipska:

"Czwartek 18

Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często, i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszemi dla nas formalnościami, i odczekać jakiś czas na pieniądze Olesia. Dziś te pieniądze ku schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć, a nie mamy nic, coby my mogli sprzedać, albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 25, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję, nie wiem co to będzie. 20 mamy się ztąd wyprowadzić, a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie?!! Karolu dalibóg znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie że z pewnością Olesiowi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na pewne rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeszlecie pieniądze, bo próżny list, to byłby głód.

List twój odebrałem i cieszyłem się nim, choć był za krótki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpiemy że jesteśmy sami. Może Ostrosio, albo Rajchenberg?

A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz?- Wystaw sobie do czego ja się odważył - z biedy - zrobiłem akwarelle i oddałem na wystawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze, choć cena bardzo mała w porównaniu do tamtych: 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek - tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie medalki - bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo że niema skrzypców, albo fortepianu bodaj, nima nic robić, nudzi się okropnie,- wczoraj, jak się dorwał fortepianu sąsiada, to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał... ale co ja tu gadam, a to niema co jeść i kotów niema. Wystaw sobie, ja chodzę w butach podartych, czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych, które zostawiłem!

A jeszcze jedno: jeżeli Olesiu da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów, kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko?

Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie

Olesiu! Olesiu! oj Olesiu! "

Takie się to dostawało listy ze "monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej, płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek, rozdzierał ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los upomniał się w końcu o ostatni przyjdzie Marcelu, ten o którym się tłukła jego zgnębiona, niedokarmiona, niedożywiona dusza artysty-ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorżkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtej, monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj, zętybą,- ba nawet do Wenecyi wysłali rodzice biedaka, aby miał i "południe" lecznicze i piękno.

Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26tym roku życia dogasał. Gdy w 1862 w Marcu umarł we Lwowie, Ojciec mój bawił na studyach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu. W liście pod datą 23/3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, wniosłą do przyjaciółek Cyryli i Julii Płaszczakówny w Mikołajowie mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwające ucisk moralny, gniotący kraj w przededniu powstania, wrażliwe i bardzo lotne wysłowie panna Młodnicka, tak się odzywa do bliskich sobie dziewcząt:

"... pisząc do Was chciałam żeby list był w treści bogaty - i w dobrym humorze i spokojnie napisany. W przeciwnem usposobieniu nie chciałam pisać - bo wiem że i Wy macie swego mało - na co ja mam dodawać; bo w smutku myśli się że smutny każden - tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana że i Wy macie pełnie dość swego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam, dość gdy dodam czem Lwów mnie przywitał: pogrzebem Marcela Maszkowskiego - więcej Wam pisać nie potrzebuję."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i blaszaną paletką z nazwiskiem i datami, kładło się bezkrwawnie wianek zielony i paliło światło zadumane. A gdy z latami krzyż spróchniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odmalowana i świeżym opatrzoną napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na Łyczakowski cmentarz aby w Tatka obecności został ustawiony. Paletę sam przybił na nowo. Podczas wojny dopiero straciwszy z oczu mogiłę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie.

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, kartoluszki wątłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, Liszt wedle litografii Kriehubera, ojcowe żartobliwe rysunki, daguerroty-

[illegible] listy... I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący: żelazne wieszadełko na zapałki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę "poczwary". Mogło to służyć równie dobrze na schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską kropielnicę. "Po [illegible]" [illegible] i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian. Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z [illegible] rybkami, kałamarz po Marcelu, który mi służył całą młodość i był powiernikiem pierwszych moich wierszy, [illegible] przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał [illegible] i [illegible] wykrzyknikami czerwonemi, pękatemi jak balony, [illegible] miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamożnie i już go na Zaświecie nie pamiętam.

. . . . . .

[illegible] samą [illegible] tego mego [illegible]. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią. W miarę jak się [illegible], biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zawsze są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Artur tej samej rasy co Marcel. W ile wszystko górował nad nim o całe niebo i skalą talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych, był takim samym rozrzutnikiem i "[illegible]" sobą niespałkanie jak tamten. W przeciwieństwie do nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziwnie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozum, które tak chwili jego koledzy, o które nieraz w późniejszych latach Ojca, opierali się niejedni z środowiska w którym żył. Podobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresyi, tak i Grottger szukał nieraz towarzystwa

Ojca, aby zi, czy wystarbyć, czy zwrócić, czy choćby tylko wyjaśnić w jego pobliżu po jakich szalonych tygodniach... Umysł ojca jasny i precyzyjny, rozwiązał często zawiśnionych, rozsądzał różne przeklęte [illegible]. I, o dziwo! szaleństwa zostawne rozwiązały się na tych cmentarzach - i [illegible], kilku takich słów uzdrowienia, z jakiem strategem spędził [illegible]. Nawet wspomnienie Karola Szymanowskiego, jako jednego z najbliższych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze jej wszczas nieznającego [illegible], sprawiło że gdy jej na jaw po śmierci Grotgera przeniosła [illegible] w swej [illegible] rzuca filiżankę, odczuła uścisk jego dłoni jakby jakiejś przykazania z zaświatów.

[illegible] Ojca do śmierci Grotgera był też czemś głęboko wzruszającem. [illegible], gdy kartony z albumu Hany czy ze wystawy Kierkegaarda - Ojciec nie rozumiał je jak całe i zajęty całem intelligator nie [illegible] rum z niemi. Stał na [illegible], na wzgórzach kijów przybierał je na pamiątkę, nad łóżkiem [illegible] na placach Ukrzyż. Gdy ciężkie [illegible] epic materyalne i [illegible] Ojca skłoniła [illegible] do rozstania się z całym szeregiem tych [illegible] r. 1914 - odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przeżył nigdy. Wiadomo, gdy w r 1912 Karol Tarchomski z Nowego Sącza [illegible] rysunki, które z [illegible] rysunków. Pamiętam wrażenie tej chwili i [illegible]. Nad [illegible] widzę potężną [illegible] "Hajdy" - ów [illegible] [illegible] stanowiący jakiś koniec jej niebieski, postać z zeszarzałej [illegible] rysunków... [illegible] [illegible] Karola postacie artysty i Muzy. [illegible] [illegible] [illegible] Grotgera własne swoje rysy [illegible]... [illegible] [illegible] chwili gdy zaczął [illegible] i [illegible], w jego [illegible] [illegible] wszystkie świetności naszych [illegible]. Nie był nigdy [illegible] [illegible]. Nie wzięło z tego co wisiało na naszych ścianach.

Przyszedł Tarchomski. Przyjaciele nie było [illegible] obecna, tylko sam Ojciec go przyjmował. Wyjęte już naprzód kartony [illegible] zostały na pole-

12

zane, jako te jedynie, które były do nabycia. Pamiętam wysoki, zabawnie krzykliwy głos mecenasa i w niezbyt pewnej polszczyźnie wygłaszane zachwyty. Byłyśmy obie z Mamą w przyległym do salonu pokoju i serce ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś trwałe oglądanie, poczem wynikła rozmowa, w której nie odrazu wyznałyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Lanckoroński, obejrzawszy wszystko co było do nabycia, oświadczył Ojcu że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do "Wojny", ten ze ściany, który do kupienia nie był. Tatko tłómaczył, przedstawiał. Bez żony oczywiście decydować nie mógł. Kupiec kaprysem magnata i zbieracza, uparł się. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone, bezradne... Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany, było w domu jak po pogrzebie...

. . . . . .

/Nb: Tu w rękopisie skreślone długie opowiadanie o Grottgerze, jako zeszłe już zużytkowane po ściślejszem opracowaniu w "scenaryuszach" i przypisach do dzieła "Arthur i Wanda"/

-x-

Chodzili jeszcze tacy ludzie po Lwowie jak taka np. pani Brühlowa... właścicielka wybornego korzennego sklepu naprzeciw ulicy Halickiej, matka pani Andrzejowej Grabowskiej, żony malarzy "Grabca",- sama doskonała muzyczka, której dom zasobny gromadził u siebie przez lata cały muzykalny Lwów. Grywali tu: pani Leonia Wildowa, Antym Rikorowicz, Rudolf Schwarz, śpiewała pani Karolina Lauterowa, Ujejski czytał najnowsze swoje utwory... Otóż ta pani Brühlowa, gdy za mojej już pamięci szła przez miasto malutka, stara a gruba jak dzwon, w swej czarnej jedwabnej, brunatnej sobolami, opiętej salopie, miała zawsze pod pachą torbę papierową pełną hiszpańskich winogron, daktyli i fig czy rodzynków malaga, lub bodaj migdałów w łupce, któremi częstowała znajomych. Ileż razy korzystałam z takich słodkich spo-

t

tkań! Tu wspomnę, bo już się z nią, ani z jej winogronami nie zejdę chyba w tych zapiskach,- jak raz, idącą drobnym kroczkiem, odzianą w tę samą salopę z sobolami, zaczepiła ją jakaś żebraczka z trojgiem małych dzieci, domagając się jałmużny.

-Jeszcze mam czworo w domu, proszę pani dobrodziejki... Co roku mam przybytek...

- Pocóż miewasz?! - zauważyła spokojnie pani Brühlowa, dając babie centy, a dzieciom daktyle. To "pocóż miewasz?" pani Brühlowej zostało między nami jako bon mot, nieraz przy okazyi stosowane....

Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych sprowadzili się na pierwsze piętro pod nami państwo Bełzowie. Pan Władysław Bełza był mi znajomy jeszcze pierwej. Tatko, w czasach gdy rysował ilustracye do "Strzechy", a potem do "Różowego Domina", czasopism wydawanych przez F.H.Richtera, bywał już w kontakcie z Bełzą, tkwiącym od młodości pośród książek, nakładców, wydawnictw. On to zresztą redagował przez lat szereg, swego doskonałego "Towarzysza Młodzieży", którego komplet dostałam od niego w podarku, czytałam z upodobaniem - i wiele ważnych pierwszych wiadomości tyczących polskich spraw, zawdzięczam tym rocznikom. I do "Towarzysza" też narysował Tatko niejedno. Znaczna także część dziecinnych książek, które się stały zawiązkiem mej osobistej biblioteczki w białej wązkiej szafce, której wierzch zdobiła latami zielona klatka z kanarkami Pucem i Mucą, pochodziła z poczciwych darów pana Bełzy. Nieraz, gdyśmy go z otykali na ulicy, wyjmował z kieszeni jakąś wydawniczą, dziecinną "nowość" i zaraz mi ją ofiarowywał z czułością. Sam bezdzietny, osobliwie kochał dzieci, które podziwiał i rozpieszczał, darząc tem na co go stać było najczęściej, książkami.

Wielka była tedy uciecha z nowego sąsiedztwa na pierwszem piętrze. Znajomość z latami zmieniła się na przyjaźń szczerą, serdeczną, i przetrwała do końca. Bełza byłto jeden z tych ludzi, o jakich Tatko mawiał: "Wiecie, on nie jest nadzwyczajny, ale takich już niema!" Istotnie, do nadzwyczaj-

ności sam nie miał pretensyi, ale dziś wspominam go ze ściśnieniem serca żałosnem, jako typ przemiły, nieodżałowany, zaginiony już całkowicie. Czy można wyobrazić dziś sobie człowieka, któryby był zasadniczo, do gruntu, przychylny, życzliwy, drugiemu? Człowieka, ktory lubił, naprawdę lubił, zrobić - czy powiedzieć bodaj - tantemu przyjemność? Bełza był taki. A to że miał powierzchowność ujmującą, godną, i ogładę na codzień, nie odświętną, ale tę niebędącą jedynie fornirem, masywną, dziedziczną,- to już był tylko nadmiar miły. Kilkanaście lat, aż do mego zamążcia, przebyłam z tymi dwojgiem, kochanymi dobrymi ludźmi pod jednym dachem, i doprawdy, z wyjątkiem tylko wakacyi, nie było dnia aby ktoś z nas u nich, albo od nich u nas się nie pokazał. Bodaj jakaś książka odesłana z góry z paroma słowami na świstku, bodaj talerz świeżych ptysiów, które z dołu ruda Lola przyniosła dla mnie od pani Bełzowej. Otrzymywał i Bełza czasem jakieś takie jadalne pozdrowienia, na które odpowiadał wierszem. Początek jednego ocalał mi w pamięci:

"Przez słodycze i przez bluszcze
Rym mój słodki do Was pluszcze..."

Bełza wszelako miał daleko większy talent bycia i słowa, niż tak zwanego "pióra". Był jak najciekawszy żywy raptularz, który można było czytać z pożytkiem zawsze, na którejbądź stronicy by się otworzył. Był słuszny, trzymał się niezmiernie prosto, miał śliczny dźwięk głosu, dykcyę i polszczyznę znakomitą /w młodości próbował sił przez czas pewien na scenie poznańskiego teatru/, co wszystko podnosiło jeszcze użycie towarzyskie. Znał Warszawę i Paryż, znał moc najciekawszych ludzi, o każdym pamiętał mnóstwo, każdego sposób mówienia, gesty, głos umiał naśladować. Do takich arcydzieł odtwórczych Bełzy liczył się czcigodny jąkała Platon Kostecki, hr.Karol Lanckoroński, a wreszcie koledzy z Osselineum, np. stary Zawiłowicz, Nętrzyński i inni, których "pokazywał" tak bajecznie, że się nieraz sami ze siebie naśmiewali.

Żona pana Bełzy była z domu Ostrowska, siostra nieżyjącego oddawna rze-

źbiarza, po którym zaadoptowali oboje synka sierotę, nazywającego się po ojcu Kazimierz. Udało im się to nad podziw. Wyrósł z tego Kazia naprawdę syn, jakby najrodzeńszy, kochający najwdzięczniej, człowiek rozumny, zacny i dzielny. Wtedy gdyśmy się poznali, był jeszcze chłoptasiem z grzywką i kłapouszkami czarnemi, nosił marynarskie kołnierze i krótkie spodenki. Dziś jest dyrektorem tytoniowego monopolu w Warszawie. Szukam słów na wizerunek pani Bełzowej, ale wszystko na nic. Trzeba było ją znać. Najmilsza i najszczersza mieszanina rozsądku z naiwnością, dobroci z dowcipem. Bystrość niespodziana, a zarazem łagodność w sądach o ludziach, która to kombinacya sprawiała, że potrafiła mówić o bliźnich w sposób taki jak nikt, robić ze słodyczą istotną spostrzeżenia tak nieocenione, zdumiewające humorem i trafnością, a zarazem takie prostoduszne i dobrotliwe, że nie była to nigdy obmowa.

Dzięki tym niezwykłym przymiotom, możliwemi były stosunki ścisłe z bezprzykładnie liczną rodziną, których cnoty i zalety znała pani Bełzowa na wylot i radziła sobie z niemi wybornie. Codzień po herbacie popołudniowej, liczne grono krewnych zasiadało z nią do "labety". Z całego tego zastępu najbardziej mnie zaciekawiał brat pani Bełzowej, pan Jan, radca kolei de facto, a wedle przeznaczenia jeden z najbardziej utalentowanych komików, najdowcipniejszych ludzi jakich znałam. Chudy, czarny jak cygan, z ponurą twarzą - coś niby Słowacki - gdyby się był postarzał - i mówiący z miną niezłomnie grobową grzeczności najrozkoszniejsze. Inna w tym zespole osoba, która mnie zaciekawiała, to była żona Antoniego, drugiego z licznych braci pani Bełzowej, pani Rafaela z Żółkowskich, najmłodsza wnuczka słynnego Alojzego, aktora i twórcy "Momusa", zwana w rodzinie "Rafcią". Miała także dzieci bez liku i umiała to jakoś tak, że była długo najładniejsza ze swoich córek.

Podczas gdy w jadalnym, przy udziale wszelakich Ostrowskich i Hofmeklów, pani Studzinskiej, siostry bełzy i pani Gottliebowej Julii, jed-

nej z sióstr pani, /jak się później pokazało, chrzestnej matki wacka/ szła codzienna partya labeta, Bełza miał także swą godzinę przyjęć u siebie. Cały dzień, od świtu niemal, zajęty w umiłowanym "Zakładzie" czyli Ossolineum, zaraz popołudniu o piątej kładł się do łóżka, tak bez żadnej choroby, po prostu z zwyczaju,- i wtedy szło się do niego na pogawędkę. Leżał w bardzo zawsze starannej bieli pod błękitną kołdrą, miał na czole zieloną umbrelkę, obok na stoliku paliła się świeca, gdyż lampy do czytania nie znosił, i piętrzyły się stosy wydawniczych nowości. Ileż takich godzin pamiętam, przegwarzonych przez Mamę i Bełzę, z moim, coraz większym z latami, udziałem! Czułam zawsze że wracam bogatsza, czy o jakąś znamienną wieść polityczną ze świata - do jakiej niteczkę nadziei czy otuchy doczepiało się wtedy tak ochotnie - czy o żywe jakie wspomnienie o kimś z ludzi wybitnych, czy świeżo dobyty jaki szczegół historyczny, czy o treść jakiej najnowszej książki - a choćby tylko o Bełzy własne, aktualne przeżycie w Zakładzie!

Ossolineum ówczesne, była to kopalnia typów tak dostojnych jak stary Małecki, lub tak charakterystycznych, jak jego niemniej a może i bardziej wiekowa żona, czy też smutnawo śmiesznych, jak stary Antoni Pawłowicz, kustosz muzeum, istny "biały okularnik" z historyi o "Ankusie królewskim" Kiplinga... Galerya tych postaci była mi w relacyi Bełzy tak plastyczna, że słuchając o nich siedziałam jakby na coraz to nowej odsłonie sztuki. Oboje Małeccy, sędziwi wielce a mający życie do ostatka błogie i dostatnie, chorowali ciągle, raz ona, raz on, niekoniecznie na choroby rzeczywiste, ale lęk, że to już może ta właśnie choroba... Była między staruszkami, jakby konkurencya cicha, podobna do owej w bajce o Dziadu i Babie Kraszewskiego: Które pierwej?- Najpierw /streszczam wedle Bełzy!/ wmawiali w siebie wzajemnie dolegliwości, aby wywołać zaprzeczenie, co ich nawzajem uspokajało, potem zaczynali się podejrzewać o ukrywanie bądź zdrowia, bądź choroby... Czasem istotnie któreś zaniemogło. Wtedy

sądny dzień nastawał w Zakładzie. To- zdrowe chwilowo, z dwojga, posyłało natychmiast po księdza, który najczęściej odchodził daremnie, bo poprawa następowała na jego widok prawie natychmiast... Zdarzało się że gdy pani Małecka zasłabła i już od księcia kuratera aż do woźnego Michała wiedziało się o nowinie, gdy ktoś poleciał wysłany przez pana Małeckiego po doktora i księdza, staruszka dotknięta do żywego pogądzeniem że to miałby być już- wstawała czemprędzej, a nadchodzący ksiądz i doktor, zastawali ją siedzącą prosto przy fortepianie i wygrywającą najczarczystsze mazury... Hulała bowiem za młodu szalenie, a za donsrów miewała, dość powiedzieć, wszystkich trzech Maszkowskich,Grottgera i mego Ojca. Nieraz o nią Marcel zapytuje w swoich listach z Monachium. Mam wrażenie że żyli oboje tak długo jak chcieli, pomarli tylko dlatego, że już mieli ochotę. Ona pierwej, on po niej.

Starego Pawłowicza znałam także, jak i staruszków Małeckich, nietylko z opowiadań Bełzy. Gorzki jak proszek chininy, zasuszony w starokawalerstwie, wierował na straży swego muzeum, nie mogący ukryć passyi wobec zwiedzających. Ze śmiercią był na stopie podobnej co pp Małeccy, tyle że samotnikowi brakło emulacyi. Najbliżej żył z rodziną dyrektora Kętrzyńskiego, którego syn Staś był jego chrześniakiem. W braku innych dzieciców postanowił Pawłowicz przekazać wszystko co posiadał temuż Stasiowi. "Wszystko", był to jakiś chromy stolik, krzesła nielepsze, trochę papierów, pamiątek, gratów... Napisał testament i prosił Bełzę, aby się podpisał jako świadek. Aliści mieszkanie Kętrzyńskich znajdowało się akurat nad głową starego litwina, Staś zaś był małym chłopcem, który się ruszał i biegał właśnie wtedy gdy to wadziło Pawłowiczowi. Po pewnym czasie otrzymał Bełza od Pawłowicza wezwanie aby do niego zaszedł. Okazało się że testator postanowił zmienić zapis. Przeliczył się, chłopcu, który takie brewerye wyprawia nad głową skołatanego starca, niepodobna powierzyć pamiątek. Bełza opanował wesołość i począł orędować za Stasiem, przekładać okoliczności łagodzące. Biały

okularnik był jednak nieubłagany i głosem, który niegdyś zachęcał swe uczennice rysunku przy lekcyi, mówiąc: "Stawiaj pałki panna!", kazał też i Bełzie "postawić" swe nazwisko pod dokumentem. Staś najformalniej został wydziedziczony. -"Sam sobie winien!" - objaśnił z irytacyą. Minął znów czas pewien i Bełza znowu dostaje wezwanie od Pawłowicza. Czy następny spadkobierca okazał się jeszcze mniej godny od Stasia, czy tenże poskromił swe obyczaje, dość że poprzedni zapis uległ ponownej zmianie. Bełza miał tym razem podpisać po raz wtóry testament mocą którego "wszystko" dziedziczy Staś Kętrzyński... I nie byłoby w tych falowaniach woli białego okularnika nic tak znów dziwnego, gdyby nie okoliczność, że proceder ten odbył się wiele, wiele razy, tak że Staś do ostatniej chwili swego chrzestnego ojca pozostawać musiał w napięciu. A i mnie niewiadomo kto ostatecznie stał się dziedzicem "wszystkiego" po Pawłowiczu...

To były rzeczy zabawne, ale ileż innych, charakterystycznych szczegółów nasypać umiał Bełza na poczekaniu! Został po nim pamiętnik bardzo ~~ciekawy~~ dokładny z całego życia, który prowadził, o ile wiem, do śmierci
z całego życia, który prowadził, o ile wiem, do śmierci. Tam pewno znajdą się zczasem te ważniejsze relacye o Kraszewskim, Goszczyńskim, o Kaczkowskim, Lenartowiczu, Polu, rodzinie Mickiewicza... Trudno dać mi pojęcie o tem, jak innym, treściwszym, ciekawszym, świeższym umysłowo był sam, w porównaniu z tem co napisał. Myślę tu przedewszystkiem o jego prozie i o tem co wydał o Mickiewiczu. Są ludzie, którzy muszą pisać aby się ich zobaczyło. Są, na odwrót, tacy którzy, aby się stali sobą, muszą "pióro" odłożyć... Właśnie takim był Bełza. Mam przekonanie że jedynie jego "Katechizm polskiego dziecka" - do pewnej mety oczywiście!- próbę czasu wytrzyma. Podobnie jak po Konopnickiej - z czasem zostanie tylko "Rota", wzięta przypadkowo na skrzydła muzyki, tak i pamięć o Bełzie zatrzyma się najdłużej na powadze owego patrzącego dziecięcia w oczy pytania: "Kto ty jesteś?"

Zastrzegam się to oczywiście przed posądzeniem jakobym te dwie firmy literackie stawiała obok siebie na równi. Konopnicka była "większą"- ale

po obojgu zostanie to tylko, co w zwięzłych słowach potrafili powiedzieć o rzeczy "największej".

Co wiosny na wielkanocne ferye wyruszał Bełza do Wenecyi. Rzadko gdzieś dalej. To był adres, pod który dowoził zazwyczaj bez szwanku swoje, coraz mniej pewne serce. Wyrzucam sobie żeśmy sobie dworowali z niego, posądzając o urojenie, gdy czasem wracał już z Wiednia, przepłoszony lękiem, aby gdzieś po drodze nie zamrzeć, gdyśmy patrzyli jak na dziwactwo, na jego przesadnie powolny chód... A to była choroba, podchodząca coraz śmielej. Z Wenecyi wracał zawsze odświeżony, odmłodniały, rad że się nawłóczył po antykwarzach i miał dla każdego za powrotem jakiś ładnie obryślany gościniec. Dostałam raz przy takiej okazyi autentyczny, starorzymski "stylos", nie kupiony, ale otrzymany wprost od ~~xxxxxxx~~ znajomego archeologa. Taki kościany rylec do pisania na woskowanych tabliczkach. W r. 18[illegible]7 zjechaliśmy się raz, ja i Wacek, z Bełzami i Gawalewiczem w Wenecyi. Akurat biedna pani Bełzowa zasłabła była na żołądek i Bełza wezwał doktora Niemca. Ani ona, ani on, królewiak, nie mówili dobrze po niemiecku. Miał konsyliarz zabawę, gdy mu pani Bełzowa oznajmiła na wstępie, że ma "kranke Würste". Doktor, pojąwszy o co chodzi, a słysząc że pacyentka nie wyrzuca sobie żadnego spożywczego grzechu, zagadnął czy to nie zaziębienie? - Wcale nie - uspokoiła go- tak było zimno w hotelu, że "ich habe mit einem Jäger geschlafen". Tu, gdy już doktor nie zdołał pohamować radości, zmiarkował i Bełza że coś się święci i nauczywszy się na pamięć tej weneckiej niemczyzny, ufetował następnie i nas i Gawalewicza.

Gawalewicz. Także taki typ, który dopiero wtedy zaczynał być oryginalny i ciekawy, mieć swój kontur i talent, gdy mówił, gdy się zapomniało i gdy on zapomniał sam o powieściach Gawalewicza! Świetna, cięta, bystra pleciuga, znająca swoją Warszawkę jak własną biografię, kronika nieoszacowana o żywych ludziach i rzeczach, człowiek, który tracił wszystek czas na wymyślanie rzeczy i ludzi - nieżywych. Czegóż on nam wszystkim nie naopowiadał

wtedy u Sandwirtha, lub w czarnym kaleszu gondoli! Choćby tę anegdotkę o Teotymie i Henryku Sienkiewiczu, jej nb. kuzynku!

Pytał ktoś Sienkiewicza jak wygląda Teotyma? Zaczął ją tedy Sienkiewicz opisywać, ostrożnie, gdyż była już wtedy bardzo niemłoda, zatrzymując się głównie na szatę w jakiej się jawiła na swoich słynnych wieczorach literackich, powłóczystą, z greckimi rękawami i złotą przepaską. "We włosach - mówił - ma ...,i różę tu..." -dotknął swej piersi. W tejże chwili poprawił się i pokazał palcem miejsce róży o piędź dalej od kamizelki.- "Nie- poprawił się natychmiast - tu!" i wyciągnął rękę jeszcze dalej. Teotyma była bowiem grubo i ciężko [illegible] przeobrażoną nie tylko samą wyobraźnią... Koncept był za dobry, więc poszedł na Warszawę i znalazł się rychło u stóp wielbicieli, którzy bardzo długo rozbijali potem głowy Sienkiewiczowi. Opowiadała się rozmaicie o Sienkiewiczu, o niemiłych przejściach wielkiego pisarza.

-"To jest tak ze wszystkich - powiadała ze śmiechem - że gdyby ktoś z jego wielbicieli, zrobił sobie z jego [illegible] harakiri i ginął u jego stóp ze słowami "Mistrzu! dla ciebie!" - Sienkiewicz bez słowa zasłoniłby sobie nos chusteczką i przeszedł mimo, nie obejrzawszy się."- I wiele lat później, opowiedziała mi pani Gawalewiczowa,jak to, gdy była młodą, ślicznością panną , kochał się w niej Sienkiewicz, jak jej widoku szukał, towarzystwa jej wszędzie jak cień, on, skromny literacik na dorobku, ona zamożna, świetna piękność poprostu. Wyszła za Gawalewicza, i drogi ich rozeszły się wkrótce. Lata minęły, Gawalewicz był dyrektorem teatru w Łodzi, pani jego zaś, rozczarowana, zawiedziona, piękna tylko zawsze znakomicie, znosiła z mężowem artystyczną biedę byleby tylko on, Maryan, miał dom wygodny i życie ułożone... Jednego ranka, Gawalewicz miał jechać rano do Warszawy a szło o zaoszczędzenie kilku kopiejek na dorożkę. Wyszła tedy pani Maryanowa jeszcze wcześniej aby własnoręcznie odnieść mężowską walizkę na dworzec... Gdy szła, wlokąc się z ciężkim bagażem, wyrosła nagle przed nią postać Sienkiewicza. Był już wtedy u szczytu chwały, a ona jeszcze nie bardziej dojrzała

urodą. Nie można jej było nie poznać. Ulica była jeszcze pustawa, więc tembardziej wpaść mu w oczy musiała śliczna, młoda kobieta z ciężką walizką w ręku. Ta sama, o której marzył studentem. Sienkiewicz z mgnieniem ambarasu w twarzy minął ją bez słowa ni gestu...

Zgadało się także o Paderewskim. Posypały się szczegóły jak z rękawa. Przypominam tylko niektóre, bo i zapomniałam wiele i wolę niejednego nie pamiętać, nietyle ze względu na panią Helenę, ile na niego, którego można pod światło potrzymać, jak kryształ. Latami nie brałam na seryo tych warszawskich jej i egipskich tradycyi, wierząc że on był w jej życiu jeden, że tylko zawiść ludzka skubie jej suknie,- dopiero opłakana rola pani prezydentowej polskich ministrów, uczyniła mnie podejrzliwszą i wstecz. Niestety, choć i zamilczę niejedno, pewną jestem że się znajdą tacy, którzy w swoim czasie, gdy wzgląd na niego ustanie, a przynajmniej osłabnie, wrócą się i pozbierają wszystko. Za ciężkie ma historya polska porachunki z panią Heleną!

Paderewskiego znał już Gawalewicz w czasie, gdy był wdowcem po swej pierwszej żonie, Korsakównej, i ubogi jak mysz kościelna, sławny był na razie tem jednem, że go Noskowski za talent zbyt wybitny i tupet, wyrzucił z konserwatoryum. Nie uczniem już był wtedy, ale jednym z młodszych profesorów. Ożenił się był, wbrew woli, czy pono nawet bez wiedzy rodziców żony, z panną Korsakówną, która żyła z nim bardzo krótko i umarła na płuca. Syn ich jedyny, Alfred, umarł mając lat dwadzieścia. Gawalewicz był na pogrzebie tej pierwszej panimPaderewskiej i pamięta jego jak szedł za trumną w wyszarzanym paltocinie, butach z cholewami i cylindrze. Przytaczam te szczegóły na wyłączną odpowiedzialność pana Marysia.

Już na horyzoncie Warszawy widać było i panią Paderewską przyszłą. Nazywała się wtedy pani Górska, a mąż jej Władysław był cenionym skrzypkiem. Pamiętano ją jako baronównę Rosen, bywającą pod opieką starej cioci, przez długi szereg bezowocnych karnawałów, piękną, ale nielubianą. Tym-

czasem kędyś w zaułku mieścił się sklepik, którego właścicielem był przyszły teść pani Heleny, Górski. Sprzedawał ptaszki i białe myszy, morskie świnki, wiewiórki... Wielkie też było zdumienie, gdy się jego syn zaręczył z baronówną Rosen. Zapewne, dosyć już dojrzała panna, której cietka wolała iść spać niż na bal, obliczyła minione karnawały i wyszła za skrzypka, który i jako sybirak zacny, i zacny człowiek i wirtuoz ceniony, ogólną miał sympatję. Ja zaś żył w tej rodzinie ostatniej w świecie sztuki i artystów, otwierała się dla pięknej, muzykalnej panny pole wcale rozległe.- A zaczęła się dla pani Heleny, którą już znamy wczoraj...

Ale wróćmy na ul. Litewskiego, do Łodzi.- W pierwszych miesiącach lat, poznałem się pokrótce z jej kulturą i na zawsze zachowuję wdzięczność dla kochanej Łodzi za to moje najlepsze bałamuctwo, do jakich, dzięki jego letniemu klimatowi dodaję bezwstydnie. Bezwiednie rozwinęło się wszystkie najlepsze przymioty, czasy, które były do mojej dyspozycji. A także i pierwsze listy, na otrzymywane z Łodzi", gdy się rozbolały przed ostatecznem, z woli Michał Zaburski, taki sam jak dziś różany i przystojny, tylko że młodszy o lat z siedem trzydzieści, przynosił mi bukiet dla pani Helizowej... Dzisiaj z pierwszego piętra zawdzięczam także je na racze jesienne! On to zaznajomił mnie w czasach, gdy była raczej dziewczynką jeszcze niż już panną, z najmilszym "Bajorem Polskim" Lilińskiego. Cóż to było za odkrycie cudowne!

Nasz pokój na trzecim piętrze, do który wychodziło się od klatki schodowej, i naszej kuchni, był oczywiście od podwórza, miał widok na całuśki bór i lewy jego kąt skąd kuchni zielony na [illegible] szeroki pas który rozciągały fiakry gospodyni, kąt gdzie stała moja drewniana kanapka dziecinna i dwie komódki, zawsze pełne mojej, w której pływała pożka cytryny, był ulubionem miejscem zabaw. Popołudnie owe przyjęcie tu siedem, zaś rano i przedwczoraj [illegible] były rozbrzmiewane. Tu był też [illegible] Heli, mojej ówczesnej siostrzyczki przyjaciółki, małej dziewczynki, [illegible] dziewczynki,- [illegible] zielone

a babki Kadurci,- tu w Zielone Święta pachła liściasta altana z grabiny i brzóz i skrzypiał pod piętami, podsypany białym piaskiem, szuwer. Pewnego lata wymyśliliśmy sobie z Kazikiem i Adasiem, choć obaj chłopcy młodsi byli znacznie od nas, wspólną zabawę czarnoksięsko-medyczną. Polegała na tem żeby flaszki [illegible] stawiali na górnym, bardziej na spiekle chłonnego piasku, i w świetle naszej wiary, tudzież słonecznych promieni, zakiwał im czyniła, jakoby z wody zwykłej, wodę leczniczą o uniwersalnym skutkach. Choć nie znajdowała poparcia u starszych, fabrykacja naszego specyfiku trwała aż do wakacji i, jak dziś widzę, była dość genialnem przeczuciem praktykowanych obecnie szeroko kuracyjnych inhalacji ze słońcem...

Któż z nas, gdy się butelka naszych flaszek "rozfermentowała" za grubo, a wy wodzie zapowiedź, wstrzymywał się ostatnie najstraszniejsze czary sobotniej pod naszym stryjkiem, gdzie było chłodno, ciemno i, co najważniejsze, niezwykle - i [illegible] czasu czytało rozczytanej od wydania, jakazał nam Karol Bajarz. Był to [illegible] raz, jak dotąd, pierwsze wileńskie wydanie. Jakiekolwiek dali nurt w ten cud: jakże mi się fantazya w tem chłapać zaczęła, jak kaczka! Kochany Bajarz! Przyjaciel wyróżniony, mój rejon dostał jakoś na wyprawę, ten sam "wyprawny" Bajarz Lali!

Nie na już skreślonego naszego punktu: Przeróbka kamienicy skończała oba, a i [illegible] co prawda, nie [illegible] już na co. Kamienice wypiętrzyły się bezczelnie i brudne parawany ich płotów zasłoniły widok przedwojenny.

W miarę lat i postępu nieuleczalnej choroby, która go miała zabrać - jak i mojego Tatka - przedwcześnie, kochany pan Bełza dziwaczał. Wstawał w nocy i z jakiejś nie odzieczonej przyczyny nie zawalając świecy, [illegible] do salonu, gdzie na [illegible] fortepianu stały zawsze, przygotowane umyślnie w tem a nie innem miejscu, konfitury. Spożywszy je, szedł, również po cichu, do jadalni, aby wypić [illegible] szklanky wody, która na nocnik stawiała się dla

niego na bufecie. Po tych czynnościach kładł się znowu, zasypiał i budził się o czwartej. Poczem zasiadał do biurka, abyjak codzień dopisać w swym pamiętniku dzieje wczorajsze. Przy tych nocnych wędrówkach nieraz coś poszło w czerwony, nieraz zaszła jakaś fatalna spożywcza omyłka...

Tymczasem lata mijały, ja wyszłam zamąż, wyjechałam do Zachodnicy, znaleźli się na świecie Luk, Kazio, Dziedzia... Rodzice mieszkali już na Zaświeciu. Niebawem i myśmy tam nadążyli i znowu, choć dalsze o dwie ulice, c odżyło dawno kochane sąsiedztwo. Znowu się chodziło o piątej na pogwarek do Bełzy... Jak mnie ongiś, tak samo Luka teraz, swego pochrześnika, Bełza począł obdarzać książkami. Gdy już Kazio dużą głową stołu dosięgnął, zaczęło się i jemu także obrywać. Nie kto inny, tylko Bełza uczcił pierwszym wędrowcem Beata.

"Tokam piękna, takam gładka,
A nazywam się Beatka!

Żywy portret mojej mamy,
Tylko go oprawić w ramy.

Co tam warta mama sława
Pana Bełzy Władysława,

Wszystkie dzieła w piecu włożył,
Gdyby takie dzieło stworzył!"

Gdy Bełza napisał swój słynny "Katechizm", który dedykowany Lukowi rozejść się miał z czasem po świecie polskim w tysiącach i tysiącach odbitek, Luk był pierwszem dzieckiem w Polsce, które go umiało na pamięć. Pamiętam ten popis. Poszłyśmy z Mamą i obydwoma chłopcami około piątej do Bełzy. Leżał już oczywiście pod swoją błękitną kołdrą, założoną książkami, czyściutki, w zielonej umbrelce nad oczyma i złotem pince-nez. Ona, biedactwo, ślepa już wówczas zupełnie, ale niezmiennie pogodna i miła, "oglądała" życzliwemi rękoma pyszczki malców, wyszukując podobieństwa rodzinne, dziwując się różnicy między miękkiemi kudłami Luka, a wątłym meszkiem na łebku [illegible].

Luk śmiało wyrecytował wstępny wiersz "Katechizmu". Bełza wzruszył się mocno, wciągnął go na kołdrę, wyściskał i wycałował, a potem półżartem

półseryo zapytał:

- No cóż? Jakby tak kiedyś naprawdę przyszli Moskale, czybyś oddał życie?

-Oddałbym - napuszył się z przekonaniem Luk.

- A ty? - zwrócił się Bełza do Ziuby.

- A pan? - odpalił głowacz spokojnie, godząc w Bełzę tłustem, niebieskiem okiem.

- Poszedłbym razem z wami! A jakże? - śmiał się Bełza. A na to Kazio prędko:

- Jak my pójdziemy, to pan już... Ściął, czując że się zapędził nieładnie.

- Nasz racyę obywatelu! - rad nierad, śmiejąc się, wykrzyknął Bełza - Mnie już wtedy nie będzie!

Bardzośmy były oburzone za śmiałą trzeźwość na naszego "twardego" kocura, ale jakże się było nie śmiać?

A po latach, spełniło się i to, za co poręczył Luk - i to co Bełzie przepowiedział Ziuba. Zmarł Bełza wśród swoich czas, jeden z tych szczęśliwych, którzy czekali wierząc, zniewagi spełnienia nie dożywszy!

. . . . . .

Przerywam te zapiski, tem bruliw wspomnień, w najczarniejszej, najstraszniejszej dobie polskiej historyi... W przeddzień Zgromadzenia Narodowego w Warszawie d. 30/5 19[illegible]. Jestem w Wodyce, w domu z którego wywozi się na zachód cenniejsze dzieła sztuki - pamiątki - archiwum. Z niemi idą i te zapiski. Czy się zejdę kiedy jeszcze z temi kartkami? Czy dopiszę co jeszcze? Bogu jedynie wiadomo. Czy warto będzie jeszcze żyć na tej ziemi najdroższej, splugawionej, okrwawionej, - nowym, najhaniebniejszym z zaborów, spętanej, opętanej, wydanej wrogom na łup - wrogom mówiącym po polsku!

Im straszniejsza, nikczemniejsza teraźniejszość - tem niżej kłaniam się w podzięce szczęśliwemu, bogatemu, pięknemu życiu, jakie mi Bóg przeżyć pozwolił, tem wdzięczniej błogosławię pamięć Ich wszystkich, którzy je tak

szczęśliwem, bogatem, pięknem uczynili! Niechże mi Oni jeszcze i śmierć niezapóźną, miłosierną upreszą!

Amen.

Medyka 30/5 926.

SZCZEGÓŁOWY PLAN [illegible] [illegible]
Partyi Wolności

[illegible]	3
[illegible]	2
[illegible]	1
[illegible]	7
[illegible]	4
[illegible]	4
[illegible]	4 o.d. 28 34 i 87
[illegible]	5
[illegible]	6
DYNIŃSKA [illegible]	8
[illegible]	11-12
[illegible] DYNIŃSKA	13-15
[illegible]	
[illegible]	16-22
[illegible]	22
[illegible]	23
[illegible]	24-26
[illegible]	26-27
[illegible]	27 o.d. [illegible]
[illegible]	27
[illegible]	28 o.d. 178 i 184-5
[illegible]	29/31 o.d. 87 + 4
[illegible]	30
[illegible]	31 - 33
znowu „Bracia"	34 - 36
ŻURAWIO	36 i o.d. 48
[illegible]	41 do 49
[illegible]	
[illegible]	
[illegible]	48

[illegible] - 8. 13 4

[illegible] 14 [illegible]

[illegible] 52 i 126
[illegible] 52 i 126
[illegible] 51- 57
[illegible]
[illegible] [illegible]
[illegible] 62
[illegible] 62
[illegible] 63
[illegible]
[illegible] 64

[illegible] 69
[illegible] 71 do [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible] [illegible]
[illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] - [illegible]
[illegible]
[illegible]

[illegible] [illegible] do [illegible]
[illegible] [illegible] i d.d. 119
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] (recytator)

[illegible] [illegible] do 122

[illegible] 125
[illegible]
[illegible]
[illegible] 112
[illegible] 118

Powrót do Lwowa 119
Zabawy dziecinne
(Lolo Maszkowski) 120
Zosia Piasecka "z palcem" ze wzmianką o kręcidle 121

Bajki Dziadzia o 123
Kukurydzowiczach,
Szczypańskim i
Alfie i Marynce
Ordery kotyljonowe 125

Nauka wogóle 126
Nauka muzyki
p Brulard 128
p.Lacnner Paulina
Helenka Feigl(Ottawowa) 129
Jej ojciec(od balsamowania)
czyli straszydelne opowiadania
p.Lacnner
Wesele panny Lacnner 133

MIKULICZYN 136
"Szczęśliwa kaczka
Kataryna

Opisk mieszkania na Zimorow' 144
Młodość Dziadzia Karola 146
Maszkowscy : Rafła i Marcel 150
Listy Marcela itd
Jakubowicze
Grottger (skrót) 170
Owczesny Lwów artystyczny 172
BEŁZOWIE 173 oraz 28,178 i 184- 5
Dom, rodzina,
Ossolineum
Pawłowicz,
Małeccy
Kętrzyński
Gawalewicz 179
Paderwski i P,Helena 181
Bełza jeszcze raz 184- 5
Luk,
Kazio

Numerus 2
Dwory [illegible]